

ANNA MARKOWSKA

# W POTRZASKU

(Powieść z życia szkoły na Mazurach Pruskich)  
w 3 częściach.



DODATEK POWIEŚCIOWY DO „KURJERA PORANNEGO”

+

**WIELKI KONKURS POWIEŚCIOWY  
„KURJERA PORANNEGO”**

---

**ANNA MARKOWSKA**

**W POTRZASKU**

**(Powieść z życia szkoły na Mazurach Pruskich)**



**DODATEK POWIEŚCIOWY DO „KURJERA PORANNEGO”**

**Nr. 27. WARSZAWA, 26 STYCZNIA 1934 r.**



35110

---

Drukarnia Rotacyjna, Marszałkowska 148

SK19/181

## I

Gdy panna Halina Zaborska opuściła tego dnia pokój nauczycielski gimnazjum żeńskiego w Strzałkowie, była właśnie godzina pierwsza i wraz z dźwiękiem zegara rozległ się po pustych korytarzach głos dzwonka na szóstą godzinę lekcji. U szczytu schodów powitała ją pierwsza falanga, biegnących z podwórza do klas dziewcząt. Na widok ważnej „pani od poskiego” usuwały się z szacunkiem. Któraś, przechodząca z fali starszych uczennic biegnących na górę, rzekła grzecznie: „dowidzenia” i oto każda z następnych mówiła teraz to samo: „dowidzenia”. „dowidzenia pani”, „dowidzenia”.

Na podwórzu szkolnem, oddzielonem kratą od ulicy, było pełno wrześnieowego, ciepłego słońca. Wokoło klombu, na którym rosną trzy stare, ciemne jodły, kręciły się maruderki w granatowych mundurkach. One też kłaniają się i mówią „dowidzenia”.

— Majerówna, spóźnisz się do klasy, już po dzwonku — rzuca w przechodzie panna Zaborska.

— Ja się nie uczę angielskiego, proszę pani. Czekam na Markowską.

Kilka małych, jak zwykle nieskorych do opuszczenia podwórza szkolnego, gra w klasy. Dochodząc do uchylonej na ulicę żelaznej furtki panna Zaborska uśmiecha się nieznacznie. Jest! Ta nigdy jeszcze nie poszła do domu, żeby jej osobno nie pożegnać. Zjawia się zawsze Bóg wie skąd przy furtce lub na podwórzu, by powiedzieć „dowidzenia” i ogarnąć uwielbiającem spojrzeniem.

— Baisenówna, czemu nie poszłaś do domu?

— Ja... ja chciałam pomówić z panią — błagalne, błękitne spojrzenie. I zaraz potem: — Proszę pani, czy ja będę mogła

w tym roku należeć do kółka literackiego? Ja już nie robię przecież takich błędów...

— Nie wiem, co powiedzą na to rodzice twoi, Elzo. Twoje zdrowie...

— Ja mogę przynieść pozwolenie na piśmie — rzekła pośpiesznie. — Mamusia się zgodzi. Proszę pani... — znów podniosła błagalnie błękitne oczy.

— No więc dobrze. Przyjdź do mnie z innymi w niedzielę po nabożeństwie.

— Dziękuję pani! — radosny ukłon i skręca w boczną uliczkę. Panna Zaborska skręca w inną, rozslonecznioną, wysadzoną żółkniejącymi drzewami ulicę i rozmyśla nad swą uczennicą. Co za dziwna zdobytec, ta Elza von Baisen, córka niemieckiego przemysłowca, która dopiero, zabląkawszy się do tej szkoły, nauczyła się naprawdę mówić po polsku. Błękitnookie, szesnastoletnie dziewczętko, najmłodsza uczennica w klasie, jest—co tu gadać! — w głębi duszy ulubienicą Haliny, mimo błędów językowych i ortograficznych wcale niestosownych u siódmoklasistki. Coprawda, bardzo to jest niepedagogicznie wyróżniać, nawet w głębi duszy jakąś wychowankę, Halina to wie i tem się pociesza. że jest w klasie może surowsza dla Elzy niż dla innych dziewczynek. A mimo to, Elza ją uwielbia. Wie o tem cała klasa.

Panna Zaborska mieszka na końcu miasteczka w uliczce, która słusznie nazywa się Ogrodowa. Zamieszkały przez nią parterowy domek też kryje się za wąskim ogródkiem od ulicy. Śień przecina go na dwie połowy i wychodzi na podwórze za domem. Z za uchylonych jakichś drzwi wybiega duży wilczur z głośnem szczekaniem.

Rolf! Rolf!

Za psem ukazuje się rumiana, przypieczona ogniem twarz jego pani.

— Morgen, Frau Schultze!

— Morgen, Fräulein! — i zaraz uprzejmie po polsku: — Zawsze wpatrzy pannę. Rolf! komm doch?

— Rolf, pójdziemy na spacer, psisko!

Rolf, psi poliglota, macha uprzejmie ogonem jednako na polskie i niemieckie przemowy. Ale Halina znikła już za drzwiami swego mieszkania, więc pies, który zrozumiał słowo „spacer“, zawiedziony srodze, zastyga ze znieruchomiałym ogonem.

Drzwi od przedpokoju do kuchni są wpółotwarte. W głębi, nad rozpaloną płytą gniewna Katarzyna. Kiedyż bo Katarzyna nie jest gniewna?

— Niech panienka tu nie wchodzi! Upiec się można w tym upale! — i trochę łagodniej: — Tam na biurku położyłam list do panienki.

Cały radosny nastrój pryska. List może być tylko z jednej strony. Teraz dopiero zaciążyła Halinie jej teczka pełna zeszytów. Nie śpiesząc się, wchodzi do pokoju, chowa kapelusz i podejmuje list. Wpatruje się w drobne, okrągłe, szybko biegnące litery adresu i w stempel pocztowy: „Poznań“. Otwiera wreszcie.

*„Moje drogie dziecko! Tak się cieszyłam nadzieją, że może wreszcie tym razem przyjedziesz do domu na wakacje. Jeszcze w sierpniu spodziewałam się Ciebie. Teraz już i rok szkolny się zaczął. Moja droga dziewczynko! gdybyś Ty wiedziała, jak trudno jest tak stracić matce jedyną córkę! gdybyś chciała przyjechać do domu — tak! bo to jest jednak Twój dom — i przekonać się, że niesłusznie uprzedziłaś się do Twego przybranego ojca. Ha! dziecko drogie, nie rań serca Twojej matki, przyjeźdź i przekonaj się, jak niesprawiedliwie go sądzisz, jakim jest dobrym i kochającym mężem. Mój Boże! nie jestem przecież tak stara, by wyrzec się już wszystkiego. Czemu nie chcesz mnie zrozumieć? Henryk tak serdecznie zawsze mówi o Tobie, jakbyś była jego rodzoną córką...“*

Przerwała czytanie. Zadawniony ból odsuniętego na drugi plan, ukochanego niegdyś dziecka, gorycz i żal opuszczonej istoty ustąpiły przed wstrętnem wspomnieniem zalotów jej zbyt młodego ojczyrna — do niej. Czyż miałyby się matka o tem dowiedzieć? Jakim sposobem ten człowiek, którego wartość moralną wszyscy wokół znali, mógł tak otumanić, opętać jej kochaną, słodką matczkę?

Kiedy Katarzyna weszła z zupą do pokoju, jej panienka stała posepnie zamyślona w oknie. Fatalna koperta poniewierała się po biurku.

— Panienko, zupa stygnie!

Halina zabrała się bez przekonania do obiadu. Katarzyna stała oparta o drzwi, z rękoma ukrytymi pod rozłożystym fartuchem. Z poza maski wieczyście nachmurzonej twarzy niespokojnie a skrycie obserwowała twarz panienki. Czemyby ją tu rozerwać? Aha!

— Pani pastorowa przysyłała tu Karolinę i pytała, dlaczego panienka nie zajrzy i że może panienka dziś przyjdzie, bo pastor pojechał do Zalcu i pani jest sama.

— Może pani pastorowa gorzej się czuje? — zaniepokoiła się oderwana wreszcie od swoich spraw Hala.

— Tha! toć pewnie i nie lepiej, moja panienko. Na taką chorobę jak i ten paraliż niby to już chyba żadne doktory nie pomogą. Tak tylko aby dozapać do swojej pory. Ale żeby było gorzej, nic Karolina nie prawila — mrukliwa zwykle Katarzyna rozgadała się chętnie. Panienko! i co panienka wzięła tych pierogów! toć to kurczak więcęjby zjadł. A potem pan pastor mi powie: Katarzyno, źle karmicie waszą panienkę, bo źle wygląda. A ja co winna...

Nielatwo było jeść obiad pod nieustępliwem spojrzeniem Katarzyny.

Po obiedzie Halina przeniosła się zaraz do biurka pod jedno z okien. Roboty było tyle, a czasu mało! Niepewnym ruchem wzięła do ręki porzucony list od matki. Coś wreszcie trzeba postanowić — i zaraz rozchmurzyła się. Pójdzie do pastora z tą sprawą, może on jej co poradzi. Był przyjacielem jej ojca, później jej opiekunem, on ją tu sprowadził po powtórnem małżeństwie matki, on jej poradzi, co zrobić, aby nikogo nie ranić, a uniknąć bytności w „ich“ domu. Zaczem uspokojona odłożyła list do szuflady i otworzyła gruby zeszyt, na którego pierwszej stronie wypisany był jej całotygodniowy plan lekcyj.

Aż dziwne, jak odrazu pierzchły wszystkie troski i kłopoty, wszystko, co nie było „jej“ szkołą, „jej“ dziewczynkami. Pochylna nad planem jutrzejszych godzin pracy, oddała się całą surowym rozważaniom, ścisłym wyliczeniom celu i dróg do niego prowadzących. Tu była ta najtrudniejsza, w samotnej ciszy pokoju dokonywana część jej pracy; tu było laboratorium, w którym powstawały, były odrzucane lub rozwijane pomysły: jak? jak to zrobić? jak to uprzystępnąć? jak zainteresować, jak poprowadzić to zainteresowanie, jakimi chytremi metodami sprawić, by dzieci pamiętały to, czego się nauczą?

Ponownie pochyliła się nad planem lekcyj. Oto pole jutrzejszej walki z roztargnieniem, z nieuwagą, z gadulstwem, z nieinteligencją, z opieszałością dzieci. Cztery godziny, cztery różne poziomy, cztery różne zbiorowiska, a ile głów w zbiorowisku, tyle różnych zainteresowań, tyle rozstrzelonych dążeń, tyle niepodobnych

do siebie osobowości. Oto godzina polskiego w trzeciej klasie. Na podstawie przygotowanych przez Halinę na początku roku rozkładu materiału na miesiąc bieżący, wypada wziąć lekcję gramatyki. Małymi kroplami dawkuje się tę abstrakcyjną naukę dzieciom. Małym jest ten odcinek frontu, na którym mają się wprawiać w samodzielne, oderwane myślenie. A więc tak: zdanie złożone. Owładnięta nagłym natchnieniem przewraca Hala podręcznik, taki sam, jakiego używają jej uczennice, w poszukiwaniu dobrych przykładów, niewinnych z pozoru, a chytrych zdań, które zajmą swą treścią, zainteresują, jak na haczyk schwytają uwagę dziecka. A wtedy ona zapyta tak... Czy wszystkie dziewczynki znajdują odpowiedź? jak poprowadzić lekcję, by i te słabsze też same doszły do rozwiązania zagadnienia? Ręka panny Zaborskiej notuje gorączkowo w grubym zeszycie cały bieg lekcji.

A oto następna godzina: wprost od lekcji gramatyki do „godziny myśli” Słowackiego. Umysł opornie przerzuca się na inny całkiem bieg podczas gdy ręka sięga po inną książkę. Tu trudności piętrzą się. Tu nie chodzi o to, aby zapamiętać, tu trzeba odczuć. A nadewszystko trzeba starać się, aby z cudnego poematu nie uczynić pily, obrzydzącej go aż do końca życia, aby nie dać na nim nakleić etykiety: „lektura tylko szkolna”. Jak to zrobić? jak? jak?

---



## II.

Październikowa niedziela płakała od wczesnego rana rzadkimi kropkami deszczu, przerywanego przez porywisty wiatr, goniący nisko płynące, grube zwały chmur. Chwilami rozjaśniało się i szklany, martwy połysk kładł się po kałużach, lecz za chwilę znów ta sama gwałtowna wichura napędzała gromady chmur, pędziła po pustych ulicach miasteczka, ostatnie żółte, zbite z drzew liście.

Dochodziła zaledwie godzina dziewiąta rano. Z za żelaznej kutej furty, z podwórza gimnazjum żeńskiego zaczął się wysuwać pokaźny wąż uczenic. Nabożeństwo szkolne odbywało się właśnie o dziewiątej. Mała tylko ilość uczenic była katolickiego wyznania — i to przeważnie przyjezdne, córki przysłanych tu urzędników. W niedalekiej odległości od Strzałkowa, na południe i na zachód rozpoczynała się przewaga katolicyzmu, ale tu rdzenna ludność mazurska trwała silnie przy wierze ojców, wierze ewangelickiej, wyznawanej od dziadów pradziadów, przyjętej jeszcze w pokrzyżackich czasach.

Na samym prawie końcu długiego sznura uczenic szła dyżurująca dziś panna Zaborska; zresztą dyżur miał tu małe znaczenie. Tak, czy owak, zawsze bywała w niedzielę na tem właśnie szkolnem nabożeństwie. O dziesiątej bowiem modlono się w języku niemieckim, a o jedenastej, gdy zbierała się cała polska ludność miasteczka, panna Zaborska miała zawsze zebranie z uczennicami swojej klasy.

Szła teraz obok żalącej się głośno Armii Gradzińskiej.

— Pan Barczyński uwziął się na mnie i nawet jakbym umiała, to też takby wykombinował, żeby mi postawić dwójkę — dowo

działa rozżalona. — To za ten wierszyk, cośmy napisały na początku roku.

— Wstydź się Irmo tak mówić. Wierszyk był złośliwy, ale pan Barczyński już go wam dawno darował; a wczoraj rzeczywiście nie umiałaś lekcji.

— Pan Barczyński pytał z powtórzenia!

— Czy nie zadał powtórzenia? Zresztą, jeśli chcesz, poproszę go jutro, to cię poprawi.

Gradzińska umilkła, wobec czego panna Zaborska cofnęła się do ósmej klasy.

— Widzisz, jak go broni — mruknęła ofiara niesprawiedliwości do idącej z nią Lichtenfeldówny. — Nienapróżno ten idjota robi do niej takie słodkie oczy.

W tej chwili weszły na cmentarz przedkościelny i pierwsze pary zaczęły wstępować na szerokie, z czerwonego kamienia, wydeptane schody kościoła. Sam kościół, wielki, gotycki, z czerwonej nietynkowanej cegły, wznosił dwie ciężkie, kwadratowe wieże ku pośpennemu niebu. W przedsionku ucichły rozmowy; ta i owa sięgnęła ku zakrystjanowi po śpiewnik.

Prawy rząd ławek obsadzony już był przez gimnazjum męskie imienia Reja. Dziewczynki z szurganiem nóg zaczęły zasiadać po lewej stronie. Siedzące już poprawiały się w za szerokich dla nich miejscach, przewracały kartki w śpiewnikach, szukając odpowiednich pieśni. Panna Zaborska dopilnowała ostatniej siadającej uczennicy, poczem skierowała się ku swemu zwykłemu miejscu. Wzdłuż bocznych ścian kościoła bokiem też do ołtarza i do chóru stało kilka ławek. Pierwsza po lewej stronie wedle zwyczaju była przeznaczona dla rodziny pastora. Lecz pastor Dammholt był bezdzietny; pastorowa, sparaliżowana od kilku lat, nie korzystała z tej ławki, wobec czego oboje nakłonili Halinę do korzystania z niej. Siadła też tam i teraz, mając przed oczami cały kościół: na lewo ołtarz, na prawo długi rząd ławek obsiany jasnymi i ciemnymi głowami jej uczennic, dalej mroczne drzwi kościelne i chór naderzwiami. Inne ławki, wzdłuż bocznych ścian stojące, a należące do najważniejszych rodzin w mieście, puste były zwykle na tem nabożeństwie. Zapełniały się o dziesiątej lub o jedenastej; a choć wiele z uczennic panny Zaborskiej miało do nich prawo, siadały jednak zawsze razem, w ławkach środkowych. Przykładem była Elza Baisenówna. Ławka rodziny von Baisenów stała nawprost ławki

panny Haliny, po drugiej stronie kościoła. Halina jednak nigdy nie widziała, by w niej ktoś siedział: państwo von Baisen bywali na nabożeństwie o dziesiątej.

Zaledwie panna Zaborska zdążyła otworzyć śpiewnik na odpowiedniej stronie, zabrzmiały organy. Otworzyły się wszystkie usta do śpiewu. Siedząc w ławce z oczyma spuszczone na śpiewnik i dołączając swój głos do głosu wszystkich, Halina czuła, jak wraz z prostą melodją splywa na nią cichy pokój po całotygodniowej wyczerpującej pracy, po wewnętrznych rozterkach i niepewnościach, po drobnych smutkach i zawodach. Łagodne światło witraży, dzieciinne głosy jej najmniejszych najbliższej siedzących wychowanek, zrosłe z nią od najwcześniejszego dzieciństwa słowa pieśni, wszystko to zasiewało w jej duszy pogodę i zadowolenie z istnienia Czegóż jej brakło? czego mogła jeszcze pożądać? czyż nie czuła się już zupełnie szczęśliwą? W tej chwili pastor wezwał obecnych do dziękczynienia Bogu za otrzymane łaski. Wraz z całym kościołem uklękła i panna Zaborska. Ukryła twarz w dłoniach. Była w tej chwili cała jedną żarliwą, radosną modlitwą dziękczynną temu potężnemu, niepojętemu przez żaden rozum ludzki Bogu, Stwórcy świata. Jedno Jego skinienie mogło zburzyć wszechświat, zatrzymać gwiazdy, przenieść góry na miejsce mórz — i On, Pan potężny, pamięta o niej, drobnym pyłku. W żarliwym, poćmiodym nastroju śpiewała z głębi duszy swą wdzięczność — i gdy pastor wszedł na kazalnicę, pozostała z rękoma splecionymi, z oczami rozblyśniętymi, z rozchylonymi jak do modlitwy ustami. Parę starszych osób, siedzących w ławkach bliskich Haliny coraz się zablakało zdziwionym wzrokiem na twarz nauczycielki, która przyjechała tu z głębokiej, katolickiej Polski, która jest tak napewno Polką — i tak gorliwą ewangeliczką.

Nabożeństwo dobiegało końca. Czarne śpiewniki leżą po ławkach spodnią okładką do wierzchu. Jeszcze raz cały zbór powstaje. Z pamięci wszyscy śpiewają pełnym głosem najpiękniejszą pieśń:

*„Święty, Święty, Święty jest Zastępów Pan,  
„A ziemia i niebo, a ziemia i niebo pełne Jego chwały są“.*

Organy milkną. Przy wyjściu powstaje zator; dziewczynki w rozsypce gawędzą swobodnie, strzelając niby nieumyślnymi spojrzeniami na „Rejaków“, pomieszanych z niemi. W przedśionku za-

Krystjan nad stosem egzemplarzy „Przewodnika Ewangelicznego“.  
Na dworze jasno: wiatr poprzepędzał chmury i teraz szarpie tylko  
nagiemi pętlami młodych drzewek przed kościołem. Pana Zaborska  
odchodzi, żegnana ukłonami stojących po kilka uczennic.

— A więc u mnie za pół godziny, dziewczynki — mówi do kórejś z mijanych grupek. — Krysiu masz referat?

Dziewczynka odpowiada potwierdzająco i chce coś jeszcze  
dodać, kiedy dogania Halinę zakrystjan. Pan pastor prosi panią do  
zakrystji. Halina wraca. Pastor kończy rozmowę z jakimś człon-  
kiem Towarzystwa Biblijnego.

— Halinko, będziesz u nas dziś po obiedzie? Matka stęskniła  
się już za tobą.

Pastor zawsze tak nazywa swoją żonę, mimo że pastorowanie  
jest już niczyją matką: jedyny syn ich dawno już zginął w błotach  
Polesia, w ostatnim roku wielkiej wojny.

— Przyjdę, panie pastarze, tak około czwartej.

— To dobrze; ja będę właśnie na zebraniu Towarzystwa Bi-  
blijnego. Będziecie mogły swobodnie pogadać.

Następnym punktem dziennym każdej niedzieli, po nabożeń-  
stwie szkolnem, jest zebranie kółka miłośniczek literatury, założo-  
nego z entuzjastek klasy siódmej. Istnieje wprawdzie takie samo  
kółko, założone w klasie ósmej — ale posiada ono charakter bar-  
dziej oficjalny, a przytem przesiąkłe jest podświadomym, ustawi-  
cznym lękiem przed maturą i chęcią uzbrojenia się przed nią, a więc  
posiada raczej charakter utylitarny. Nieliczne kółko klasy siódmej,  
to gromada entuzjastek, studujących to, na co która ma ochotę —  
od Reja do Wierzyńskiego.

Siedzą teraz u ukochanej nauczycielki, swobodnie — ta pod  
oknem na krześle, te pod drugim oknem na otomanie, jedna na  
stołeczku. Jedynie prezes kółka, rozważna Joasia Majerówna i wy-  
głaszająca dziś referat Kryisia Zagorzałówna siedzą przy stole.  
Panna Zaborska, uważna słuchaczka, jak zwykle siedzi zdala przy  
biurku.

Referat już odczytany i zaogniona dyskusja kończy się. Jan  
Chryzostom Pásek jako typ człowieka — obywatela został rozpa-  
trzyony, osądzony, potępiony z gwałtownością i bezkompromisowo-  
ścią siedemnastoletnich umysłów. Ostatnie druzgocące zdanie wy-  
powiada właśnie z wysokości swego stołeczka Ludka Borkowska,

kiedy prezeska, przeglądająca od pewnego czasu swój zeszyt, podnosi zmieszana twarz.

— Proszę pani, co będzie w przyszłą niedzielę? Miała mieć referat Mada Bekerówna, ale jest przecież chora i do przyszłej niedzieli nie wyzdrowieje...

Pana Zaborska porusza się w swym wolterowskim fotelu.

— Wartoby, dziewczynki, ułożyć plan zajęć choćby na najbliższe kilka tygodni, a nie tak dorywczo jak teraz. Możebyście pomyślały i zgłosiły się, co która miałaby ochotę przygotować?

Dziewczynki kręcą się niespokojnie. Jużci, należeć do kółka bardzo przyjemnie: poważne zebrania, na których można się wygadać na interesujące tematy, a co najważniejsza, w tak bardzo nieszkolnej atmosferze... ale referat to kłopot. Prezes, pedantyczna, dokładna Joasia, rumieni się i zwraca okrągłą twarz i oczy za amerykańskimi okularami ku nauczycielce. Inne oddychają z ulgą.

— Właściwie, to ja już przedtem, proszę pani, myślałam o takim referacie ze Słowackiego... Tak mało go się czyta w szkole... Więc może taki: „Nieznane najpiękniejsze wiersze Słowackiego“. Oczywiście, nieznane przez nas...

— Oho, to nam będziesz czytała przez trzy dni!

— Bo pewnie! Wybierze ze dwadzieścia!

— Właśnie że nie! Ze trzy... alebym chciała dobrze opracować. Jest taki jeden cudny wiersz „Do pasterczki...“

Ludka Borkowska wydyma pogardliwie usta. Majerówna jest pilna, dobrze się uczy, ale niema w klasie zdolniejszej nad Ludkę. Tej wszystko przychodzi z łatwością.

— Już, jeżeli koniecznie referat ze Słowackiego, to mógłby być ciekawszy. Naprzykład coś w tym rodzaju: Słowacki jako poeta dzisiejszego pokolenia. On jest najbardziej współczesny, taki właśnie dzisiejszy: lekkość formy, kapryśność, zmienność, humor — i przytem głębia psychologiczna — ocenia poważnie. — Ja wezmę ten referat — decyduje wkońcu.

— A ja wolałabym coś innego, nie ze szkoły — krytykuje obie koleżanki Eda Lichtenfeldówna. — Proszę pani, czy może być taki referat: doktor Judym, a Ryszard Nienaski? Judym miał rację, że się nie chciał ożenić, żeby się Nienaski nie ożenił, toby nie zginął, aleby pracował dalej dla społeczeństwa — mówi szybko.

— Co za związek jednego z drugim? — wykrzykuje popędliwie Ludka.

— A ja wam dowiodę na podstawie samego Żeromskiego!

— No, więc dobrze, Eda przygotuje swój referat na przyszłą niedzielę, bo zdaje się, że go ma już w głowie, a wy dziewczynki, która nie czytała „Walki z szatanem“, niechże teraz przeczyta, żeby nie musieć milczeć w czasie dyskusji. Ludka i Joasia na następną niedzielę.

— Gdyby tak ktoś zadeklował te wiersze, proszę pani — odzywa się nieśmiało Majerówna.

— To może cały wieczór deklamatorski zrobić, co? — zaśmiała się, zwykły kpiarz, Eda.

— Dlaczego nie? Odegrajmy Balladyne, Kordjana i Anhellego w przeróbce na scenę według naszego pomysłu — kpinkuje za jej przyładem Krysia Zagorzalówna. Ale Ludka zastanawia się poważnie.

— A cóżby to było ztego, jakbyśmy taki wieczór wydały, my, siódma klasa, dla całej szkoły?

Pomysł uderza uczennice.

— Kazia by deklamowała...

— O, o, zaraz ja — odzywa się niechętnie milcząca przez cały czas Bartusiakówna.

— A pewnie, że ty!

— Ale żeby coś odegrać!

— Anhellego w naszej przeróbce?

— Eda, uspokój się! Proszę pani, czy to zupełnie niemożliwe? Taki wieczór, co?

Halina też została uderzona pomysłem. Jej zmysł organizacyjny i zamiłowanie do nadprogramowej, niezwyklej pracy, zapala się.

— Może... może.. Ale miałybyście dużo pracy...

Chór radosnych głosów wybucha.

— To nie! to nie! Hurra wieczorek!

— Pokażemy, co to my!

— I jakąś sztukę, proszę pani!

— Ósma przestanie zadzierać nosa!

Halina zatyka uszy.

— Ojej! tyle hałasu! No więc dobrze, naniyszę się, czy i o ile to możliwe, i powiem wam za tydzień. A teraz zakończymy zebranie. Te dziewczynki, które nie obmyśliły sobie jeszcze żadnego referatu, może coś obmyślą na przyszłą niedzielę dobrze?

Elza Baisenówna, siedząca w kąciku za Kazią, kręci się nie spokojnie i rumieni. Cały entuzjazm, jaki wzbudziła w niej myśl o wieczorku, znika. To do niej teraz, napewno do niej mówi panna Zaborska. Tak chciała należeć do tego kółka, a teraz, żeby choć pokazała, że warto ją było przyjąć! Patrzy błagalnie na pannę Halinę: żeby choć spojrzała, możeby zrozumiała, że to nie w jej, Elzy mocy, przemówić tu, może jeszcze zgłosić się z referatem? Ilekroć chce przemówić na posiedzeniu, coś ją ściska za gardło, rumieniec pokrywa twarz i obejmuje ją strach, poprostu strach, no i wstyd: cóż to, ona taka mądra, że się chce tu popisywać? ona, która nawet pisać dobrze nie umie? Była wrażliwym, delikatnym, uczuciowym dzieckiem, które z dziesięciokrotną mocą odczuwa radości i zgrozoty i ginie bez cieplejszej atmosfery. Od pierwszego dnia lekcji pokochała niewiadomo za co pannę Zaborską często się zdarzającą, cichą a gorącą pensjonarską miłością uczennicy do nauczycielki teraz żyła naprawdę tylko w pobliżu niej, wydana na pastwę radości i smutków z najdrobniejszych powodów. Dziś odważyła się na coś — i drżała z obawy, by się to nie wykryło jeszcze tak zaraz, aby nie przy niej...

Zebrań było skończone i dziewczynki zaczęły się żegnać.

— A jutro znów do szkoły...

— Och!! — ciężkie westchnienie — jutro klasówka z matematyki!

— Majerówna, jak nie przyślesz ściągawki... — mówi bezczelnie (przy nauczycielce!) Lichtefeldówna.

— Od Majerówny ściągawkę! — zdumiewa się Ludka i słusznie: gdyby Majerówna podpowiedziała albo dała ściągawkę, świat by się skończył. Miła i dobra koleżanka na tym punkcie jest nieublagana. Siedzi zawsze wyprostowana i uważna w swej trzeciej ławce i raczej dałaby sobie rękę uciąć, niżby zamieniła choć kilka słów z sąsiadką.

Wychodzą po kolei z głośnem pożegnaniem. Panna Zaborska z przedpokoju zagląda do kuchni.

— Katarzyno, prędko obiad? Bo ja wychodzę na plebanję.

— Zaraz, zaraz toć się nie pali — mruczy Katarzyna i idzie nakryć stół, przy którym był odczytywany referat. Halina wchodzi do drugiego pokoju, służącego jej za sypialnię, aby poprawić włosy. Nagły okrzyk zdumienia.

— Katarzyno! Skądże to? — i nagle, prawie przerażone po-

dejrzenie w myśli: toż przecież chyba nie Barczyński — o Boże!  
Na stoliku przy łóżku stoi olbrzymi pęk przecudnych, ostatnich  
już goździków.

Katarzyna zagląda jej obojętnie przez ramię

— A to panna Baisenówna przyniosła, tylko co przed panien-  
ki i tamtych pańienek przyjdziem. I prosiła, żeby nie pani nie  
mówić.

Halina stoi jeszcze oszupiała, choć lęk ją (... i o cóż?) odszedł.

— Ależ ta mała oszalała! Ileż ona zapłaciła za te kwiaty?

— A juści, zapłaciła. Nie mają to niby ogrodu i oranżerji.  
Jakem jeszcze służyła u pani pastarowej, to nieraz mnie pani po-  
syłała do państwa Baisen. Sama widziałam, jak w styczniu u nich  
kwitli bez, a w lutym róże — w tej oranżerji niby.

Plebanja leżała za kościołem. Chcąc się do niej dostać, trzeba  
było przejść przez cmentarz kościelny między kościołem a jakimś  
sadem obok, za kościołem wykręcić na prawo i wtedy w ogrodzie  
ukazywał się piętrowy domek pastarostwa Dammholt. Dla Haliny,  
jednak bliższą była droga od tyłu, wśród sadów i wiejskich prawie  
domów nad rzeką. Ulica wznosiła się później na wzgórze, na któ-  
rem stał kościół i w pewnej odległości od kościoła, jak się stąd zda-  
wało, plebanja, widoczna zdaleka. Tam, w szerokiej wnęce wene-  
ckiego okna na pierwszym piętrze spędzała resztę swego życia pa-  
starowa Dammholt.

Na parterze po jednej stronie mieściła się kancelarja, po dru-  
giej mieszkał wikary. Piętro zajmowali pastarostwo. Halina wbie-  
gła szybko po wyfroterowanych, bez najmniejszego pyłku scho-  
dach do domu, w którym lepiej się czuła, niż w „tamym“, w Pe-  
znaniu. Zanim zadzwoniła, otworzyła jej drzwi Karolina.

— No, panienska! Nareszcie! Pani doczekać się już nie może.

Pastarowa zwróciła swę bladą, szczupłą twarz ku wchodzącej  
do pokoju i żywo odłożyła paczkę poślódkłych papierów na bok.  
W głębokiej wnęce okna łatwo mieścił się jej fotel, mały stolik do  
roboty.

— No, Haluniu! cóż się z tobą dzieje? Nie widziałam się z ty-  
dzień.

Pomimo wielu lat małżeństwa z Polakiem, za jakiego pastor  
Dammholt zawsze się uważał, zachowała jeszcze w mowie słaby  
akcent niemiecki.

Hala przywitała ją żywo i ze szczerem uczuciem. Zaraz też



Karolina przyniosła jej krzesło i wyszła. Halina zaczęła opowiadać zdarzenia z przeszłego tygodnia i wspomniała wreszcie o pomysśle, jaki ... w dzisiaj uczennice na zebraniu literackim.

— Wieczorek? Wieczór literacki chyba — zauważyła pastora. Dobrze się zastanów, Halu, bo możesz wziąć przez to na siebie olbrzymią pracę.

— Ale to ciekawa robota! Jakaś deklamacja — może chór ((jeśliby pan Wieczorek zgodził się dać parę pieśni) no i na zakończenie jakiś wyjątek z komedji albo tragedji...

— Sama tego nie zrobisz. Pomów z przełożoną, co ona powie. Wyjątek z tragedji! A kostjumy?

— Jest przecież Koło Rodziców. Może onoby pomogło? — ukiada głośno plan działania Halina. Powoli obie, i pastora, zasadniczo przeciwniczka pomysłu, i panna Zaborska, pograżają się w obmyślanie organizacji przedsięwzięcia. Ale ta druga już po chwili odbiega myślą do innego tematu.

— Czy pani wie? dostałam dziś olbrzymi bukiet goździków. Pastora porusza się niespokojnie.

— Kwiaty? Od kogo?

— Od Elzy Baisenówny. Przyniosła, kiedy mnie w domu nie było i dopiero po jej wyjściu zobaczyłam je.

— To miłe dziecko, Elza — uśmiecha się pastora.

— Co to za dziewczynka? Pani ich zna dobrze, prawda? Elza pierwszy rok jest w mojej klasie.

— Berta Baisen nie była jeszcze u ciebie? To dziwne. Mała jest trochę chorowita — ma słabe płuca, wiesz? — i oboje rodzice wciąż drżą o nią. Żeby nie jej zdrowie, oddalby ją na niemiecką pensję do Kwidzyna, ale jakże tu odesłać ją z oczu? Henryk nie może przecież opuścić fabryki, a Berta męża. I tak, mała chodzi do was i bawi się w spolszczenie, jak mówi matka.

— No, i to dość dokładnie się spolszcza — zauważa Halina. — Czy pani wie, że ona należy do naszego kółka miłośniczek literatury? A matka dała na to pozwolenie.

— Matka jej na wszystko da pozwolenie. To dlatego Elza zaczyna mówić ze służbą po polsku! — rozczłamała się pastora.

— Pani ich zna dobrze?

— Jakże? Mieszkamy tu przecie razem tyle lat. Kiedy Henryk Baisen się żenił, mój mąż dawał mu ślub. Była to pierwsza czynność jego na tem probostwie. Potem chrzczył i naprzemiany

grzebał. Dwu starszych chłopców im umarło. Została tylko Elza. Nie dziw, że tak drżą o nią... A Wilhelm Baisen był przyjacielem Janka — dodaje cicho, odwracając głowę do okna.

— To był jeszcze jeden Baisen?

— Jest, tylko siedzi w Niemczech. Brat Henryka. Likwidował interesy fabryki i jakoś nie chce mu się wracać. Wilhelm Dlaczego go tu niema! — westchnęła naraz. Najlepszy, najmilszy z nich, kochany, serdeczny chłopak. Razem chodzili z Jankiem do szkoły, razem się zawsze uczyli, razem zdawali. I razem poszli z siódmą klasą do wojska... — dodaje prawie szeptem. — Tylko, że Wilhelm wrócił.

Halina milknie. Kiedyś uważała za swój obowiązek odrywać pastora od takich rozmyślań; dziś wie, że to na próżno.

Ile razy przyjeżdża, tyle razy przesiaduje u mnie. Nie nuży się tu. Żeby już raz osiadł w Strzałkowie! Przyszłoby, porozmawiał... — dostała wtedy list od Janka. On też miałby teraz trzydzieści lat.

Halina oparła głowę na ułożonych na stole rękach. Znała dobrze z wyblakłych fotografii tego młodzieńczego, puculowatego chłopca o blond czuprynie którego kości próchniały gdzieś daleko, w niewiadomych bagnach Polesia...

W tej chwili weszła Karolina z połową goździków, które otrzymała rano Halina umieszczonych we flakonie.

— Gdzie to postawić proszę pani?

— Co? Okradłaś siebie Halu, dla mnie? — uśmiechnęła się blado pastora oderwana od wspomnień. — Daj je tutaj, kochanko.

Przyjrzała się życzliwie kwiatom, dotknąwszy ich zółką, pomarszczoną dłonią.

— To te goździki od Elzy? Bardzo ładne... Kiedy zaczęłaś mówić, że dostałaś kwiaty, myślałam, że od...

— Nie, nie — przerwała z pośpiechem Halina. Po chwili dodaje trochę zmieszana: — Ja też wtedy zlekłam się...

Pastora badawczo i życzliwie patrzy na jej zarumienioną twarz.

— I co z tego będzie Haliniu? — spytała wkońcu.

Panna Zaborska odwróciła twarz ku oknu i zamysliła się, patrząc na idące pochyło ku rzece pola.

— Nie wiem — rzekła szczerze. — Pan Barczyński jest bar...



Idź miły, bardzo kulturalny człowiek... Niema kwestji, w której różnilibyśmy się w zdaniach... — zamyśliła się znowu.

— Nie podoba ci się?

Halina roześmiała się, raczej do swoich myśli, niż do pastoraowej.

— Owszem! Nawet kiedyś, kiedyś, za pensjonarskich czasów, marzyłam, że zakocham się tylko w człowieku o czarnych oczach — roześmiała się znów. — A on ma właśnie czarne

— Katolik... — przypomniała cicho pastora.

— To prawda...

— Zmieniłby może religję, ale...

— Ale co warte — dokończyła jej myśli Halina. Znały dobrze swoje poglądy na tę sprawę. Zamyśliły się, tym razem obie. Wreszcie Halina podniosła głowę do góry.

— Dlaczego się mam martwić? Czy muszę zaraz decydować?

Czy muszę koniecznie wyjść zamąż do Bożego Narodzenia?

Tyle było komicznego buntu w jej głosie i w tym fantastycznym terminie zamążpójścia, że pastora roześmiała się. Zaraz potem spoważniała.

— A więc na Boże Narodzenie pozostajesz z nami?

— Tak. — Jeszcze raz zblądziła zamyślonemi oczami za okna. Zbocze wzgórza schodziło między ogrodami łagodnie ku rzece, nad którą rosły olchy. Na lewo widać było niskie domy o czerwonych dachach. Deszcz zaczynał znów padać.

### III.

W wigilię Bożego Narodzenia Halina obudziła się z nawyku o siódmej i po chwili dopiero otumaniony snem umysł przypomniał, że nie trzeba zrywać się do szkoły. Święta! Odpoczynek! Jak już oddawna, przez każde rozmyślanie przewijała się spodem podświadoma myśl: szkoła. Program do Bożego Narodzenia wyzerpany. Zeszytów do poprawy przez święta nie ma — co za szczęście! (Tej jednej pracy nie lubiła). A więc można będzie czytać i czytać! Wprawdzie trzeba złożyć wizyty tu i tam: u przełożonej, u profesostwa Żurków. Plebanji nie liczyła. Dzisiejszy dzień, dzień wigilijny — całkowita swoboda, żadnych czytań, żadnych wizyt! W wełnym nastroju zerwała się z łóżka.

Wobec nadchodzących świąt tak dobra gospodyni jak Katarzyna nie mogła nie zrobić przewrotu w małym domu Haliny. W pokojach miały być jeszcze raz przetarte szyby; zaciągnięta podłoga; z kuchni dochodził zapach świeżego ciasta.

— Może Katarzynie co pomóc?

Katarzyna zwraca rozognioną twarz ku intruzowi.

— Moja panienko! już ja sobie sama dam radę. Lepiej niech panienka idzie gdzie na spacer albo na plebanję ubierać choinkę.

Na plebanję zawczasie. Wypędzona z kuchni staje Halina w oknie pokoju. Świat jest cały biały. Drzewa za oknem w ogródku obciążone są śniegiem. Niebo jest perłowe. Za chwilę pewno znów zacznie sypać. Na ulicy niema bawiących się zwykle śniegiem dzieci: wszyscy śpią dokądś... Znika beztraska radość przebudzenia. Powoli, nie wiedzieć skąd, wpełza do serca Haliny melancholija wigilijnego, samotnego dnia, gryzący żal za latami

dzieciństwa, za czarodziejskim nastrojem dawnych dawnych wigilij... Jak gorzko i smutno na sercu.

Ale Halina umie zwalczać szkodliwe nastroje. Iść na spacer, rużać się — oto co może zrobić. Przed oczami wyobraźni powstaje wzniosła się ze w górza na wzgórzu pośród świerkowych lasów szczytowa. Na tę wyprawę nie trzeba nawet zbyt ciężko ubierać: krótka spódniczka, krótki kożuszek barankowy wystarczą.

Na korytarzu zatrzymuje się: puka do drzwi przeciwnych.

— Frau Schultze? Idę na spacer — może ni pani da Ralfa?

— Ach, ja! Bard o dobrze! — odpowiada zadowolona pani Schultze i za chwilę wypada Ralf, skacząc na dwie psie wysokości na widok smyczy.

— Ralf, psisko, nareszcie idziemy na spacer!

Pośród psiego ujadania i skoków wybiega panna Zaborska na ulicę. Mróz jest nieduży, śnieg zapada się pod łapami szalejącego psa. Halina kieruje się za miasto. Jest zaledwie godzina dziesiąta. Po jednej stronie drogi ciągną się rozwleczone pośród ogrodów parterowe domki o czerwonych dachach, po drugiej kończą się łąki, a zaczyna niska, zasypiana śniegiem łąka. Ostatnie domy miasteczka i łąka giną u brzegu podmiejskiego lasu. Droga wykręca i oto wbiega już na pierwsze wzgórze, z którego widać ją daleko, daleko...

Po obu stronach białej, zaśnieżonej szosy, poza wąskimi, równoległymi pasami łąki zbiega wraz z szosą ze wzgórza na wzgórze cudowny, jodłowy las. Ciemno-zielone gałęzie obciążone śniegiem chylą się do ziemi, ostre szpice mierzą w perlowszary, nisko nawisłe niebo. Bylejaki plot z długich, rudych pni jodeł, leżących w powietrzu na powbijanych zrzadka kółkach odgradza las od łączki przy szosie. Droga wiję się to w górę to na dół; las to przybliża się do niej, dając ujrzeć swe ciche, białe, tajemnicze wnętrza, to odsuwa, rokładając się po zboczach i dolinkach. Ciszsza i białość, nieruchome drzewa, o malowniczo wygiętych ku dołowi cudnie zielonych gałęziach wywołują nastroj bajki. Rolf biegnie przodem, puszczony ze smyczy, obwąchując każdy kamień to znów tarzając się daleko w śniegu; Halina idzie za nim z rękami w kieszeniach kożuszka. Bajki... Dawne, dzieciinne, zapomniane bajki o śpiącej królewnie, ukrytej za siedmiu lasami, za siedmiu

Górami... Za siedmiu takimi lasami... O rycerzu, który przedzie-  
rał się przez takie zarośla, przez ostre ciernie, w tajemniczej ci-  
szy śpiącego lasu... O szklanej górze, mającej swój szczyt wysoko  
gdzieś, wysoko pod perlówem, zimowem niebem...

Śnieg zaczął prószyć wielkimi płatami. Świat jakby zmniej-  
szył się, zrobił zaciszniejszy. Halina z rękami w kieszeniach idzie  
przed siebie. Niema już dziś bajek, niema nic z dawnych, dobrych,  
dziecinnych czasów; jest tylko samotna, pusta, daleka droga;  
ona sama, samotka w ten ranek wigilijny.

Teraz droga wyprostowuje się, wyrabana poprzez górę, na-  
chyłającą się z prawej i lewej strony szczy ostro ściętymi zbo-  
czami. Tu wreszcie napotyka Halina pierwszy ślad ludzkiego  
istnienia: daleko, gdzie droga wije się między dwiema rozdzielo-  
nionymi połaciami górą idącego lasu, pojawił się ciemny kształt  
jadącego konno chłopca. Jedzie przed świetami do miasta. Na  
zbozczach drogi suche, bezśnieżne, poplątane drobne gałązki tarni-  
ny i dzikiej róży. Halina spogląda na drogowskaz i oczom nie  
chce wierzyć: pięć kilometrów od Strzałkowa! Siada na wielkim,  
przydrożnym kamieniu, plecami do zbocza góry. Rolf przybiega  
do niej i dysząc, z wywieszoną w postawie u jej stóp. Mądre,  
brązowe ślepią zwraca przyjaznym spojrzeniem na nią, potwier-  
dzając ruchem ogona swą sympatję. Lecz nastawia wnet uszu na  
daleki odgłos kopyt po drodze. Halina przezornie nakłada mu  
kasztanowatego konia i jeźdźca. Tylko to nie chłop jedzie na  
szkapie do miasta, o, nie. Halina obserwuje z upodobaniem pra-  
wdziwie męską postawę jadącego, śliczny chód konia. To nie  
chłop tak siedzi, nie chłop ma tak rycerską postawę... Rycerską...  
D, są tu jeszcze po okolicznych wsiach ci nieposkromieni krzy-  
taccy poddani, co ongi poselstwa do króla polskiego wysyłali aby  
przyszeli i przyłączyli ich do siebie.

Znać, że jeździec zdala już widzi siedzącą na przydrożnym  
kamieniu. Zdziwionem spojrzeniem obejmuje Halinę i psa. Koń  
zwalnia biegu. Rolf poczęł nagle ujadać i zaczyna się szarpać.  
Czem bliżej kamienia tembardziej zwalnia koń biegu. Pewien  
siebie, zaczepny uśm och zakwita na twarzy jeźdźca. W smągłej  
twarzy bruneta uderzają oszalałającą niespodzianką wielkie  
błękitne oczy.

— Wie weit ich nach Strelkau, schöne Fräulein?  
Cios jest zbyt silny i zbyt niespodziany: Niemiec?! Prawie automatycznie pada odpowiedź:

— Nie rozumiem.

Jeździec nie spuszcza z niej przeciągłego spojrzenia.

— So? Pardon — mówi wkońcu. Spojrzenie przeciąga się — uklon półwojskowy i koń, nagle uderzony szpicrutą, popędził kłusem. Rolf aż chrypnie, wyszczekując swój żal i rozpacz, że tamci uciekają tak szybko, a on gonić ich nie może. Halina pozostaje na kamieniu i naraz aż zatrzęsła się z oburzenia: toż nawprost niej napis na drogowskazie oznajmia wyczerpująco: Do Strzałkowa 5 klm. Więc to był taki zręczny sposób rozpoczęcia rozmowy z napotkaną kobietą! Schöne Fräulein? Potomek rycerzy walczących z krzyżakami! A przytem nie jest obcy i drogę do Strzałkowa zna napewno, bo Halina pamięta, że już widziała gdzieś jego beczelnie śmiejące się oczy.

#### IV

W pierwszy dzień świąt panna Zaborzka zwolniła Katarzynę, żeby ta mogła odwiedzić krewnych na wsi. Sama miała przepędzić dzień na plebanji, dokąd przyszła prosto z uroczystego nabożeństwa o jedenastej. W planie było kilka wizyt, jakie mieli przyjąć dziś pastorstwo i Halina przygotowywała się do wystąpienia w póloficznej roli wicegospodyni.

Zrzuciła futro w przedpokoju i weszła do stołowego. We wnęce, na zwykłym swem miejscu siedziała pastorowa pogodna, mimo zaczerwienionych zlekką oczu. Halina pochyliła się do jej rąk z życzeniami.

— I ja tobie, Haluniu, życzę szczęścia — a przede wszystkim, żebyś nie straciła nigdy swej pogody i radości życia. — I zaledwo siadły, rzekła: — Mnie dziś już radość spotkała. Wilhelm przyjechał. Był tu z samego rana.

— Doprawdy? — rzekła szczerze ucieszona radością pastrowej Halina. — Przyjdzie może popołudniu?

— Nie, pojechali wszyscy do Friedrichsdorfu. On się tam wkońcu, zdaje się, ożeni. Kochane moje chłopaczko! nie się nie zmienia. Do śmierci pozostanie takim postrzeżonym Willim.

I zaczęła długo o nim opowiadać, z czego Halina mogłaby odbudować całą historję życia młodszego von Baisena, gdyby nie przyjęcie pastora, które przerwało te opowiadania.

Jak pastorowa była niska i drobna, tak pastor wysoki i tęgi. Rzadkie, siwe włosy zaczesane do tyłu, duża, pełna twarz i krótkowzroczne jasne oczy, z których zsuwał zwykle okulary na czoło, nadawały mu wygląd wzbudzający zaufanie i sympatję. Mówił zawsze bardzo głośno.



— No, Haluniu! Nareszcie nie będziesz się śpieszyć? Uwięzimy cię na cały dzień, co? — zawołał tubalnie na jej widok.

Halina pocałowała go z szacunkiem w ramię.

— Cóż z tego, kiedy pan pastor nawet dziś nas rzuca zaraz po obiedzie.

— Ho, no, cóż robić? Piątek, niedziela i każde święto, to już największa praca. Ale nie skarżę się. Aby jak najdłużej!

Zwykłym ruchem założył wielkie palce rąk za pachy kamizelki i przechadzał się po pokoju ciętko, aż trzeszczały pod jego krokami błyszczące, żółto malowane deski.

— Jak ci się Halu podobało kazanie wikarego?

Nim zdążyła odpowiedzieć, Karolina weszła z wazą zupy. Przesunęła pastorową z fotelem do stołu.

Po obiedzie pastor wyniósł się szybko

— No zastanę chyba jeszcze wszystkich, kiedy wrócę. Zatrzymaj ich, matko!

Pierwsi przyszli profesorstwo Żurkowie. Pani Żurkowa uczyła polskiego w niektórych klasach gimnazjum żeńskiego i w całym męskim; pan Żurek uczył w obu matematyki. Niestare to jeszcze było małżeństwo i nie znalazłby się chyba człowiek, któryby ich nie lubił: profesora za jego dobroduśną pogodę i niezmacony nigdy humor, ją za życzliwość i uczynność. Zaraz po nich przybył Barczyński, nauczyciel historii. Choć katolik (jak i Żurkowie) bywał w domu pastorostwa z tytułu koleżeństwa: pastor również uczył w gimnazjum. Właściwy jednak powód tych wizyt leżał gdzieindziej.

— Co myśmy słyszeli, panno Halino! Podobno pani całą szkołę przewraca do góry nogami dla tego przedstawienia! Mnie przed samymi świętami przepadły dwie godziny lekcyj w siódmej klasie!

— Tylko dwie? — zdziwił się Barczyński. — Mnie dużo więcej.

— Bo kolega jesteś za łagodny! Trzeba się stawiać, o, jak ja! Przedstawienie? A dyskusja! A równania bikwadratowe!

— O, jaki profesor na mnie zły za te dwie godzinki. Przyrzekam, że po trzydziestym stycznia to się zmieni.

— A więc trzydziestego stycznia? I cóż to będzie?

— Ho, ho! co to będzie! — zabrał głos dobre poinformowany Barczyński. — Aż dwie sztuczki, deklamacje, tańce, chóry...

Tylko, zanim to nastąpi, panna Halina się zamęczy. Codzień próby!

— No, przecież chóry i tańce to nie ja prowadzę...

— Tak, tego jeszcze brakowało! Ja daję tylko dwie zbiorowe deklamacje i też mam dość — napadła z innej strony Żurkowa.

— A miałaś przecie Halu wziąć do pomocy Koło Rodziców? — zdziwiła się pastorowa.

Halina zmieszana patrzyła wokół

— Ojej, wszyscy na mnie! Koło Rodziców? o, proszę pani, bez niego nie dam sobie rady. Zaraz po świętach dyrektorka obiecuje zrobić zebranie. Myślę, że zajmą się kostjumami, urządzeniem sali... Krzesel wcale niema...

Barczyński nie spuszczał z niej czarnych oczu.

— Żeby pani mnie zaprzęła do jakiej pomocy, panno Halino...

— Pana? Umie pan szyć kostjумы? No widzi pan! — ale widząc jak mu twarz pochmurnieje, szkoda jej się go zrobiło. — Zato zamawiam sobie pomoc pana na dzień przedstawienia, dobrze?

— Z ochotą!

— Oj, dowcipne są te pani małe z siódmej! — zaczął Żurek. — Przychodzę w piątek na lekcję do sali fizycznej — aż tu panienek na lekcji raptem dziewięć: reszta a to na próbie, a to na chórze... To te wszystkie kozy wpakowały się do jednej, ostatniej ławki na samej górze i siedzą. Powiadam państwu, ażem się roześmiał. W tej olbrzymiej sali dziewięć, w jednej ławce i to gdzieś wysoko pod sufitem!

— Muszę pani pokazać wypracowanie jednego chłopca od Reja — rzekła Żurkowa do Haliny. — Wyobraźcie sobie państwo — to był opis już nie pamiętam jakiej uroczystości i mały dokładnie zakończył opisem powrotu do domu — tylko się nie zgorzście: „Idąc do domu, bolały nas brzucha, będąc bez obiadu“.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— O, to piśmiennie. A jak mnie w ustnem opowiadaniu poinformowała Borkowska, że Władysławowi Jagielle urodził się małoletni syn... Biedaczka, chciała krótko podkreślić trudności przy obejmowaniu rządów przez małoletniego — rzekł Barczyński.

— Jest strasznie ambitna — ostrzegła Halina. — Mam nadzieję, że się pan nie roześmiał.

— Ja nie, tylko klasa.

— Czy koniecznie musimy mówić o szkole? — wykrzyknął Żurek. — Są inne ciekawe tematy...

— Naprzykład o kursach wieczorowych — podsunęła żona. Wszyscy się roześmieli. Kursy wieczorowe były oczkiem w głowie Żurka.

— Dziwne to stworzenia, te dzieci. Taka świeżość odcucia... — rzekła pastorowa. — Była tu wczoraj Elza Ba'sen, powie dzieć, że stryj przyjechał — wiecie, że Wilhelm Baisen przyjechał na stałe? Miała czerwone oczy. Myślałam, że z radości, bo br... o się ze stryjem kochają — okazuje się, że stryj przyjechał przedwczoraj, a ona wczoraj rano czytała „Martę“ Orzeszkowej i tak się spłakała.

— Lepiejby raz uważnie przejrzała tablice logarytmiczne!

— Tablice logarytmiczne! Posłuchajcie państwo, to wam opowiem ciekawą historyjkę — tobie ku zbudowaniu — zwróciła się Żurkowa do męża. — Opowiadała mi pani Stągowska. Dziewczynki w jej klasie czytały właśnie na lekcji niemieckiego „Fausta“ — z Laherem. Wiecie, jakie one są wrażliwe na literaturę. Czytają z wypiekami na twarzach. Po lekcji, kiedy Laher już poszedł, wchodzi do klasy Stągowska i natrafia na gorącą dysputę. Emma Bergerówna chce wciągnąć ją do rozmowy i mówi z triumfem: Ale niema piękniejszej literatury nad naszą! Pani Stągowska zna rodzinę Bergerówny; wspomina sobie Schillera i innych i chce coś dodać, a wtem Emma kończy z zapalem: cóż to jest Goethe przy naszym Mickiewiczu!

— Nasz Mickiewicz! To ta czarownica! — roześmiał się, wskazując na Halinę matematyk.

Halina przemilczała chwilę.

— W klasie pani Żurkowej. — rzekła wreszcie dyplomatycznie i skromnie — uczennice podobno skarżą się, jeżeli dawno nie było lekcji gramatyki.

— Jak mi Bóg miły, prawda? — wykrzyknął profesor. — Nienormalny objaw! Nauka tak abstrakcyjna..

— Matematyka, jak państwo wiecie, jest daleko mniej abstrakcyjna — objaśniła obecnych jego żona.

— To nie my, nie gramatyka sama tak przyciąga. Jest coś innego, co posiada taką moc atrakcyjną dla uczennic — rzekła Halina.

Dawno już rozeszli się goście z plebanji, gdy wreszcie i Halina pożegnała pastorostwo i odeszła do domu. Jutro miała tu nie być, zajęta wizytami na mieście. Była zaledwie godzina dziesiąta wieczór, ale na oświetlonych gazowymi latarniami ulicach panowała pustka. Panna Zaborska biegła szybko po skrzyplącym śniegu do domu, rozmyślając o dzisiejszych gościach. Przełożona nie przyszła — widać coś jej przeszkodziło. Barczyński... Szczerze i serdecznie go lubiła — gdy był przy niej. Gdy go nie było — czuła wyraźnie, że „coś nie staje tej literze“. Czegoś tu było brak — ale czego? Nie szacunku, nie zaufania, nie sympatji...

W pełnym świetle latarni wykręciła za róg ulicy Ogrodowej. W tej chwili minął ją szybko jakiś przechodzień w rozpiętym futrze i za jej plecami zatrzymał się jak wryty. Halina aż zadrżała, jakby uderzona wielkimi, błękitnymi oczami. Przyśpieszyła kroku. Ulica, tak krótka zwykle, dłużyła się. Za swemi plecami usłyszała po chwili przyzwoicie odległy, posuwający się za nią w zgodnym z nią rytmie skrzyp śniegu pod mocnymi krokami. W sercu jej zaczął wzbierać głuchy, bezsilny gniew. Dobrnęła wreszcie do swej furtki, otworzyła ją i nie oglądając się, krokiem pewnym, z podniesioną głową weszła do domu.

---

v.

— A więc zaczynamy. Dziewczynki na miejsca. Krysiu!

— „Zakończona już praca, moja Balladyno,  
Twoje rączki od trudu całkiem się rozplyną  
Jak lodu kryształiki...“

zaczęła stojąca na scenie Zagorzałówna.

— Złe. Musisz to mówić przecież do Balladyny, nie do widzów. Jeszcze raz.

Siedzące w drugim rzędzie krzeseł za plecami nauczycielki dziewczynki, czekające swej próby, zaszeptaly:

— Zła dziś czegoś.

— Nie zła, tylko zmęczona. Trzeci już raz powtarzają — bronila szeptem Elza.

— Bekerówna źle gra.

— Gapi się.

— Na Alinę lepsza byłaby Joaśka.

— Też coś! Zanimby co powiedziała, wszyscyby usnęli

— Ale byłaby lepsza.

— Kirkor! Na scenę! — zawołała cierpko panna Zaborska.

Ludka Borkowska wbiegła z pośpiechem.

— Dlaczego nie pilnujesz swojej kolei?

Było to na drugi dzień po Nowym Roku, w przeddzień powrotu ze szkoły. Korzystając z tego, że wszystkie uczennice powróciły już ze świąt do miasta, Halina zrobiła próbę przedstawienia. Miało się ono odbyć trzynastego stycznia, już nieodwołalnie, bo przełożona chciała z niem połączyć zwykły wieczorek tańczący dla uczennic. Zaraz po rozpoczęciu lekcyj postanowiono zwołać zebranie rodziców w tych sprawach i strapiiona Halina była w roz-

terce. Jak się uda to przedstawienie? Czy nie za dużo wzięła na siebie? Zagorzała była tak sztywna! Inne zresztą niewiele mniej z wyjątkiem Kazi — Balladyny.

Fragment był skończony. Uczennice stały niepewnie na małej scenie sali szkolnej, czy nie będzie trzeba powtarzać jeszcze raz. Halina westchnęła.

— No, dosyć na dziś. Teraz — spojrzała na zegarek — nie zdążymy zrobić próby z „Warszawianki“, może tylko Kazia powtórzy wiersz.

Bartosiakówna, która zdążyła już zejść ze sceny, ociągała się niechętnie. Obrócona tyłem do widowni Halina nie widziała jej

— Bartosiakówna! — krzyknęła niecierpliwie. Obróciła się i zobaczyła, że wezwana szła już ku scenie. Halina przejrzała szybko oczami grupkę uczennic siedzącą za nią.

— Elzo, nie bierzesz udziału w przedstawieniu, przesiądź się do mnie, będziesz mi pomagała w zwolywaniu na scenę.

Zarumieniona z wrażenia Elza przeniosła się szybko w pierwszy rząd krzeseł.

— Zaczynamy.

Bartosiakówna stanęła na przedzie sceny. Jedna lampa miodnia paląca się nad jej głową rzuciła ostre światło na czarne, sztywne, gładko uczesane włosy i na rozrzuconą grzywkę. Skupiona, zacięta prawie twarz ginęła w cieniu, z którego wybłyskiwały tylko czarne, posępne oczy.

— „Patrz!  
Przez sto dróg, jak sto potoków,  
W obłoku kurzów, w złotej rdzy,  
Jak obłok wielki...“

zabrzmiał naraz jej niski, metaliczny głos.

Halina złożyła ręce i oparła je o poręcz krzesła. Gdy słuchała deklamacji Bartosiakówny, wierzyła, że przedstawienie musi się udać. Choćby dla tej jednej deklamacji. Bóg wie, skąd się wzięła u tej dziewczyny taka zdolność odtwórcza, gdzie nauczyła się tego władania precyzyjnym zresztą głosem, co za natchnienie dyktowało jej, jak ma mówić? W głosie jej drżała duma i zachwyt — i naraz opadała czarodziejsko w wyniosłą pogardę

— „Szereg wyniosły, szereg twardy,  
Królowie, diuki i bastardy,  
Wspaniałe, nieugięte lwy!  
Szaleńcy!  
Chamstwo, Nic nie warte  
Półki nie spojrzysz na nie — On.  
Bonaparte.“

W całym małym audytorjum, słuchającym tego wiersza nie pierwszy przecie raz, panowała stężala cisza. Głos Kazi wzbijał się w samotnym, wzniosłym natchnieniu. Zdawało się, że to nie wiersz wyuczony na pamięć, że to ona sama od siebie mówi, wyzywając z niechętną, zamkniętą duszą cały entuzjazm, całą dumę, szczęście uczestniczenia we wzniosłości. Gdy skończyła, nie ruszył się nikt. Ktoś westchnął półgłosem. Pierwsza podniosła się Halina.

— Nie mam nic do zarzucenia, Kaziu. Masz wielki talent.

Bartusiakówna już stała między koleżankami z opuszczonymi bezwładnie rękoma, z chmurnymi oczami i zamkniętą twarzą. Czula teraz — jak zawsze — głęboki wstyd i bunt przeciw własnej naturze, która kazała jej tam, na podwyższeniu, dobrowolnie zrywać łańcuchy chłodu i rezerwy, poddawać się szalonej fali uczucia i wypowiadać wszystko, co czuła: entuzjazm, wściekłość, pogardę — i tę żalną melancjolę rzeczy minionych. Było jej teraz tak, jakby stała bez ubrania przed całą salą.

— Pójdziemy do kościoła, dziewczynki — rzekła Halina, patrząc na zegarek.

Przerwa świąteczna jeszcze trwała i rygor nie obowiązywał. Luźna gromada uczennic wysypała się na dziedziniec. W małej gromadce, otaczającej Halinę, była i Elza.

— Ale przedstawienie uda się, proszę pani! — rzekła z entuzjazmem Lichtenfeldówna. — Musi się udać! Kaśka mówi tak cudownie! I „Balladynę“ grają tak świetnie!

Halina uśmiechnęła się do rozstrzępanej zawsze Edy.

— Doprawdy? Zobaczmy jeszcze, co powie zebranie rodziców, czy nam pomoże. A ty, Elzo, będziesz odtąd moim adjutantem — dobrze?

Elza podniosła ku niej rozradowane, błękitne oczy. Panna Zaborska uśmiechnęła się do niej, lecz w tej chwili uśmiech zamarł jej na ustach. Coś ją tknęło. Jakieś odległe, niewyraźne, nieuchwy-

ne wspomnienie... Spojrzała znów na twarz swej uczennicy — i uśmiechnęła się z przymusem.

Mała grupka weszła do kościoła. Halina, która się dziś czuła od rana źle na duszy, odczuła mrok posępnej świątyni bardzo przykro. Dzień był chmurny, a gotyckie okna o kolorowych witrażach przepuszczały mało światła. Kościół był prawie pusty na tem szkolnem nabożeństwie, a ferje świąteczne jeszcze się nie skończyły. Halina porzuciła swą grupkę uczennic i usiadła na zwykłym miejscu, w ławce pastorałowej. Machinalnie spojrzała na tablice i otworzyła książkę. Oczy jej padły na psalm.

*„Panie, nie w srogości Twojej karć mię; ani w gniewie Twoim karz mię.*

*„Albowiem strzały Twoje tkwią we mnie i cięży nademną Twoja ręka...“*

Zamknęła śpiewnik i ukryła twarz w dłoniach. Słowa psalmu uwidoczniły jej niepokój w jej duszy. Byłże on wywołany troską o udatność przedstawienia? Gdyby to była inna pora roku, wiedziałaby, że nadciąga burza z piorunami, którą zawsze odczuła. Lecz to była zima...

Podniosła oczy ku górze. Nawprost niej w oknie witraża Apostoł Andrzej na tle posępnego, szaro - granatowego nieba, w jaskrawych szatach, spoglądał przed siebie surowemi oczami. Światło dnia słabo wypełniało kościół wspólnie z migotliwym drżeniem świec przy ołtarzu. Halina zwróciła głowę na kościół. Grupka jej uczennic siedziała skupiona razem, w milczeniu; po przeciwnej stronie kilku uczniów; w ostatnich ławkach parę starszych kobiet. Zakrystjan przyniósł jednej z nich śpiewnik. W tej chwili zabrzmiały organy i wszedł wikary, na którego wypadło mieć dziś nabożeństwo szkolne.

Wznieśmy swe serca ku Panu — zaczął uroczyście. Wszyscy w kościele padli na kolana. Halina pochyliła głowę. W pamięci bezwiednie powtarzała słowa psalmu:

*„Zgnębiony jestem i poniżony bardzo; płaczę od bólu serca mojego.*

*„Nie opuszczaj mnie, Panie, Boże mój; nie odstępuj odemnie*

*„Przybądź mi na pomoc, Panie i Boże, Zbawicielu mój...“*



W ciszy kościoła rozległ się smutny, monotony głos wikarego. W głębi skrzypnęły przeciągle drzwi wejściowe. Halina klęczała nieporuszona z twarzą ukrytą w dłoniach, choć wszyscy siedzieli już i śpiewali pierwsze zwrotki pieśni. Wreszcie usiadła i ona, rozbita na duchu i roztrzęsiona. Otworzyła śpiewnik na właściwej stronie, ale nie śpiewała. Długi psalm dobiegał końca, gdy mimowoli podniosła oczy ku przeciwległej ścianie i naraz zadrżała tak, że śpiewnik zsunął jej się z kolan na ziemię. W przeciwległej ławce Baisenów, zawsze pustej, siedział, wpierając w nią bystre, nieustępliwe spojrzenie swych iście szatańskich oczu — nieznamy, z działdowskiej szosy.

---

dza  
rackn  
po

szk

pr  
ża  
z  
sw  
ga

ok

ni

cz  
pa

za

do

o

## VI.

— Prawie pełno! — oznajmiła radośnie pani Żurkowa, wchodząc do pokoju nauczycielskiego, gdzie zebrana była prawie cała rada pedagogiczna.

— No, nareszcie jedno zebranie rodziców się uda — mruknął profesor Sobótko, przyrodnik, nie przerywając spaceru po pokoju.

— Ciekawa jestem, czy z mojej klasy dużo rodziców przyszło — rzekła pani Stągowska, porządkująca zeszyty w swej szafce.

Nastrój w pokoju panował niezwykle, jak zawsze zresztą przed zebraniem rodziców. Nazewnątrz uderzał jeden fakt, że żadna z nauczycielek nie była w urzędowym, czarnym fartuchu z rękawami. Suknie brązowe, popielate i granatowe uderzały swą niezwykłością, nadawały wyraz jakiejś nieoczekiwanej elegancji.

Główna inicjatorka zebrania, panna Zaborska, siedziała pod oknem, rozmawiając cicho ze stojącym obok historykiem.

— To niefortunny pomysł. Nie umiem przemawiać publicznie. Ale dyrektorka się uparła.

— Pani wszystko się uda — rzekł z przekonaniem Barczyński. — Ale jeśli pani ma tremę, to może ja przemówię za panią?

Spojrzała na niego z wdzięcznością, ujęta jego koleżeńskim ofiarowaniem się.

— Nie, dziękuję. Muszę sobie dać radę. Pan jest bardzo dobry.

— Nie umiałbym chyba być niedobrym dla pani, pani wie o tem — rzekł poprostu historyk. W brązowej sukni, z kaszta-

nowatemi, falującymi włosami była tak śliczna, jak chyba nigdy jeszcze. Czy wreszcie kiedy..?

W tej chwili weszła z przyległego gabinetu ciężkim energicznym krokiem dyrektorka.

— Pójdziemy, proszę państwa, już kwadrans po piątej.

I wyszła pierwsza, zdążając przez korytarz ku sali teatralnej, gdzie odbywały się zwykle zebrania rodziców. Za nią pociągnął długi sznur nauczycielstwa, zabierającego pośpiesznie ze stołów swoje notatki.

Sala teatralna była istotnie w znacznej części wypełniona. Na długich ławach siedziała najrozmaitsza publiczność: elegancie panie w futrach i skromne pracownice fizyczne, ubrane bez pretensji. Mężczyzn było znacznie mniej, co stanowiło zwykły objaw: wychowanie dziecka należy przecież do kobiety. Na widok wchodzącej rady pedagogicznej szmer w sali ucichł. Nauczycielstwo zajęło przygotowane na podwyższeniu krzesła, zasiadając półkolem przy stole, za którym przydowała dyrektorka. Jej czarne, bystre oczy objęły szybko zebranych, gdy wstała, aby przemówić.

— Proszę państwa! Zwołałam na dziś rodziców w celu omówienia kilku bardzo ważnych spraw. Pierwszą z tych spraw jest urządzane przez szkołę w tym miesiącu przedstawienie, połączone z zabawą szkolną. Sprawę tę zreferuje państwu za chwilę panna Zaborska, która się zajmuje urządzaniem przedstawienia. Następnie, wobec zbliżającego się półrocza odbędzie się dziś wywiadówka co do postępów uczennic...

Siedząca tuż obok dyrektorki Halina, nieco cofnięta za jej krzesło, przeglądała salę i nieznacznie skinieniami głowy i uśmiechem witała bliżej siedzących znajomych rodziców swych uczennic. Oto gruba pani Lichtenfeld z impertynentką przy słodko zmrużonych oczach; oto stojący we wnące okna ojciec Ludki Borkowskiej; oto siedząca na brzeżku ławki z nabożnie skupioną miną matka Kazi Bartusiakówny w grubej chustce. A tam, w końcu sali, zaledwie widoczna z poza pleców bliżej siedzącej publiczności — ależ tak! — pani Baisenowa. Miłe zdziwienie ogarnęło Halinę. Pierwszy to raz żona najbogatszego w mieście przemysłowca raczyła zmieszać się z pospółstwem na zebraniu rodziców. Ani chybi, to robota Elzy.

Drgnęła, bo usłyszała nagle końcowe słowa dyrektorki:

igdy — Teraz przemówi do państwa panna Zaborska  
Halina wstała; podeszła nerwowo do stołu. Powtórzył się  
zic-mów stały w tych okazjach, niemniej przeto zadziwiający fakt,  
ż przestała naraz odróżniać poszczególne głosy, widząc tylko  
zbitą masę, z której świeciły oczy, oczy, oczy...

ral- — Proszę państwa — zaczęła obrzędowo. — Pomysł urzą-  
c:ą-dzenia przedstawienia wysunęła samorzutnie grupka uczennic  
sto- klasy siódmej, jeszcze w październiku. Początkowo miała to być  
ona. taka sobie wewnętrzno-szkolna uroczystość, ponieważ jednak do  
nc- działania klasy siódmej przyłączyły się i inne klasy, ponieważ wło-  
bez- kona już została znaczna praca w przygotowanie tej imprezy, przeto  
kły pani dyrektorka zdecydowała, iż urządzimy przedstawienie szkol-  
wi- ne, ale dla wszystkich. Z tego postanowienia wynikły jednak  
zy- pewne trudności...

zyc- Odetchnęła i urwała no chwilę. Zwarta masa słuchających  
jąc zaczęła znów rozbijać się na poszczególne, znane głosy. Początko-  
Jej wa trema zaczęła ustępować.

by — Przedewszystkiem powstała kwestja kostjumów. Przy  
ró- uroczystości wewnętrzno-szkolnej urządziliby to się jako tako;  
est- występując publicznie, chciełobyśmy, aby i strona kostjumowa  
ne- szkoły nie zawstydziła. Kostjmy będą i łatwe do zrobienia i nie-  
na- kosztowne; z paru prześcieradeł, których nie trzeba ciąć; w naj-  
ia- gorszym razie z karbowanej bibulki i złotego papieru. Chodzi o to,  
jej by się ktoś tem zajął, dopomógł nam poprostu w naszej pracy  
wy przy organizowaniu przedstawienia. To samo z kwestją dekora-  
ch- cyj, ze sprawą dostarczenia krzeseł na przedstawienie, bo tych  
d- którzy z państwa muszą stać. Proponowałabym więc utworzenie  
ki- takich trzech sekcji: kostjumów, dekoracyj i dostarczenia krzeseł,  
ną- a kto z państwa mógłby i chciał nam dopomóc, prosimy o zgłosze-  
m, nie się tutaj... Wreszcie, czwarta sekcja matek zajęłaby się, jak  
ej- zwykle co roku, kwestją urządzenia wieczorku, który nastąpi po  
nie- przedstawieniu.

iu — Umilkła i cofnęła się na swoje miejsce. Z boku podchwyciła  
dodające otuchy, popierające spojrzenie Barczyńskiego, który  
nieznacznie dawał jej pod stołem oklaski na migi.

— Proszę o głos! — zawołał ktoś na sali. — Dyrektorka  
zwróciła w tamtą stronę swoje bystre oczy.

— Pan mecenas Gradziński — proszę bardzo.

— Chciałem tylko dowiedzieć się do kogo należy zgłaszać się w sprawie tych sekcij dotyczących przedstawienia: do pani przełożonej, czy do pani Zaborskiej?

— Wszystkie sprawy związane z przedstawieniem należą do panny Zaborskiej, która jest jakby naczelnym dyrektorem naszego teatru — uśmiechnęła się przełożona. — W sprawach wieczorku znów proszę zgłaszać się do panny Biebrzykówny. Czy jeszcze kto z państwa ma jakie zapytanie?

Milczenie trwało chwilę, wreszcie z dalszej ławy ktoś rzucił pytanie.

— A kiedy się zgłaszać, teraz, czy po wywiadówce?

— Teraz, na przerwie.

Charakterystyczną było rzeczą, iż mimo przeważającej większości kobiet przemawiali tylko mężczyźni.

Przełożona jeszcze raz wstała.

— Proszę państwa, ogłaszam pięciominutową przerwę, potem kto łaskaw, proszę się zwracać w kwestjach wieczorku i przedstawienia do wskazanych przezemnie pań. Zaraz potem rozpocznie się wywiadówka. Ponieważ oficjalna część zebrania się kończy, spieszę podziękować państwu za liczne przybycie i proszę o poparcie nas w sprawach, dla których tu państwa wezwaliśmy.

Zaraz też podniósł się rumor poruszanych ław i szurgot licznych powstających nóg. Znajomi skupiali się w grupki. Nauczycielstwo też powstało ze swych miejsc, łącząc się ze sobą. Halina zesza z podwyższenia przywitać się z panią Lichtenfeld, która dała jej znaki.

— Moja złociutka — dzień dobry pani — jakże pani ślicznie wygląda! Moja Eda to tak się zawsze panią zachwyca, że naprawdę o nikim innym nie mówi... Ona bardzo panią kocha... Moja złociutka, czy to prawda, że Edzie grozi dwójka z matematyki? Przyszła wczoraj taka splanana ze szkoły, taka splanana, że mnie aż serce rozboleło, że się moje dziecko tak martwi... Ona się tak uczy! i nie ma zupełnie szczęścia... Ja nie mówię, broń Boże! że się pan profesor Żurek do niej uprzedził, ale... Moja złociutka, czyby pani nie mogła pomówić o Edzie z panem profesorem Żurkiem? Może onby jej nie dał dwójki...

— Proszę pani, to może pani sama pomówi z profesorem? To będzie więcej znaczyło... — rzekła zakłopotana Halina, która wiedziała, że Eda nigdy nie płacze o stopnie i że ambitna dziewczyna.

nie znosiła sposobu, w jaki jej matka załatwiała jej sprawy w szkole.

— Ja wiem, ja pomówię, ale żeby tak pani jeszcze się za nią wstawiała...

— Mogę prosić profesora, żeby ją jeszcze zapytał — rzekła znudzona i przeprosiwszy damę, odeszła do pani Stągowskiej. Najgorsze było, że pani Lichtenfeld wiedziała, iż Halinę łączą prywatne przyjacielskie stosunki z Żurkami i że te właśnie stosunki chciała wykorzystać.

— Jak pani myśli, panno Halino, będzie co z tego? zagadnęła ją poufnie pani Stągowska.

— Czy ja wiem? licznie przyszli, to i to dobre... Myślę, że jednak uda się te sekcje potworzyć...

— O, takich przycisnąć, mają i czas i pieniądze — rzekła pani Stągowska, ukazując przełożoną, rozmawiającą z panią von Baisen. — Że też przyszła... Niechże jej pani nie wypuści...

W tej chwili dyrektorka obejrzała się za Haliną i uśmiechem przywołała do siebie. Stojący w tej samej grupce młody człowiek obrócił się żywo, robiąc jej miejsce; i panna Zaborska z nieopisanym uczuciem zdumienia i prawie zgrozy poznała swego przesładowcę.

— Panno Halino — rzekła uprzejmie przełożona — oto jest pani von Baisen i pan Wilhelm von Baisen.

Matka Elzy uśmiechnęła się jakimś pół wyniosłym a pół smutnym uśmiechem i wyciągnęła do niej rękę.

— Nareszcie mam możność panią poznać. Więc to pani jest tą ukochaną nauczycielką Elzy?

Młody von Baisen pochylił w milczącym ukłonie ciemną głowę z niesfornymi włosami i ujął z szacunkiem rękę Haliny.

— Panno Halino, radzę pani dobrze wyzyskać okazję — mówiła przełożona z ożywieniem. Obydwoje państwo są pełni jaknajlepszych chęci pomagania przy przedstawieniu.

Halina zwróciła swe ciemne, lekko zmieszane oczy na panią Baisen.

— Bardzo się cieszę — rzekła. — Do jakiej sekcji chciałaby pani należeć?

— Och, czy ja wiem? — rzekła niezdecydowanie. — Mogą dać wszystkie krzesła z domu na dzień przedstawienia... A może się przydam przy kostiumach? Ale ja szyć nie umiem... Może dać mo-

ją szwaczkę? ona dobrze szyje. — Miała dziwnie apatyczny sposób mówienia, ciemne, niewesołe oczy i śniadą cerę twarzy.

— Berto, a może przydałoby się coś z domu do dekoracji? — wtrącił milczący dotąd jej szwagier. Halina podniosła zdumione oczy, słysząc z ust jego całkiem poprawną polską mowę. Odczuł jej wzrok, bo momentalnie, nie wiedzieć kiedy, przepłynęło na nią zwysoka jego spojrzenie, w którym przemknęło coś jak uśmiech.

— Dobrze, coś do dekoracji... Czy Elza też bierze udział w przedstawieniu?

— W samem przedstawieniu nie. Bałam się, że na nią byłoby to może za dużo pracy, a przytem jest taka nieśmiała... Jest moim adjutantem, pomaga mi — dodała z uśmiechem.

— Pani będzie na nią zwracała uwagę, dobrze? Ona jest taka żywa, zgrzeje się, wybiegnie na dwór i choroba gotowa.

— Może pani być pewna, że jej się nic nie stanie — rzekła żywo Halina. — Jest posłuszna.

— Posłuszna? i nieśmiała? Dwie dziwne rzeczy... W domu nie słucha nikogo.

— Chciałbym bardzo i ja przyczynić się do powodzenia tego przedstawienia — rzekł Baisen, nawracając do właściwego tematu. Czy mogę się na coś przydać?

— Doprawdy, nie wiem — podniosła oczy z chłodną uprzejmością. — Praca przeważnie dla pań...

— Och, Wilhelm może robić wszystko — wtrąciła znów swym cichym głosem lekko uśmiechnięta pani Baisen. — Może nawet szyć kostjomy, malować dekoracje, grać w orkiestrze.

Stojąca w sąsiedniej grupce przełożona wtrąciła się.

— Niechże pani czempredzej zaciąga pana na listę, panno Halino! Właśnie pan będzie dużo, a panów brak.

Wilhelm uśmiechnął się do niej ujmującym uśmiechem, który mógł mu zjednać sympatję każdego.

— Dziękuję pani za interwencję — i zwrócił się do Haliny. — Czy pozwoli pani przyjść mi na próbę — powiedzmy w poniedziałek? Po próbie omówilibyśmy dekoracje. Wiedziałbym, co zabrać z domu, a co trzeba domalować.

Halina ochłonęła już. Trzeźwa i przyzwyczajona do rzeczywistości rzekła sobie, iż nonsensem byłoby ulegać swej własnej — prywatnej! — niechęci, gdy przedstawienie może skorzystać.

— Bardzo chętnie — rzekła ze spokojną uprzejmością. —  
Próby są o piątej. Jeśli pan może przyjść o tej godzinie...

— Będę punktualny.

— Wilhelmie, zabieramy pani czas — rzekła pani Baisen.  
Wyciągnęła rękę do Haliny, popatrzyła jej w oczy, jakby chcąc coś  
powiedzieć, i nagle uśmiechnęła się do niej serdecznie. Bardzo je-  
stem rada, że panią poznałam. Jeśli mogę się na coś przydać, pro-  
szę mną dysponować.

Zaraz też pożegnał się i Wilhelm. Ująwszy podaną sobie rę-  
kę, spojrział wesołymi oczami prosto w oczy Halinie.

— A więc dowidzenia — rzekł miękko.

Ten głos i to spojrzenie rozgniewały ją. Jeśli dla przedstawie-  
nia będzie musiała je znosić, to doprawdy gra nie warta świeczki.  
Odwróciła się w tej chwili do innych, którzy ją zaraz otoczyli. Oka-  
zało się jednak, że z całej otaczającej ją szerokim kołem gromady  
parę zaledwie osób przychodziło w sprawie przedstawienia, reszta  
w sprawie postępów dziewczynek w lekcjach. Halina wydobyła  
z torebki swój notes.

— Pani Moroniowa? Pani przychodzi w sprawie Heli? Proszę  
pani, doktor szkolny orzekł, iż Hela musi nosić okulary, bo inaczej  
całkiem wzrok popsuje. A co do postępów w nauce...

Cały tłum osób, czekający swojej kolejki, przysłuchiwał się  
chcziwie. Wywiadówka z rodzicami, nudna, oszołamiąjąca aż do zu-  
pełnego otępienia ceremonia wyczerpującego omówienia postępów  
każdej uczennicy, rozpoczęła się.



## VII

W najbliższą po zebraniu rodziców niedzielę, jak w każdą zresztą, Halina biegła szybko dróżką pod górę na plebanję. Mroźny, szarpiący wiatr podcinał jej nogi na szklistej ścieżce. Plebanja, przytulona do tyłów ogromnego, czerwonego kościoła, przyzywała ją szeregiem błyszczących w ostatniem świetle dnia okien.

Na dole, w kancelarji, już się paliło światło i Halina, przebiegając przez sień, ujrzała przez szklane podwójne drzwi pastora, rozmawiającego żywo z jakimś starszym panem.

Zrzuciła w przedpokoju futro i wpadła do jadalni.

— Hu! jak zimno! o mój nos!

Pochyliła się do rąk pastorowej i przytuliła twarz do pieca.

— Nie siadaj przy piecu Haluniu, bo się potem przeziębisz. Pokażno ten nos.

— Czerwony, jak upiór! — siadła przy pastorowej i chwilę patrzyła na nią, jakby wytrzymując jakąś wiadomość, aż wreszcie rzuciła z triumfem. Przedstawienie się uda! Dziś była na próbie dyrektorka — i tak orzekła! Pani Lorencowa, taka skąpa w pochwałach — pochwaliła!

— Dlatego jesteś dzisiaj w takim humorze?

Halina zaczęła jej żywo opowiadać każdy numer programu i pracę weń włożoną. Pastorowa dawno już umiała na pamięć, co która uczenica gra, jak się spisuje i w czym szwankuje, to też z całkowitem zrozumieniem słuchała opowiadania.

— No, a zebranie rodziców? Dało jakie rezultaty? Co będzie z kostjumami?

Halina zachmurzyła się nagle i po chwili dopiero rzekła niechętnie:

— Tak, odbyło się w piątek. Owszem, już niby wszystko zape-

wnione. — Pomilczała chwilę i po chwili podniosła poważne, prawie surowe spojrzenie na pastorową: — Ten pani pupil, Baisen, pomaga najwięcej.

Pastorowa aż zaniemówiła na chwilę.

— Wilhelm? A on co tam robił?

— Przyszedł z panią Baisenową no i tak się zapalił od roboty, że do wszystkich sekcji należy.

— Niesłychane! Wilhelm czynny u was w gimnazjum? Ani chybi, to Elzy sprawka! Ale to dobrze, bardzo dobrze! No, teraz wierzę, że ci się uda ze wszystkim. Wilhelm na głowie stanie... To zawzięte chłopaczysko!

— Jeśli mu się nie sprykrzy ta robota — rzekła od niechcienia i zaraz zaczęła dalej opowiadać o zebraniu. Humor wrócił jej całkowicie, gdy przypomniała sobie wrażenie, jakie wywarł na pani Bartusiakowej fakt, iż jej Kazia wystąpi na scenie.

— Będzie mówić wiersz Kleszczyńskiego „Książę”. Prześliczna rzecz! Jaka szkoda, że pani go nie usłyszy!

Teraz pastorowa już do końca została poinformowana o wszystkim. Przywykła zresztą do tego oddawna i polubiła swą rolę powierniczki Haliny. Gdy ta skończyła, milczały przez chwilę. Zmrok powoli zapadał. Wreszcie pastorowa podniosła głowę i spojrzała na Halinę.

— A jakże stoją twoje sprawy, Halu?

Halina zaskoczona nie odezwała się odrazu. Poraz drugi tego popołudnia straciła werwę.

— Wcale nie stoją — rzekła niechętnie. Odwróciła twarz do okna. — Nic chyba z tego nie będzie...

— Dlaczego? — spytała pastorowa bez żalu.

Nic nie odpowiedziawszy, wzruszyła ramionami.

— Ty go nie kochasz — stwierdziła wreszcie pastorowa. Halina zwróciła ku niej swe szczere, ciemne oczy.

— Rozumie się, że nie — rzekła z odcieniem zdziwienia. — Ale to nie dlatego. Toby nawet lepiej było.

— Jakto — lepiej? Co ty wygadujesz, Haluniu?

— Oczywiście — odrzekła z przekonaniem. — O, proszę pani, nigdy nie chciałabym się zakochać. To jest okropne, nie być panią siebie... Miłość, to najbardziej burzące uczucie...

— Mylisz się Haluniu: właśnie tylko miłość buduje.

— Buduje albo niszczy: i jeżeli buduje, to wcale nie dla sa-

mego dobrego czynu budowania, tylko zawsze dla swoich celów. To nie zasługa. Tak samo i niszczy: ślepo, nierozumnie. O! nierozumnie. Tego nie mogę znieść.

— Każdy musi przejść przez taki nierozum.

— Ja chyba nie. Podobno jestem zabójczo trzeźwa. — Zamyśliła się i zaraz roześmiała sama do siebie. — Ładniebym wyglądała ja, nauczycielka, dumająca o „jego“ oczach wśród wykładu o przydawce!

— A czyż nauczycielki nie kochają, moje dziecko...

— Pewnie, że kochają — rzekła z niezadowolaniem — ale to musi być bardzo niewygodne. Pani mnie ma za dziecko. Wiem, że to niezupełnie odemnie zależy, ale wolałabym nigdy się nie kochać. Dobrze jest tak jak jest.

— Dziwne z ciebie stworzenie, Haluniu — pokiwała głową pastorowa. — Ale może cię przekonam, Zapal tylko wprzód światło, kochanie, i zadzwoń na Karolinę, niech nam da kawy.

Halina zapaliła światło, przewiozła pastorową do stołu i podeszła do dzwonka. Zanim jednak nacisnęła guzik, inny dzwonek odezwał się w przedpokoju.

— Dzień dobry, Karolino! Pani przyjmuje?

Na dźwięk tego głosu Halina zdrewniała na środku pokoju.

— Wilhelm! — zawołała radośnie pastorowa.

Drzwi od przedpokoju rozwarły się energicznie i rzeczywiście wszedł żywo młodszy von Baisen.

— Naturalnie, że to ja, ciociu — pocałował ją w obie ręce i zaraz wyprostował się i uklonił Halinie.

— Haluniu, to jest Wilhelm... Prawda, wy się znacie... Mógłbyś chociaż zdziwić się, że mnie nie zastajesz samą, jak dawniej — zburczała go radośnie.

Przysunął sobie krzesło do niej.

— Dlaczego? Widziałem przecież futro pani w przedpokoju.

Halina usiadła powoli z drugiej strony stołu, słuchając z niedowierzaniem. Mówił zupełnie dobrze po polsku; zupełnie dobrze. Może tylko zbyt twardo wymawiane ch na końcu wyrazów wskazywało w nim Niemca; pozatem zresztą nic. Siedział teraz nawprost niej, w pełnym świetle lampy i mogła mu się przyjrzeć doskonale, zwłaszcza, że rozmawiał z pastorową. Pani Stągowska jednak miała rację: był rzeczywiście bardzo przystojny — przyznała mu to niechętnie, ale uczciwie. Miał ciemną twarz i włosy prawie czarne, których podejrzana gładkość załamywała się w grube, starannie

widać wyprostowywane fale. Szerokie, pięknie zarośnięte czoło, męskie rysy twarzy, ta cera i te włosy dziwnie wyglądały przy wielkich, błękitnych oczach. Pozatem był wzrostu więcej niż średniego, istic herkulesowej budowy. Całość sprawiała wrażenie ujmujące i sympatyczne, działała rozkrochmalająco na każdą sztywność. Pani Stągowska miała oczywiście rację. Ale z tem wszystkim nie wydawał się jej miłym — i tu Halina znalazła wytłumaczenie tej prawie odruchowej niechęci, jaką odczuwała do niego.

W tej chwili przepłynęło na nią jego spojrzenie.

— Ale pani nie spodziewałem się widzieć przed jutrem — rzekł, przytrzymując jej wzrok śmiejącymi oczami. Czy ciocia wie — zwrócił się do pastorowej — że jestem teraz podwładnym pani?

— Mówiła mi Hala i bardzo się zdziwiłam. Że też ci się chciało, ty leniu! Zaraz pomyślałam, że to pewnie Elzy sprawka.

Powieki Wilhelma drgnęły, bo patrzył właśnie na Halinę.

— Naturalnie, że Elzy — rzekł swobodnie. — Namówiłem potem Bertę i poszliśmy razem. — Ma tylko to jedno dziecko i nawet nie zajrzy do szkoły, w której się ono uczy. No, teraz, za moim przyjazdem, to się zmieni. Och, ciociu! jaki jestem rad!

— Zdaje się, że mogłeś dawno to zrobić. A co słyhać we Friedrichsdorfie? Dawno tam byłeś?

— W święta. Ano, cóż ma być słyhać? Same kobiety w domu, bo Willenbrock jeszcze nie załatwił tej sprawy i siedzi w Warszawie. Emma gra i maluje, Fryda kłóci się z matką o wyjazd do Wiednia. Mieliśmy być tam wczoraj, ale pojechała tylko Berta z Henrykiem, a ja — roześmiał się, patrząc na Halinę — pożyczyłem książkę od Elzy i czytałem „Balladyne“.

— A to rzeczywiście znalazłeś sobie odpowiedni czas... Zadzwoń no Haluniu na Karolinę.

— Oho, więc to pani jest tu teraz wicegospodynią? Dawniej do mnie należało dzwonić — rzekł, obracając się za nią.

— Nie było cię tyle lat! Teraz Hala dzwoni, Hala przynosi mi książki, Hala toczy ze mną dysputy i spiera się.

— Nawet spiera się! Widzi ciocia, ja byłem lepszy: przecież się nigdy nie spierałem.

— Haluniu, jakże to będzie z naszą dysputą? — przypomniła wesoło pastorowa. Sama Opatrzność chyba zesłała memu niewyrobionemu językowi taką pomoc, jak Wilhelm.

— Och, proszę pań!... To nieszlachetnie dobierać sobie sprzymierzeńca... Wolę już kiedyindziej usłyszeć replikę.

— A ja staję do dyskusji. O co chodzi, ciociu?

— Halina rzuciła potępienie na miłość, wyobraź sobie Wilhelm — roześmiała się cicho pastorowa — a ja, stara kobieta, mam bronić tej sprawy. Miłość komplikuje życie, wedle tej oto trzeźwej i praktycznej osoby.

— To pani jest taka trzeźwa i praktyczna? Ktoby to pomyślał! A co do sprawy — zdradzam ciocię i przechodzę do obozu wroga, Panna Halina na tym odcinku ma rację. Jeszcze i jak komplikuje życie! Układasz sobie z góry plan działania na całe życie, a potem go burzysz kawalkami albo odrazu — i jeszcze się cieszysz...

— Widzi pani — rzekła Halina z dziwną mieszaniną triumfa i przykrości. Wilhelm zwrócił na nią swoje uparte spojrzenie.

— Niech się pani nie cieszy, panno Halino. To, co mówimy, małe ma znaczenie. Można osądzić miłość bardzo brzydko — można sobie jej nie życzyć — ale nie od nas zależy uchronić się przed nią — i po pauzie zwrócił się z powracającą żywością do pastorowej: — No, ciociu, bardzo ciocię zdradziłem?

Na kawę przyszedł pastor z dołu. Zadowolony z widoku Wilhelma witał go swym tubalnym głosem, rozpytując, jak się podzielili pracą w fabryce z bratem. Halina chciała wobec tego zacząć rozmowę z pastorową, lecz ta słuchała raczej odpowiedzi Wilhelma, wodząc za chodzącym po pokoju prawie rozkochanym wzrokiem.

— Widzisz, Halinko, to jest pupil mojej żony! Taki nicpoń! Zagrzejesz - że ty wreszcie miejsce w Strzałkowie? — mówił pastor z żartobliwym wyrzutem, błyskając uśmiechem z poza złotych okularów.

— Chyba, że mnie pan pastor z kazalnicy wyklnie i wyrzuci, na co się zanosi: ładną opinię mi pan wyrabia przed panną Haliną?

— No, no, już onaby się niby bezemnie na tobie nie poznała! Ostrzegam cię, Haluniu: to jest typ, do którego żaden pedagog nie będzie miał przekonania: zdolny leń. Jakże tam twoje malarstwo, co? A muzyka? Najslabsze zainteresowanie to była zawsze chemja! Weź ty się już raz nareszcie do sztucznych nawozów!

— Po to przyjechałem właśnie!

Wizyta przeciągnęła się do późnego wieczoru, aż poza kolację. Halina chciała, by niespodziewany gość odszedł pierwszy. Lecz on nie okazywał do tego najmniejszej chęci. O wpół do dziesiątej wstała zdecydowanie.

— Muszę już iść, proszę pani. Jutro rano trzeba do szkoły.

Państwo sobie jeszcze porozmawiają...

— No, chyba i na ciocię już czas spać! — zerwał się Wilhelm.  
Dowidzenia, cioteczko! Można wpaść w tygodniu?

Honory domu w przedpokoju czynił pastor i — pastorowa,  
poprzez otwarte drzwi jadalni. Wilhelm schwycił futro Haliny  
z wieszaka, lecz ona kładła kapelusz przed lustrem.

— A nie dajże długo czekać na siebie, Haluniu! — zawołała  
z pokoju pastorowa.

— Nie wiem, proszę pani. Cała piramida zeszytów leży u mnie,  
a jeszcze muszę zrobić po jednym wypracowaniu w piątej i w ósmej.

— Czy zauważyłaś, jak Żurkowa się opuszcza? — rzekł pa-  
stor, który oprócz religii uczył propedeutyki filozofji w ósmej  
klasie.

— Musi być niezdrowa — odparła Halina. — Wygląda tak źle,  
że obawiam się, czy to nie jest coś w płucach — zwróciła się do  
Wilhelma po futro i nagle gwałtowny rumieniec pokrył jej twarz.  
Wilhelm stał grzecznie i milcząco na uboczu z jej futrem, tak jak  
je zdjął z wieszaka, w objęciach. Trzymał je jednak na takiej wy-  
sokości, że pochyloną twarz ukrył do połowy w puszystym popiela-  
nym kołnierzu i widać było tylko przymrużone oczy. Cały ten obraz  
trwał zaledwie przez jedno mgnienie oka, bo w tej chwili uważny  
mimo wszystko Wilhelm podał jej milcząco futro.

Wyszli razem. Nade drzwiami paliła się lampka elektryczna,  
lecz dalej było tem ciemniej. Droga wokół kościoła była prosta,  
lecz tak wysłizgana, iż trudno było iść. Halina prawie biegła.

— Cieszę się bardzo, że zastałem pastorową we względnym  
stanie zdrowia — odezwał się Wilhelm, gdy weszli na cmentarz  
przykościelny. — Nazywam ją ciotką jeszcze z dawnych czasów,  
choć nie jest żadną naszą krewną. Tu tak ślisko — pani pozwoli  
wziąć się pod rękę.

Halina pociąknęła grzecznie, ale stanowczo. Tegoby jesz-  
cze brakowało! Wobec czego Wilhelm szedł obok niej swobodnie,  
z rękami w kieszeniach swego okazałego futra.

— Znam ich oboje jeszcze od swoich szkolnych czasów. Potem  
nadeszły wypadki, które nas zbliżyły — urwał nagle, bo Halina po-  
ślizgnęła się tak, że omal nie upadła. Zamilkł jakby niezadowolony  
i nie pytając już o zgodę, stanowczym, spokojnym ruchem ujął  
ją mocno pod rękę i tak doprowadził do domu.

## VIII.

— Jednak niepodobna było myśleć na dłużej o czym innym niż o bliskim już przedstawieniu. To nie były wcale żarty, ten pomysł powzięty dla rozrywki, zamieniony niewiedzieć kiedy na rzecz tak poważną i niemal przytłaczającą. Jakie były przemiany tego dziwnego tworu, który najpierw stanowić miał krótkie przedstawienie dla zabawy jednej klasy, a w końcu okazał się dużą imprezą z dwu fragmentów dramatycznych, chóru, tańców i deklamacyj, z kostjumami, kurtyną, biletami wstępu i „szlachetnym celem“ na samopomoc uczennic gimnazjum — z tego sama Halina nie zdawała sobie jasno sprawy. Najgorsze było, że cała ta impreza opierała się tylko na niej. A nie chodziło tu wcale o robotę: dwa małe fragmenty, jeden z „Balladyny“, drugi z „Warszawianki“, będące w próbach przecież od października; trzy deklamacje, idące zupełnie dobrze — to wszystko było już prawie przygotowane. Chodziło jednak o co innego: o nieznośne poczucie odpowiedzialności, które przytłoczyło Halinę wielkim ciężarem. Na taką skalę nie robiła jeszcze nigdy nic.

Lecz z kim miała podzielić się odpowiedzialnością? Przełożona była raz na próbie i wyszła, dając dużo pochwał, kilka rad. Zajmować jej czas, gdy wiadomo było, jak przeciążona jest samą administracją szkoły, nie mówiąc już o lekcjach, do których też była zobowiązana — niemożliwe. Ktoś inny z pośród grona nauczycielskiego? Lecz kto? Kto miał mało pracy — i czyjemu zdaniu mogła zaufać? Niektóre punkty programu były przygotowane przez inne klasy i inne nauczycielki: przez panią Żurkową, panią Stągowską — lecz za całość była odpowiedzialna ona. Z kim podzielić się tą odpowiedzialnością? Jeden Barczyński zaofiarowałby się napewno zaraz — lecz pomijając już, że jego samego zatrudni-

aby Halina ze specjalnych względów daleko mniej chętnie, niż kogokolwiek innego — w zdanie historyka dotyczące spraw artystycznych wierzyłaby słabiej niż nawet w swoje.

Nazajutrz po spędzonej na plebanji niedzieli przyszła na próbę o parę minut wcześniej niż Wilhelm — tyle tylko, że zdążyła uprzedzić o tem swoje uczennice i pokonać ich gwałtowny, wstydlivy protest. Gdy przyszedł stryj Elzy, wszystkie były już na scenie. Halina dała znak rozpoczęcia. Szło nienajlepiej — trudno było zapomnieć o obecności tego obcego, samotnego słuchacza na ostatniej ławce, w półmroku pustej sali. Po próbie Halina odbyła z nim długą rozmowę, tyczącą dekoracji i strojów. Miłą niespodzianką była jego trzeźwa rzeczowość, jasne i szybkie orjentowanie się w skombinowanej sytuacji teatru szkolnego dla szerszej publiczności. Jedynie tylko gdy zawsze bystre i szybkie spojrzenie wbrew swemu zwyczajowi spoczywało na niej przeciągle, Halina sztywniała. Trudno było nie wiedzieć do tej pory, że podobała się temu latającemu Holendrowi, jak go nazwał pastor. Takie odkrycia, że się komuś podoba, zdarzały jej się od czasu do czasu — i nie były, zaiste, przykre. Nowość więc stanowiło owo niezrozumiałe uczucie niechęci wprost odruchowej. Ale niedarmo była wielbicieleńką rozsądku i logiki, duchową wychowanką pozytywistów. Nad odruchami i nieusprawiedliwionymi uczuciami należało przejść obojętnie. Tak też czyniła — dopóki cieplejszy ton głosu z niemieckim, niemiłym akcentem, czy przydługie spojrzenie nie obudziło w niej znów fali niechęci.

Po tej pierwszej próbie wyszli razem i Wilhelm zawiadomił ją odrazu, że idzie w jej stronę. Zaraz też spytał, czy nie obrazi się, jeśli będzie z nią swobodnie rozmawiał o przedstawieniu. Na jej pospieszne wezwanie zaczął mówić. Były to słowa pierwszego człowieka, który się nigdzie nie spieszył i który nie chwalił zdawczkowo, pierwsze słowa prawdziwie krytyczne. To i owo było dobre; ale i to i owo zmieniłby. Dlaczego Kirkor jest tak spokojny w chwili czarów? Dlaczego ukazanie się niewidzialnego Skierki robi wrażenie na obecnych? A postawa Aliny przez cały czas jest niewłaściwa.

— Jak pan to rozumie? — spytała z zainteresowaniem.

Stanowczo, znał się na teatrze. Oto, czego jej było potrzeba! Nareszcie znalazły się oczy, które patrzyły krytycznie, i umysł myślący samodzielnie. Brzemie odpowiedzialności stało się możli-



wszem do zniesienia Przed furtką Haliny stali z pięć minut, k  
zając rozmowę.

— Niech mi pani pozwoli przyjść na następną próbę — rz  
w końcu na pożegnanie.

Zgodziła się nawet uprzejmie.

W ten sposób weszło w zwyczaj, że zaczął przychodzić na pr  
by stale. Zo tał doradcą reżysera całej imprezy. Gdyby zliczyć  
wypadki, w których pod wpływem jego rady zmieniło się to l  
owo w przedstawieniu, nie byłoby ich może zbyt wiele. Ciężar odp  
wiedzialności stawał się jednak coraz lżejszy. Jakby dla całkowit  
go uspokojenia, Wilhelm Baisen był ściśle rzeczowy, nie ruszając  
się ze swej urzędowej podstawy pomocnika reżysera.

Gdyby panna Zaborska mogła usłyszeć ciche szepty, krążą  
między jej uczenicami, uśmiechnęłaby się zapewne z politowaniem  
Była jednak twarz w jej pobliżu wyraźnie uradowana takim obr  
tem sprawy; a ta twarz należała do Elzy Baisenówny. Zresztą prz  
okazji prób mogła obserwować Halina przywiązanie obojga d  
siebie. Nigdy, przy najbardziej zasadniczej rozmowie nie zapomina  
Wilhelm o tem, co robi jego bratanica. Elzo, siądź wreszcie, Elzo  
nie wybiegaj teraz z sali, Elzo, gdzie twój ciepły szalik? Elza w dal  
szym ciągu była „adjutantem“ panny Zaborskiej; we trójkę tera  
siadywali w pierwszym rzędzie krzeseł w czasie prób.

Podczas pewnej przerwy, gdy na scenie przygotowywały się  
do występu w „Warszawiance“, Borkowska i Bartusiakówna  
a reszta uczenie rozmawiała w rozsypce po sali, panna Zaborska  
podeszła nagle po coś do Wilhelma, stojącego przy oknie z Elzą.  
Bratanica stała przed nim trochę nadąsana, z oczami spuszczo  
nemi na trzymany przez siebie guzik od jego marynarki i na ja  
kieś zapewne rozsądne przemówienia odparła z wybuchem.

— Ach, ja, aber es ist unmöglich...

W tej chwili jednak Wilhelm uwolnił się od niej i zwrócił ży  
wo do panny Zaborskiej:

— Coś się nie powiodło?

— Nie, dlaczego? — rzekła zdziwiona. — Zaczynamy.

W ten sposób przedstawiały się stosunki. Mimo spotkań na  
próbach nie było w nich nic z bliższej osobistej znajomości. Dzięki  
zręcznemu pomysłowi Halina zawsze po próbie pozostawała w szko  
le i na wzór pani Stągowskiej poprawiała w pokoju nauczyciel  
skim zgóry sobie wyznaczoną porcję zadań.

## IX.

W chwili gdy dzwonek uderzył na czwartą lekcję, klasa siódma była u szczytu dobrej zabawy.

— Dalej dziewczęta, wszystkie pary! Hop, dziś, dziś! — krzyczała spocona Zagorzałówna. Mada! Leniu jeden! Tak będziesz tańczyć mazura na naszym balu? Korzystajcie z moich rad! Rrond!

Przy tablicy Irena Gradzińska, nie zważając na cały ten hałas, podpisywała ozdobnem pismem „Historja“, a odstąpiwszy na krok, oceniała efekt i namyślała się, jakiego tu figlasy jeszcze dodać. Podkreślić przerywaną linią? Większość jej koleżanek, poza kilkoma uczenicami, wprawiającemi się uparcie przez całą dużą przerwę w mazura, siedziała już w ławkach, nie krępując głosu. Elza Baisenówna kończyła jeść bulkę i rozmawiała z Borkowską.

— A ja ci mówię, że wyjdę.

— No, załóżmy się, że nie. Chybaż ci wstyd będzie...

— Dobrze, załóżmy się.

— O tabliczkę czekolady! Joaska! jesteś świadek. Elza mówi, że zajrzy dziś w czasie lekcji do klasy pani Zaborskiej. No, przetnij!

— Dajcie mi spokój — mruknęła Mejerówna. Podniosła jednak oczy z nad podręcznika i przecięła połączone prawice, poczem zaraz wróciła do książki.

— O jej, to się tak uczysz! Kozioł i tak cię dzisiaj nie wyrwie. — Niewiadomo skąd ten przydomek przylgnął do Barczyńskiego.

W tej chwili do klasy wpadła Elza Lichtenfeldówna.

— Panienki! lekcji nie będzie, Kozioł jest jeszcze u przelozonej!

— Bujasz, Eda! Zdaje ci się!

— A już! Jabym go nie dopatrzyła, tego urodziwego chłopczyzny? O mój Władeczkę kochany! Elza, daj beret, pokażę wam jak się Koziołek kłania na ulicy!

Cała klasa wiedziała o uwielbieniu Elzy dla panny Zaborzkiej i o „miłości“ Edy dla Barczyńskiego, tylko że kpiarz — Eda traktowała swoje uczucie na wesoło. Złapała teraz beret Elzy i nasunawszy go prawie na nos, biegła po klasie. Spocone kółko miłośniczek mazura wracało powoli na swoje miejsce, śmiejąc się z blaznowania Edy.

— Ach, jaki on uroczy i wytworny, kiedy naprzykład zawiązuje sznurowadło, oparłszy nogę o piec! Zaiste! czyż serce nie uderzy ku niemu! Albo kiedy robi czułe oczy do naszej Zaborzi! Oh! quel charmant garçon! Pójdź, luba, w me objęcia! — zwróciła się patetycznie do przelatującej Bekerówny.

W tej chwili Barczyński stanął na progu klasy.

— Władek idzie! — pisnęła bezczelnie Eda i runęła w kierunku swej ławki, gubiąc po drodze beret. Tłumione śmiechy ucichły. Młody historyk usiadł przy stoliku, otwierając dziennik i zapisując lekcję. Klasę zaległa rzekoma cisza. Wreszcie podniósł krótkowzroczne czarne oczy.

— Panna Józwiakówna — wyteżył wzrok, żeby ujrzeć ją w przedostatniej ławce. Baśka wstała niepewnie.

— Może pani opowie nam o bezkrólewiu po śmierci Augusta III i o elekcji Poniatowskiego.

Baśka zaczęła coś bąkać. Siedząca przed nią Zagorzałówna szybko otworzyła na potrzebnej stronie książkę i ułożyła ją tak, by Baśka, mająca doskonale oczy, mogła coś niecoś ściągnąć.

— Kazka, schowaj to, zobaczy! — szepnęła zgorzszona Joaska do Bartusiakówny, która zatopiona była w czytaniu ledwo ukrytej pod ławką książki. Kazka mruknęła coś niechętnie, ale książki nie schowała. Wobec tego Joaska siedła bokiem, by ją chociaż zasłonić od Kozła.

Lekcja wlokła się powoli. Po Józwiakównie wstała do odpowiedzi Ludka Borkowska i z wyniosłą, pewną siebie miną opowiadała płynnie o konfederacji radomskiej.

— Ta zawsze jakby była w teatrze — szepnęła niechętnie do Elzy Eda. Jeszcze gestykulować zaczęła.

Ale Elza w tej chwili podniosła chusteczkę do nosa i wstała, nie rzekomo nie mogąc mówić.

— Co, krew z nosa? — zwrócił się do niej żywo Barczyński. Niech pani wyjdzie i zmoczy chusteczkę w zimnej wodzie!

Elza wyszła z ławki i podeszła do drzwi. Stojąc na progu, obróciła się do klasy i zrobiła szelmowskie oko do Ludki.

Korytarz pełen był skupionej ciszy i lekki krok Elzy dźwięczał niepokojąco na kamiennej podłodze. Zbiegła o piętro niżej. Przechodząc obok oszklonych drzwi klas, zaglądała przez nie ciekawie. Oto w pierwszej klasie pan Sobótko stoi na katedrze i trzymając w ręce globus, pokręca nim i mówi coś żywo. W sąsiedniej klasie czwartej pani Stągowska spaceruje między ławkami i dyktuje coś głośno z pamięci. Całe szeregi jasnych i ciemnych głów są pochylone nad zeszytami. Ale oto i klasa druga. Elza zatrzymuje się przy drzwiach tak, żeby jej nikt z klasy nie zobaczył. Przy tablicy stoi jakaś mała, a obok niej panna Zaborska.

— A teraz poszukaj grupy orzeczenia! — dochodzi do Elzy jej słodki głos. Elza opiera się o ścianę i niewidoczna, poprzez szybę drzwi patrzy na nią. Kochana! najkochańsza! Kto drugi ma takie cudowne, najmiłsze, długie oczy, ciemne i słodkie? Kto drugi ma takie najśliczniejsze włosy złociste? Kto drugi potrafi się tak uśmiechnąć? Serce Elzy przepelnione jest tą może egzaltowaną ale tak szczerą i czułą miłością uczenicy do nauczycielki. Kochana! możeż być, jeśli potrafisz, nie wiem jak niedobra i niesprawiedliwa, ale to w niczem nie zmieni faktu, że ja cię kocham i nigdy, nigdy nie przestanę kochać!

Gdy wróciła do Klasy, lekcja pozornie toczyła się dalej, ale między uczenicami panowała złowieszczą cisza. Elza siadła w ławce i pochylili się lekkomyślnie do Edy, ale ta spojrzała na nią ostrzegawczo. Po chwili z trudem napisała pod ławką karteczkę i przesunęła Elzie: „awantura, odebrał książkę Kazce, chce powiedzieć pani!!!!“ Obejrzała się ukradkiem na Bartusiaków: siedzieli obojętnie, patrząc przez okno zamyślonemi oczami na szczyt jola dły, rosnącej na podwórku. Lecz nie czas było przejmować się tem wydarzeniem. Elza chciała jeszcze przygotować skrupulatnie dowód dla Ludki, że istotnie była u drzwi klasy drugiej. Wydarła ostrożnie kartkę z bruljonu i napisała na niej pod ławką: „Byłam, odpowiadała Golrukówna z rozbioru, na tablicy było zdanie: złociste roje gwiazd błyszcząły na szafirowem niebie“. Po chwili, korzystając z odwrócenia się Barczyńskiego, zwinęła kartkę w kulke i rzuciła ją zręcznie na ławkę Ludki.

Po piątej lekcji panna Zaborska spakowała teczkę w pokój nauczycielskim i zdjęła czarny fartuch. Przy długim stole siedziały tylko pani Stągowska, kreśląc z namysłem czerwonym atramentem w zeszytach.

— Długo pani jeszcze posiedzi — stwierdziła Halina, kładąc kapelusz.

— Nie tak bardzo; to czwarta klasa, prędko idzie — odpowiedziała, wyprostowując się i mierząc wzrokiem mały stos zielonych zeszytów.

— Żurkowa swoje zabiera zawsze do domu.

— Nie chce mi się nosić. Codziennie godzinka tu — i spokój.

Halina pożegnała ją i wyszła, mierząc przed wyjściem ze szkoły do swojej klasy. Klasa była już, jak należało przypuszczać, pusta; ale w pierwszej ławce siedziały jeszcze pochylone nad zeszytami Mejerówna, Lichtenfeldówna i Baisenówna.

— Co wy tu jeszcze robicie, dziewczynki?

— Chcemy razem przerobić zadanie na jutro, proszę pani — rzekła Mejerówna, podnosząc na nią szczerą, poważną oczy.

— Tylko bądźcie cicho: obok w klasie jest pan pastor. Dowiedzenia.

Schowała do szuflady pozostawiony na stole dziennik i wyszła. Przez podwórze naokoło klombu prowadziła wąska, wydeptana w śniegu, wysypana żółtym piaskiem ścieżka. Ulice były już uprzątnięte po nocnej zawiei.

Halina szła szybko. Na samym rogu ulicy Księdza Giżewskiego i Ogrodowej omal nie wpadła jak niegdyś — na Wilhelma Baisena.

— Dzień dobry pani! — zawołał wesoło. — Szczęśliwie się składa, że pana spotykam.

Przywitała się z nim milcząco. Dawny, podświadomy, nagły niepokój, prawie zapomniany w czasie prób, znów spadł na nią: czuła się tak mała i niepewna przy boku tego wysokiego, okazałego towarzysza, który z całą swobodą kroczył obok niej.

— Ta teczka — no, nie, proszę mi ją oddać — rzekł stanowczo. — O Boże, czy pani codziennie nosi w niej takie kamienie? — wykrzyknął.

— Czasami tylko — uśmiechnęła się blade. — Pan miał do mnie interes?

— Oczywiście; bez interesu przecież nie ośmieliłbym się, jak

...wykłe... Chodzi o ten hełm Kirkora—przerzucił się żywo z ironji do rzeczowości. — Znalazłem wczoraj świetny rysunek hełmu: momentalnie zrobić, ale zdaje mi się, że jest raczej germański.

— Przecież to obojętne: aby hełm...

— O, nie! — zawołał gorliwie. — Na to się nie zgodzę. Ja swoją część roboty chcę wykonać solidnie. Czy mogę przyjść dziś do pani, popołudniu, z tą książką? Pani osądzi. Zawahała się z odpowiedzią. Lecz Wilhelm był lepszym dyplomata niż przypuszczała.

— Ciotka Gertruda już dawno się gorszy, że jeszcze nie złożyłem pani wizyty — ale czy to moja wina, że pani jest wciąż zajęta?

Oburzyła się w głębi duszy: czyż rzeczywiście nie wolno jej utrzymywać znajomości, które jej się nie podobają, na urzędowej stopie?

— A więc można dziś? — nacierał na nią Wilhelm, patrząc uparcie błękitnymi oczami.

— Proszę — rzekła chłodno, zatrzymując się przed furtką.

— Dziękuję. Oto teczka.

Wpadła zirytowana do mieszkania. Żeby też być tak gruboskórnym! Prawdziwy Niemiec!

Niemiec przyszedł punktualnie o piątej. Gdy wszedł swobodnie i beztrosko, większy — zdawałoby się — w niskim pokoju Haliny, niż na ulicy, nie mogła opanować znów tego niepokojącego uczucia jakby duchowego skurczenia się.

— No, naturalnie: oto te ciężary z teczki — rzekł, widząc rozłożone na biurku zeszyty. — Przeszkodzę pani bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Zasiedli przy okrągłym stole i Wilhelm uczciwie wyciągnął książkę z rysunkami hełmów. Sprawa została szeroko i wyczerpująco omówiona. Wreszcie książka poszła na bok.

— Więc tu pani mieszka — rzekł, rozglądając się po pokoju. Tak sobie właśnie wyobrażałem. A gdzie pies? — zapytał po chwili żywo.

Zaczerwieniła się. Przez tyle wspólnie odbytych prób przedstawienia, przez parę spotkań na plebanji, była to pierwsza aluzja do owego spotkania na szosie.

— Nie mam psa — rzekła zmieszana.

— A... a tamten?

— To pies moich sąsiadów.

Zastanowił się i po chwili dopiero rzekł niezrozumiale:

— Oczywiście. Należało i to przypuszczać. — Podniósł na nią swe silne spojrzenie i jakiś czas ważył pytanie, zanim je zadał: — Czy to dlatego mnie pani tak nie lubi, panno Halino, że panią wtedy — mówiąc poprostu — zaczepiłem?

Aż się zatchnęła, zaskoczona. Nie spuszczał z niej swoich pięknych oczu.

— No, nie będzie pani przecież wbrew jawnej oczywistości twierdzić, że broń Boże... że owszem... że zresztą nie ma pani nic przeciwko mnie. Chciałbym tylko wiedzieć, czy to z tamtego powodu. Nie chciałem pani obrazić. Wyjechałem ze Szczalkowa przed trzema laty, ale znałem tu wszystkich. Pani nie znałem. Chciałem się dowiedzieć, tak czy tak, kto pani jest, ta nieznana panienka pod krzaku głogu.

Odwróciła oczy do okna — i to zaraz dodało jej odwagi.

— Jeśli pan ma takie wrażenie... to dziwię się...

— Że się narzucam? Bo pani musi się przekonać, że nie ma pani racji. Pani jest niesprawiedliwie do mnie uprzedzona. A przecież podobno zawsze się pani stara być sprawiedliwą.

Wieczorem, po jego odejściu, Halina długo stała w oknie — zwykłym miejscu rozmyślań. Z przykrością zastanawiała się nad tem, że skończyły się beztroskie chwile prób; wszystko wskazywało na to, że Wilhelmowi Baisen sprzykrzył się już spokój i rezerwa. Należało coś przedsięwziąć.

## X.

Dwa są okresy czasu, w których nauczyciel, budząc się rano, wie, że do późnego wieczoru, w szkole czy w domu, nie będzie miał chwili czasu dla siebie; w których znika — bo musi — życie towarzyskie, zainteresowanie sztuką, literaturą, własnym domem i wogóle wszystkim, co nie jest szkołą. Jeden z tych okresów, to koniec stycznia, drugi, to czerwiec — czas klasyfikacyjny.

Styczeń, to zaledwie półoficjalna, mniej ważna klasyfikacja, jednakowoż już od połowy miesiąca zaczyna się okres namysłów, narad i porachunków z notesem — i z własną świadomością. W zasadzie wszystko jest gotowe; zna się swoje małe klasowe społeczeństwo na wylot, lecz w chwili, gdy przychodzi napisać ocenę postępów, niema ręki, któraby się nie wahała co krok. Jak ocenić w jednym suchym słowie zdolności, chęci, wytrwałość i stopień nabytej wiedzy? Niema dwu uczniów o jednakowym zupełnie stanie postępu w nauce — a stopnie jednakowe być muszą, bo wszak jest ich tak mało! Na dobitkę w ostatniej chwili przychodzą wątpliwości. Przy tego rodzaju masowym ocenianiu krzywdzące omyłki być muszą. Ale gdzie one są? Może tu? Może tam? Czy nie należy sprawdzić jeszcze raz? I oto klasa jest podminowana: „poprawia”. Gwałtowne, wielogodzinne, mało warte kucie w domu; godziny naprzemian trwogi i nadziei na lekcji; nieustanne napięcie nerwów; i nieodmiennie, po każdej klasyfikacji zdumiewający, niepokojący fakt, iż nie uniknięto rozgoryczeń i żalów.

Na tydzień przed dniem sesji panna Zaborska odwołała próby przedstawienia i pogrążyła się w tak zwane „zadania klasowe” — najbardziej nużącą pracę na terenie nauczycielskim. Bez przepisanej zgóry ilości zadań dla każdej klasy niepodobna było sklasyfikować żadnej uczennicy. Potem przystąpiła za zwykłym



niepokojem do stawiania półrocznych stopni. Zaraz też nadeszły długie, całe popołudnia aż do nocy trwające sesje, wyczerpujące debaty na temat każdej uczennicy. Wychowawczynie muszą wiedzieć wszystko. Dwójka z matematyki? ale warunki domowe bardzo złe: ojciec bezrobotny, matka zarabia praniem, w jednym łazibie uczy się najstarsza córka, zapracowana zresztą korepetycjami, i hałasuje młodszy drobiazg. Gdzieindziej znów zły stopień z historii. Warunki materialne dobre. Może zdrowie? Tu zabiera głodoktorka szkolna, zaglądnąca do swych notatek. A więc może z towarzystwo? Całe grono nauczycielskie debatuje: postawić dwójkę? no i co z tego? tu trzeba usunąć przyczynę, która wywołała dwójkę. Powoli przesuwały się wszystkie bez wyjątku uczennice przed wymęczonemi umysłami zebranych — i rzadko kiedy zdarzała się taka ulga, gdy wychowawczynie, odczytując stopnie, ogłaszała „Krysia Grabowska: piątka, czwórki, piątka... do końca czwórki“ — a dyrektorka woła: „Bez kwestji, następna!“

Zaraz na drugi dzień po sesji trzeba się zabrać do nudnej męczącej pracy pisania świadectw. Blankiety są wydawane w ograniczonej ilości, a pomylić się nie wolno ani na jotę. Żadnych skreśleń, żadnych poprawek.

Trzydziestego stycznia, w ostatnim dniu półroczna, rozdano po lekcjach świadectwa, poczem wszyscy, uczennice i nauczycielstwo, mieli wypocząć przez czterodniową przerwę. Na trzeci zaś dzień przerwy było wyznaczone uroczyste szkolne przedstawienie — przedmiot dumy i troski panny Zaborskiej.

Na najgorętszy czas pracy przed zakończeniem półroczna Halina przerwała próby teatralne: w wigilję przedstawienia miała się odbyć tylko próba generalna. O ile można być pewnym w tak niepewnej imprezie, reżyserka pewna była swych wykonawczyń. Pomimo jednak gorącego czasu trzeba było zrobić zebranie sekcji pomocniczych, utworzonych przez zebranie rodziców. Zeszło się po południu kilkanaście osób. Mecenas Gradziński oświadczył, że z powierzonych mu do rozprzedania biletów zostało jeszcze kilkanaście — i oddał je wraz z pieniędzmi. To samo miała powierzone pani Lichtenfeldowa, która spóźniła się na zebranie, ale bilety sprzedała wszystkie. Zaczem panie Wernerowa i Kasparska przedstawiły kostjumy Aliny, Balladyny i wdowy, uszyte z prześcierań; pani Bekerowa z dumą rozwinęła delikatny, z bibułki strój Skierki, a Wilhelm Baisen przyniósł w pudełku zbroję Kirkora ze srebrnego papieru i tektury. W pokoju za sceną leżały w pudłach

awniej dostarczone bibułkowe krynoliny sześciu tańczących me-  
neta dziewczynek. Wreszcie wyłoniła się kwestja dekoracyj. Do  
fragmentu „Balladyny“, odbywającego się w chacie Wdowy, wszy-  
sko zebrał lub skonstruował Wilhelm Baisen; ale do dramatycz-  
ej sceny rozmowy Anny i Marji w „Warszawiance“ trzeba było  
opiero zwieźć a to dywany, a to biust Napoleona lub meble choć  
prochę pasujące do epoki. Tu znów głos zabrał Wilhelm Baisen, i  
może zaofiarować na pół dnia rano w dzień przedstawienia cięż-  
arowe, fabryczne auto, a zwiezienia \* i odwiezienia zgłoszonych  
teczy i krzesel dopatrzy on sam, aby nic nie uległo zniszczeniu.

Zebrań było zakończone. Halina pożegnała wszystkich i we-  
zła bez pośpiechu na górę, aby się ubrać. Gdy po jakimś czasie  
eszła na podwórze, ujrzała Wilhelma Baisena, spacerującego  
terpliwie wokół klombu.

— Co pan tu jeszcze robi?

— Czekam na panią; nie będzie pani przecież wracała sama  
nieczorem do domu — wyjaśnił spokojnie i ruszył obok niej.

Rozmowa na temat przedstawienia nie kleiła się. W połowie  
rogi Wilhelm zawiadomił Halinę, że bratowa jego, Berta, wybiera  
się odwiedzić ją. Gdy milczała zaskoczona, ledwie wybąknąwszy ja-  
kieś niewyraźne zdanie, rzekł:

— Cieszę się bardzo z tego zwrotu w usposobieniu mojej  
bratowej. Z wyjątkiem państwa von Willenbrock we Friedrichsdor-  
fie, Berta z nikim nie żyje. Pani nie ma pojęcia, co za przygnębia-  
jący nastrój panuje u nas w domu. Henryka prawie nigdy niema,  
w takim nastroju żyje biedna Elza.

— Państwa von Baisen spotykały nieszczęścia — przypom-  
niała sobie. — Słyszałam o tem od pani pastorowej.  
Machnął ręką.

— Zapewne, że to był początek. Ale mają przecie Elzę. Żal  
mi bardzo Berty, ale ona jest nieszczęśliwa chyba przez swój cha-  
rakter. Jest dumna i skryta, wrażliwa i — może się pani śmiać —  
nieśmiała. Wolałaby już nie wiem co, niż myśl, że jest gdzieś nie-  
potrzebna. Żeby pani wiedziała, jak ona kocha Elzę — i jak się boi  
okazać to inaczej, niż przez suchą troskliwość. Zawsze jest  
chłodna i dobrze ułożona i tylko patrzy — żeby pani wiedziała,  
jakimi oczami! — jak Elza siedzi mi na kolanach i jak targamy  
sobie czupryny z wielkim wraskiem. Doprawdy, bardzo się cieszę,  
że chce panią odwiedzić.

I rzeczywiście, w parę dni potem, gdy Halina była właśnie

zawalona pisaniem świadectw, usłyszała w przedpokoju chłód jak n  
wyniosły głos pani Baisenowej. t się  
o te

— Czy panna Zaborska w domu? Be

Halina stanęła w progu pokoju i przywitała ją serdecznie. Pani Baisenowa wyciągnęła do niej rękę — i naraz uśmiechnęła się tym znanym już Halinie uśmiechem, niepewnym, nieśmiało - s  
decznym. Zrzuciła wspaniałe brązowe futro, pod którym ukazała się również brązowa suknia, i weszła do pokoju. w. J  
moż

Gdy usiadły obie na łożu przed okrągłym stołem, Halina poznała, iż jeśli nawet pani Baisenowa jest nieśmiała i dra  
wa, to umie to pokryć wyrobieniem towarzyskiem i jakąś chłodną rezerwą, która miała stanowić mur ochronny między światem a nią. Mur ten jednak — jak się już Halina przekonała — był przebiecia.

Zaczęły rozmawiać — o czemby, jak nie o przedstawieniu? Halina, pamiętając, co opowiadał Wilhelm, skłoniła ją, by pani Baisenowa zechciała siedzieć przy stoliku z biletami u wejścia do sali wraz z panią Stągowską czy kim innym. Za ledwie pokonała jej skrupuły, gdy wzrok pani Berty napotkał rozłożone na biurku świadectwa. Zmieszana się niewymownie.

— O... ale ja czas pani zabieram...

— Ależ proszę pani, przecież muszę wypocząć od czasu czasu! Pisałam bez przerwy od obiadu.

Brązowe oczy pani von Baisen przeniosły się z biurka na Halinę.

— Musi pani mieć dużo pracy.

— O, tak — przyznała pogodnie. — Ale to jest chyba naprawdę milsza praca, jakąbym mogła poznać.

— Bardzo ciężka. Nie wyobrażam sobie, jakbym mogła być nauczycielką. Dzieci są czasami tak nieznośne; no, i powtarzać to samo raz z nowym rocznikiem wciąż to samo, musi być nużące.

Halina uśmiechnęła się, poruszając nogą w powietrzu.

— Takie zdania często się słyszy — rzekła. — Nie — nauczyciel nie potrafi odczuć uroku tej pracy.

Berta zastanowiła się.

— Uroku wielkiej władzy? Może...

— Nie. Uroku odkrywania. Niema dwojga jednakowych dzieł na świecie. Każde jest inne. Poznawać taką różnorodność i powód, coraz to inne małe umysły, rozpoznawać na nich drobne rodki późniejszych cech, śledzić ich rozwój, mieć ten rozwój

chłod jak na dłoni... Jeśli zdobędzie się u nich choć trochę zaufania, to się naocznym świadkiem stawania się człowieka... Nie mówiąc o tem, że na ten rozwój można wpływać...

decz Berta patrzyła zamyślona na mały żółty kwiatek z całej ple-  
nęła wy kwiatków wyhaftowanych na serwetce.

o - s — Rozumiem panią trochę. Pani jest posiadaczką ich umy-  
ukaz W. Jeśli ma pani jeszcze ich zaufanie, to ma pani więcej, niż...  
można marzyć — dokończyła. — To jest macierzyństwo bez  
ch jego stron: bo mając tyle „dzieci“, nie przejmuję panią zbyt  
drażno choroba, odjazd, śmierć jednego z nich... — Pokiwała głó-  
chłod w zamyśleniu. — Wtedy można sobie pozwolić nawet na luksus  
atem posiadania własnych dzieci...

był — No, to chyba nie to samo — zaoponowała Halina.

— Rozumie się, że nie to samo: o wiele mniej bólu, zmar-  
niu? cień, gorczy... — Poruszyła się niespokojnie: — Ale ja panią  
y pa wię ładną rozmową — rzekła już zwykłym, chłodno - uprzejmym  
ścia mem. — Dawno pani była na plebanji? Jak się czuje pastorowa.

W tej chwili Katarzyna w rozłożystym fartuchu i z miną bar-  
skona nej niż zwykle odętą — co było u niej raczej oznaką wewnętrzne-  
biur poruszenia, niż gniewu — podała herbatę. Gdy po godzinie bli-  
to pani Baisenowa wstała, by się pożegnać, Halina nie potrzebo-  
asu ła już wyrabiać w sobie sympatji do matki Elzy.

— Panno Halino — pozwoli mi pani tak mówić? — wiem,  
rka pani ma teraz dużo pracy. Nie chcę pani znów zabierać dro-  
ego czasu. Czekać będę na odwiedzinę dopiero po przedstawieniu.

W przedpokoju, już ubrana, wyciągnęła do Haliny jeszcze raz  
a na kę w brązowej rękawiczce i uśmiechnęła się swoim nagłym, ser-  
eczno - nieśmiałym uśmiechem.

— Pani jest bardzo miła — rzekła mimowoli i zaraz, jakby  
da b kając się, że za dużo powiedziała, uścisnęła sztywno jej rękę.

Halina po powrocie do pokoju, zamiast zasiąść do świadectw,  
na ła zamyślona w oknie. Biedna kobieta. Wygląda nie na roz-  
- na aczającą po zmarłych dzieciach matkę, lecz raczej na osobę do-  
knęłą jakimś ciężkim urazem psychicznym. A przytem robi wra-  
enie, jakby była zupełnie sama.

— I pomyślcie, że kiedyś mówili mi, że się zanudzę w tym  
dz trzałkowie bez ludzi! — pomyślała nagle. — Tacy interesujący,  
ś t nili znajomi! Pastorostwo, Żurkowie, przełożona, teraz ta pani  
ne z Baisen... Dziewczynki... O Boże, dzięki Ci, że usłuchałam wtedy  
bj pastora!

## XI.

Po dwudniowej śnieżycy ranek drugiego lutego wstał ciemny, biały, zasypany śniegiem, jasny, choć bezsłoneczny. Przelewnicy, idąc w żyłach niepokój nie dał Halinie spać w nocy i zmusił ją do niepotrzebnego zerwania się o siódmej. Widok białego światła i drzew uginających się pod ciężarem śniegu, wpływał uspokajająco, jednak o wpół do dziewiątej była już w szkole. W sali teatralnej ujrzała woźnego Feliksa i woźną, Michałową, nad stołem złożonej w kącie świerczyny.

— Co to?

— A to przywiózł pan Baisen i powiedział, że trzeba te ubrać salę. Ale kiedy to zrobić? Michałowa ma iść pomagać przy urządzaniu bufetu, a ja mam jeszcze tu zaciągnąć podłogę i znieść stołownicę z miasta od pań.

— Tu przyjdą zaraz panienki z siódmej klasy, to zrobią rozporządziła Halina. — Niech Feliks tylko przyniesie młotki i gwoździków, szpagatu i jaką drabinę — i może sobie iść na miasto. Podłogę zaciągnie się, jak ściany będą ubrane.

Przeszła do dużego pokoju za sceną, który miał służyć za ubierałnię dla grających i zatrzymała się zdziwiona: wszystkie meble, potrzebne do przedstawienia, były już przywiezione i zamalowały połowę pokoju.

— O której-że pan Baisen zaczął zwozić rzeczy? — zawołała w kierunku sali teatralnej. Lecz ani Feliksa, ani Michałową już nie było.

Siadła nad stołem świerczyny i kłując sobie ręce, zaczęła wiązać długie girlandy, mające przybrać ściany. Miły zapach żywicy, rozchodzącej się w nagrzanem powietrzu, działał równie uspokajająco, jak widok śniegu na białym świecie. Musi się

szystko udać. Wczorajsza próba generalna, przy przełożonej, kostjumach, wyszła prawie dobrze. Prawie dobrze...

O dziewiątej przyszły dziewczynki z siódmej klasy — (sama spowodu matury była wyłączona od wszelkich zatrudnień) odrazu napełniły gwarem dużą salę teatralną. Część zabrała się do wicia girland ze świerczyny, część nalegała na pannę Zaborską, aby już urządzić scenę, część wreszcie poszła do sąsiedniej sali, gdzie panna Biebrzykówna, nauczycielka robót i rytmików urządziła bufet. Gwar w sali był taki, że panna Zaborska zaproponowała, aby raczej śpiewały przy robocie. Ushwały jej odrazu, a Eda, dusza klasy, zaintonowała ludową piosenkę o siwym gołębczku, którą inne podjęły.

Jedna Kazia Bartusiakówna milczała, wyciągając ze stosu świerczyny odpowiednie do girlandy gałązki. Czarne, posępne oczy biegły skrycie ku pannie Zaborskiej, nieufne, pełne niepokoju; lecz gdy Halina zwracała się do niej, opadały na przechodzące przez ręce gałązki.

— Kaziu, jesteś bardzo blada. Głowa cię boli?

Wstrząsnęła przecząco głową.

— Każka ma pietra, proszę pani! — wykrzyknęła Eda. —

Boi się!

Czarne oczy Każki spoczęły przez moment z pogardą na

Edzie. Wzruszyła ramionami.

— „Zakończona już praca, moja Balladyno“ — zadeklamowała patetycznie Krysia, odrzucając gotową jedną girlandę. —

Proszę pani, jak ja wyglądałam wczoraj na próbie w tej chustce?

— Dobrze. Niktby cię nie poznał.

— A ja, proszę pani? A ja?

— Mada musi pamiętać o tem, że ma być spokojniejsza na scenie, niż zwykle. Alina tak się nie kręciła. Kirkor niech uważa, żeby w nim przy uklonie zbroja nie pękła.

— „Bądźcie mi zdrowe, piękne narzeczone“ — wyrzekła Ludka, kłaniając się z dystynkcją kupie świerczyny.

W pewnym momencie Halina skorzystała z tego, że Feliks pojawił się na sali i zabrała go, aby zawiesił kurtynę. Gdy weszła potem do pokoju za sceną, zobaczyła Bartusiakównę, wciśniętą między szafę a okno.

— Kaziu, co tu robisz?

Odwróciła powoli głowę. Czarne oczy spoczęły obco na Halinie.

— Och, proszę pani — rzekła wreszcie z trudem. — To nie uda. Ja nie potrafię słowa powiedzieć...

Tyle udręki było w jej głosie, że Halina żywo podeszła do niej.

— Ależ Kaziu, uda się doskonale! Wszystkie dziewczyny są dobrze przygotowane, a ty... ty masz naprawdę talent. Odwagi!

Objęła ją wpół. Wtedy w Bartusiakównie coś się rozprasało. Przytuliła się do nauczycielki i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

— Kaziu, no, Kaziu! — Sama panna Zaborska była zmieszana.

— Ja... ja się nie boję nawet pomylić... Mnie jest wszystko jedno! Ja się boję... ja nie wiem sama, czego się boję... się boję samego grania... Żeby nawet była zupełnie pusta sala

Halina, wstrząśnięta niezrozumiałe, gładziła po ramieniu dużą, drżącą dziewczynę. Bartusiakównę jakby uspokoiły rzucane z trudem słowa. Puściła Halinę i otarła oczy.

— To głupie — rzekła. — Ja wiem... Czy ja mogę tu stać jeszcze, proszę pani?

Halina zostawiła ją między meblami i wyszła pod wrażeniem jej słów. Załedwie znalazła się w sali, ujrzała przez okno zajeżdżające ciężarowe auto, zapakowane krzesłami. Po chwili wpadł do sali Wilhelm w rozpiętym futrze.

— Dzień dobry paniom! Panno Halino, gdzie podziacie krzesła? Tu?

— Ależ nie! Tu jeszcze podłoga ma być zaciągana!

— Panna Biebrzykówna do bufetu nie pozwala!

— A więc, czy ja wiem?... Może na korytarz?

— Na korytarz! — wypadł z sali i po chwili jego głęboki donośny głos zaczął komenderować ustawianiem krzesel.

Halina obchodziła salę i oglądała krytycznym wzrokiem ściany. Kazia nie wróciła jeszcze, ale przybyło parę innych dziewczyn z innych klas i splatanie girland szło raźniej.

— Elza! — zawołała panna Zaborska.

Dziewczynka rzuciła robotę i przybiegła do niej.

— Poszukaj Feliksa, może będzie miał czas rozwiesić wianki.

— „Czy przez dolinę, czy przez olszynę,

Czy przez wieś, czy przez wieś...“ — śpiewały dziewczynki. Elza zaraz wróciła.

— Proszę pani, pani sekretarka mówi, że Feliks poszedł  
o talerzyki i szklanki do pani Borkowskiej.

Halina patrzyła niezdecydowana. Drabina była, ale chwia-  
się nieco. Któraś z dziewczynek? Jeszcze spadnie...

— Trzymaj drabinę, Elzo — rzekła w nagłym postawowie-  
tu. — Basiu! Chodź mi podawać girlandę.

— Ojej, pani jeszcze spadnie — zauważyła flegmatycznie  
ozpasia.

— Oj, rusza się! — wrzasnęła Mada.

— Proszę pani, to lepiej ja!

— Cicho bądźcie, bo spadnę naprawdę — zgromiła je z wy-  
wazyłkości drabiny nauczycielka. Śpiewajcie sobie i kończcie prę-  
zej. Elzo, trzymasz?

— Tak, proszę pani.

Dziewczynki zaczęły nową piosenkę, symkopowaną uderze-  
niami młotka. Po białej ścianie zaczęła się wić zielona świer-  
y zyna. Halina schodziła co chwila z drabiny, przesuwały ją z Elizą  
tu za chwilę znów stukała młotkiem.

---

## WYCIĄC I ZACHOWAĆ

Wyjaśnienia: 1) Głosowanie odbędzie się załą-  
czonemi w każdym Dodatku Powieściowym „Kur.  
Por.“ kuponami, zaopatrzonemi w kolejne numery.

2) Termin głosowania wyznaczony będzie przy  
zakończeniu konkursu. Kupony zatem należy zacho-  
wywać.

3) Każdy kupon uprawnia do złożenia jednego  
głosu. Każdy Czytelnik uprawniony jest do składa-  
nia dowolnej ilości głosów - kuponów.

4) Posiadacz kuponu uprawniony jest do naby-  
cia w administracji „Kur. Por.“ oddzielnych egzem-  
plarzy „Dodatku Powieściowego“ w cenie 10 gr. za  
egzemplarz.



— „Płyn pieśni, płyn, z nieziemskich strun  
I dźwięcz, i dzwoń, i dźwięcz i dzwoń...” — śpiewały teraz  
dziewczynki popisową piosenkę swego chóru. Elza z zadartą  
głową, mrużąc oczy przed osypującym się tynkiem, śledziła po-  
stępy roboty; Basia przez całą już salę ciągnęła girlandę od sie-  
dzących w kącie dziewczynek. Halina żwawo stuknęła młotkiem  
skupiwszy uwagę na tem, aby nie potłuc sobie palców. Nie  
chciała pamiętać, że znajduje się wysoko, na chwiejącej się dra-  
binie; nie chciała patrzeć w dół.

— „Podemną w dole, w dole tam,  
Wśród niw, wśród niw i wzgórz,  
W zielonych sadach cicha wieś  
I świergot ptaków pośród zbóż...”

Raptem uderzyła się w palec młotkiem. Zatrzymała się  
chwilę — i naraz oblepiło ją jakieś niemile uczucie: lęku? Oparła  
obie ręce na najwyższym szczeblu drabiny i spuściła na chwilę  
głowę z zamkniętymi oczami.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

WYCIAĆ I ZACHOWAĆ.

**Wielki Konkurs Powieściowy**  
**„Kurjera Porannego”**  
**KUPON Nr. 29**

Tytuł powieści .....

Nazwisko autora .....

Nazwisko głosującego .....

Adres .....

**WIELKI KONKURS POWIEŚCIOWY  
„KURJERA PORANNEGO”**

---

**ANNA MARKOWSKA**

**W POTRZASKU**

**(powieść z życia szkoły na Mazurach Pruskich)**

***Część II.***

**ODDZIAŁEK POWIEŚCIOWY DO „KURJERA PORANNEGO”**

**Nr. 26. WARSZAWA, 4 LUTEGO 1934 r.**

wróc  
już k  
oczar

gła j

biny.

Wied  
ten

zabi

ją?

wpa  
biur  
czon

dyr

dom

ark

prz  
kto  
Bęc

dzi  
I t

mil  
pa

— Proszę pani! — zawołała zaniepokojona Elza.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niej w dół. Potem odwróciła głowę ku sali. We drzwiach wiodących na korytarz stał już bez futra Wilhelm Baisen z utkwnionymi w nią błękitnymi oczami.

— Ładna historja! — zawołał wesoło. — To pani nie mogła już na mnie zaczekać?

— Kiedy pan przyjechał? — spytała, schodząc powoli z drabiny. — Nic nie było słyhać.

— Bo ja samochód już odesłałem i przyszedłem pieszo. Wiedziałem, że się mogę na coś przydać. Niech-no pani odda ten młotek. Elzo, puść drabinę i odejdz.

— Nie, stryjku, ja będę trzymać.

— Odejdz. Jeżeli spadnę, nic sobie nie zrobię, a ciebie zabiję.

— Ale ja będę trzymać, stryjku.

— A więc trzymaj, uparciuchu. Dlaczego panie nie śpiewają? — zawołał już z wysokości drabiny. To było takie ładne!

Dopiero o drugiej, gdy już wszystko było gotowe, Halina wpadła do gabinetu przełożonej. Pani Lorencowa siedziała za biurkiem nad jakimś dużym wykazem i podniosła na nią zmęczone i niebardzo przytomne czarne oczy.

— Przyszedłam powiedzieć, że już wszystko zrobione, pani dyrektorko. Czy pani zajrzy na dół?

— Może później, koło trzeciej. Niech-że pani idzie już do domu wypocząć, panno Halino! Ja jeszcze przejrzę te papiery...

— Coś nowego? — spytała Halina, patrząc z zajęciem na arkusz.

— Tak. Dokładny spis uczennic z wykazem chorób, jakie przechodziły. To muszą zrobić wychowawczynie, bo przecież dyktorka za całą szkołę nie podola. Przyszedł też kwestjonariusz. Będzie po przerwie dużo roboty... Czy krzesel w sali wystarczyło?

— Prawie. W ostatnich rzędach postawiłam ławy.

— Miała pani chyba prawdziwą pomoc w panu Baisen. Widziałam, jak sam znosił krzesła z auta. Nieoceniony człowiek. I taki miły!

— Bardzo dużo pomógł — przyznała Halina, pomijając milczeniem ostatnią uwagę. — Pójdę już, nie będę przeszkadzać pani dyrektorce.

Zaraz po zjedzeniu obiadu Halina położyła się w zaciemnio-

nej sypialni, polecając Katarzynie zbudzić się o piątej. Czuli się tak zmęczona! Pokłóte i poobijane palce, spracowane ręce zmęczone ciąglem bieganiem nogi — i gorsza niż to wszystko niepewność powodzenia. W ciszy mrocznego pokoju sen się nie zjawiał. Co chwila ploszyły go nagle, ostre przypomnienia, żeby nie zapomnieć tego lub owego! To znów przed zmęczonym mózgiem majaczyły fragmenty przedstawienia, jakiś ruch na scenie, słowa, głos... Oto chór... Nie, to Wilhelm Baisen śpiewa razem z jej uczennicami piosenkę o morzu... Trzeba pamiętać o grzebieniu dla Balladyny... Czy to już piąta? Nie, wpół do czwartej. „Książę, osłonisz odwrót armji...” Dlaczego kierownictwo szkół jest tak przeładowane pracą administracyjną? Bardzo dużo mogli... „Książę, osłonisz odwrót armji...” Czego się bała Kazia? Jak to ona powiedziała? bała się przedstawienia dla siebie „Książę, osłonisz...”

O piątej obudziła ją Katarzyna. Chwilkę leżała jeszcze z otwartymi oczami, wreszcie zerwała się, świeża, wypoczęta i pełna dobrej myśli. Szybko zaczęła się ubierać na uroczystość. Suknia z czarnej tafty, sztywna i szeleszcząca półstylowa krynolinka z krótkimi rękawkami i kwadratowym wycięciem leżała przygotowana. Nieobcięte, wbrew modzie, ciemnoczerwone włosy Haliny nie potrzebowały fryzjera: same układały się w lekkie fale. Z wypoczętej twarzy spojrzwały w lustro pogodne, szczerze, ciemne oczy. Czy przypiąć tę złotą różę? Tak ślicznie jest z nią... Ale suknia już i tak za mało poważna, jak na nauczycielkę występującą w roli oficjalnej. Nie, różo, zostań w domu. A jednak... a jednak... Gorzko wyrzucając sobie swą lekkomyślność, przypięła Halina różę do sukni.

Nie było jeszcze szóstej, gdy wbiegała na podwórze szkolne. Wielki gmach, ongiś klasztorny, był ciemny. Jedyne tylko lewa strona parteru gorzała światłem.

Po sali błąkało się kilka dziewczynek, biorących udział w tańcach. Cały chór stał na scenie i odbywał generalną próbę z panem Wieczorkiem. Pod takt rozbujających ruchów profesora szarmonizowane głosy wypełniały salę płynną melodją. Halina weszła żywo do pokoju za sceną. Cała gromadka jej „aktorek” była zbита w jednym kącie. Na jej widok obiegły ją momentalnie.

— Och, proszę pani!

— Och, prozę pani, jak ja się boję!

— Co to będzie! Co to będzie!

— Wszystko będzie dobrze, dziewczynki. Ubierajcie się!  
Zaraz po chórze będzie deklamacja Stefci Górczyńskiej, a po niej  
Balladyna“.

W pokoju zawrzało. Dziewczynkom teraz zaczęło się zdawać,  
że przedstawienie się nie uda, bo one nie zdążą się ubrać. Ktoś za-  
pukał do drzwi.

— Nie wolno! Nie wolno!

Halina wyjrzała. Za drzwiami stała Elza, przepisowo ubra-  
na w białą bluzkę i mundurkową spódniczkę.

— Proszę pani, przyszła mamusia i pyta, co robić.

Wyszła wobec tego na salę. Wałęsające się poprzędnie dzie-  
wczynki znikły gdzieś. Przy drzwiach wejściowych stała, słucha-  
jąc chóru, matka Elzy jeszcze w futrze i kapeluszu.

— Jak to ładnie, że pani przyszła tak wcześnie! Oto tu jest  
ten stolik z programami — bilety przyniesie pani Stągowska, ale  
jest jeszcze na górze, na próbie ze swojemi dziewczynkami. Elzo,  
kochanie, zabierz to futro i kapelusz od mamusi, niech ci Micha-  
łowa da klucz od pokoju nauczycielskiego i zanieś je tam.

Pani Baisenowa w brązowej jedwabnej sukni — nie nosiła  
widać innego koloru! — zasiadła za stolikiem.

— Niech pani siądzie ze mną na chwilę — poprosiła. — Jesz-  
cze nikogo niema. Wilhelm przyszedł ze mną i gdzieś znikł..

— Melduję się, że jestem — zabrzmiał, jakby w odpowiedzi,  
głos za plecami Haliny. Odwróciła się żywo i Wilhelm urwał na-  
głe, jakby uderzony jej widokiem.

— Ach, nie myślałem — rzekł zmieszany i urwał znów,  
przeleciawszy po niej szybkim, gorącym wzrokiem od włosów aż  
do brzegu sukni. Wzrok był tak jawnie zachwycony, że Halina  
spurpurowiała. Na dobitkę podchwyciła przenikliwe, jakby zdumio-  
ne spojrzenie pani Baisen, rzucone na szwagra. To jej przy-  
wróciło panowanie nad sytuacją.

— Musiałam się bardzo zmienić — rzekła oschle. — Czy  
nie zechciałby pan dotrzymać towarzystwa pani Baisenowej, zanim  
przyjdzie pani Stągowska albo pan Marciniak?

Zanim doszła do drzwi pokoju za sceną, dogoniła ją pani  
Żurkowa.

— No, chwala Bogu, skończyłam powtórzenie z mojami  
małemi. Niech się pani pokaże, panno Halino. Jak ładnie! i ta-  
róża! Nareszcie jakiś objaw kobiecości! W czym pani pomóc?

— Niech pani zabierze te dziewczynki, porozstawia je po

sali i nauczy, co mają robić. Dwie niech sprawdzają bilety przy wejściu, reszta niech pokazuje miejsca. Ze dwie do stolika pani Baisenowej.

Z za drzwi wychyliła się głowa Krysi.

— Proszę pani! Proszę do nas! My nie potrafimy same...

— Zaraz idę!

W tej chwili podbiegł pan Wieczorek.

— Chwileczkę, panno Halino! Czy nie można zmienić porządku programu? bo po chórze jest prawie zaraz „Balladyna” i dziewczynki nie mogą śpiewać w chórze, bo muszą się przebierać, a to podstawa trzecich głosów...

Na deliberujących wpadła matka jednej z uczennic, pani Markowska.

— O, jak to dobrze! — powitała ją Halina. — Może pani pójdzie zobaczyć, jak tam dziewczynki radzą sobie z kostjumami.

— Instalacja się zepsuła elektryczna, ta dolna na scenie. Ktoś przerwał drut — zaraportował Feliks.

— Gdzie są pudła ze strojami do menueta? — wpadła rozgorączkowana Pani Stągowska.

Mimo że wszystko było przygotowane i zorganizowane uprzednio, Halina biegła rozgorączkowana. Przed ósmą, gdy wreszcie wszystko było jako tako sklezione, zażegnane, przygotowane, padła zmęczona na jakieś krzesło w rogu sceny, na której pan Wieczorek zbierał dziewczynki z chóru. Tu znalazł ją Wilhelm Baisen.

— Nareszcie przyszedł pan Marciniak. Prawie pełno. Nie wyjdzie pani na chwilkę, panno Halino? Przełożona przyszła tylko co.

Zawahała się i wyszła z nim. Istotnie sala była prawie pełna. W pierwszym rzędzie przełożona rozmawiała z pastorem i jeszcze jakimś starszym, otyłym panem o ciemnej twarzy i posępnym spojrzeniu. Podeszła ku nim.

— No, jakże, panno Halino, wszystko dobrze? To jest pan Baisen, ojciec Elzy.

— Zbuntowała mi pani całą rodzinę — rzekł ten, usiłując się uśmiechnąć, co dziwnie nie pasowało do jego ciemnej, posępnej twarzy. Hallo, Wilhelm! Und du tummelst dich hier?

Pastor uśmiechał się przez złote okulary.

— Mam nadzieję, żeś się przydał, Wilhelmie?

— Oczywiście! — rzekła Halina. — Zaraz się zaczniesz. Muszę

— Dlaczego? Teraz chór, a potem dziewczynka pani Żurkowej — rzekła przełożona. — Przynajmniej przez chór może pani pozostać tu. Są miejsca.

Halina siedziała obok przełożonej, a obok niej Wilhelm. Przez salę dała znak Feliksowi. Ten zadzwonił głośno i zgasił światło. Ukryta za sceną Wandzia Gomulska z ósmej klasy ściągnęła kurtynę. Na scenie stały w jasnym świetle onieśmiałe dziewczynki, wszystkie z wielkimi granatowymi kokardami przy białych bluzkach. Chwilka ciszy — i pan Wieczorek podniósł obie ręce. Rozległ się chór.

Halina oparła znużone plecy o krzesło. Czula na sobie ukryty wzrok Wilhelma i starała się przybrać minę chłodną i daleką. W pewnej chwili, poruszywszy się, dotknęła łokciem jego marynarki i aż się przestraszyła, że siedzi tak blisko. Skurczyła się niezmiernie i siedziała sztywno. Aż drgnęła, usłyszawszy nad uchem ciche słowa:

— To samo śpiewają, co rano, prawda?

Skinęła głową z powagą, choć sama dopiero teraz się spostrzegła: rzeczywiście, że to samo! Gdy następna piosenka zamilkła i kurtyna się zasunęła, Halina wstała. Skinieniem głowy powitała znajomych siedzących w dalszych rzędach: profesora Żurka, panią Bartusiakową i jeszcze jakieś twarze znajome z zebrań rodziców, ale których nazwiska wypadły jej teraz całkiem z pamięci.

— Teraz już idę — rzekła do swego towarzysza.

— Idziemy — poprawił Wilhelm. — Muszę przecież urządzić scenę.

Za sceną stała z wypiekami na twarzy i kartką w ręku pani Żurkowa, gotowa podpowiadać małej, którą samotna pośród jasnej, pustej sceny, recytowała odważnie swój wiersz. Gdy przebrzmiały ostatnie oklaski i kurtyna się zwarła, Wilhelm z pomocą Feliksa zaczął urządzić scenę.

Halina wpadła do ubieralni. Dziewczynki były gotowe i tak przestraszone, że powitało ją tylko jedno zbiorowe westchnienie.

Pani Moroniowa kończyła upinanie sukni na Wdowie, pani Markowska poprawiała coś przy zbroi Kirkora.

— Już? Ludka, pokaż się. Mada, Kazia, Krysia — jak klasnę, wejdziecie na scenę. Odwagi! Ja będę przy kurtynie. I nie patrzcie na salę!



Wypadła na scenę i ukryła się za dekorację ściany, gdzie czekał już na nią Wilhelm. Dała znak Wandzi, ukrytej po drugiej stronie kurtyny i klasnęła w ręce. Wilhelm podał jej otworzoną książkę, ale nie chciała — i tak umiała wszystkie role na pamięć.

— „Zakończona już praca, moja Balladyno“ — zaczęła mówić dym, jasnym głosem zgięta ze starości Krysia — Wdowa. Halina powstrzymując oddech, słuchała uważnie. Mada — Alina, najstarsza dzieć przed chwilą nieprzytomna ze strachu, stała teraz swobodnie, ale Kazia była biała i nieswoja. Zasypie się — pomyślała z strachem. W tej chwili kolej odezwania się przypadła na Balladyno.

— „Gdzieś ty mój grzebień podziała, Alino?

Co ty tam słuchasz, jak się matce marzy!“

Halina zadrżała z radości, tyle opryskliwości i pogardy brzmiało w głosie Kazi. Kto ją nauczył takiej ekspresji? Przecież nie ona swemi kilkoma wskazówkami! Poprawna, wyuczona gra Aliny i Wdowy zdawała się teraz błądą i bez wyrazu przy każdym odezwaniu się, ruchu Kazi. Z radością podniosła oczy na jedynego świadka jej triumfu — Wilhelm uśmiechnął się do niej z tą samą radością. Nagle poczuła wdzięczność dla niego. W tej chwili wszedł Kirkor w srebrzystej zbroi i wielkim hełmie. Halina cisnęła rękę na poręcz swego fotela. Nie wiedziała, że siedzący obok niej Wilhelm patrzył z pod oka na tę rękę.

— Gdybym ją teraz wziął za rękę — dumiał, odległy myślał od przedstawienia — nie wyrwałaby jej, możeby nawet spojrzęła i znów się uśmiechnęła, ale to byłoby tylko z powodu zgorączkowania przedstawieniem. A potem — potem by mi to znów zapamiętała... Ach, ty dumne, ty uparte, ty koniecznie niezależne stworzenie...

Fragmencik się skończył. Za ledwie zasunięto kurtynę, dziewczęta zgorączkowane opadły Halinę.

— No i co? Proszę pani, jak było?

Halina śmiała się i płakała prawie z wypiekami na twarzy.

— Dobrze! bardzo dobrze! Ach, Kaziu, grałaś znakomicie!

Ale już chór wchodził znów na scenę i dziewczynki pobiegły się przebrać. Halina i Wilhelm zostali w swem ukryciu, bo zaraz po chórze trzeba było dopilnować uporządkowania sceny. Gdy kurtyna znów się rozchyliła i chór zagrzemiał, Halina szepnęła:

— Wie pan, nie myślałam, że tak pójdzie.

— Kolossal... Ta mała ma rzeczywiście talent sceniczny.

— A żeby pan wiedział, jaką miała tremę — jeszcze dziś ra-  
— i powtórzyła mu słowa Kazi: bała się przedstawienia —  
— i pokłoniła się samej. Pokiwał głową.

— Taki lęk się zdarza czasami — ona czuje, że spotkała  
— swoje przeznaczenie, przed którym nie ucieknie.

— Och, no nie! — zaprzeczyła gwałtownie i zaraz dodała  
— najspokojniej: — Ma pan skłonności do metafizyki.

— Ha, no cóż? Wszyscy Niemcy są skłonni do metafizyki —  
— zastanowił go nagły, nieświadomy wyraz chłodu i niechęci na jej  
— twarzy. — Ale z tym lękiem, to prawda.

Po chórze nastąpiła przerwa w przedstawieniu i Halina wy-  
— szła na salę, aby przywitać niektórych znajomych. Pani Baiseno-  
— wa przy stoliku z programami rozmawiała uprzejmie z panią Stą-  
— gowską. Państwo Borkowscy, podnieceni sukcesem Ludki uśmie-  
— chali się radośnie. Zaczęła się ku nim przeciskać między dwoma  
— rzędami krzesel, ale po drodze trafiła niespodzianie na miejsca  
— zajęte przez swych kolegów - nauczycieli.

— Nareszcie pani zawitała i do nas! — wykrzyknął Zurek,  
— chwytając ją za łokieć. — Zaraz niech mi tu pani siada! To miej-  
— sce mojej żony, ale jej chyba od godziny nie widziałem. Kolego  
— Barczyński, posuńcie się trochę.

— Doskonale się pani udało, panno Halino — rzekł Barczyń-  
— ski. Mimo napozór wesołego głosu, Halina po oczach poznała, że  
— był głęboko zraniony.

— Pan Baisen musiał dużo pomagać — rzekł trzeci z sie-  
— dzących, profesor Mętkowski, patrząc na Wilhelma, który stał pod  
— ścianą i wodząc roztargnionym wzrokiem po sali czekał na Halinę.

— O, tak — rzekła obojętnie. — Wszystkie dekoracje, to  
— jego robota. Muszę jeszcze iść do państwa Borkowskich. Panowie  
— zostają po przedstawieniu?

— Ja nie — rzekł Barczyński. — Jutro rano chcę jechać do  
— kuratorjum.

Popatrzała na niego. Niejasne, wbrew wszelkiej logice, po-  
— czucie winy kazało jej odwrócić oczy.

— Szkoda — rzekła niepewnie. „Cóż ja mogę zrobić? Nie  
— jestem nic winna — przekonywała się w duchu.

Przedostatnim numerem programu był fragment z „War-  
— szawianki“ — po nim miał tylko jeszcze raz zaśpiewać chór. Pa-  
— tetyczne, namiętne słowa Anny, jej uniesienie w odczuciu  
— wiersza przejęło Halinę, stojącą za sceną. Słuchała z plo-

nąciami oczami, zapominając — że to tylko przedstawienie szkolne.  
Gdy się skończyło, opadła na krzesło.

— Idźcie się przebrać dziewczynki — rzekła słabo. — Ja za raz przyjdę.

Jeszcze raz zgromadził się chór na scenie. Przy zaciągnięciu kurtynie pan Wieczorek na wysokim podjum poddawał ton. Wzrostem patrzył krytycznie na Halinę.

— Czy pani i na lekcji tak się przejemuje? — szepnęła, właśnie odsłonięto kurtynę.

Podniosła na niego oczy w których opadało błyszczące unisono sienie. Zaczekała chwilę, aż chór zabrzmiał unisono.

— Czasem nie mogę sama czytać — rzekła, śmiejąc się drżącym głosem. — Och! jakaż teraz jestem znużona! A'e głupstwo wszystko, grunt, że się udało. Pójdę teraz do dziewczynki.

Dziewczynki nawpół rozebrane nie spieszyły się z ubieraniem; pełne jeszcze gorączki scenicznej, roztrząsały każdy szczegół swego występu. Wejście nauczycielki było oliwą, dołaną ognia, okazją do rozstrzygnięcia przed jej autorytetem sprzecznych zdań. Panna Zaborska opadała w głęboki fotel.

— Ubierzcie się, jednak dziewczynki, czy nie chcecie potać się trochę?

Ubierały się i powoli zaczęło ich ubywać. Hali nie chciało się stąd ruszyć: fotel był tak wygodny! Wreszcie została sama. Obeszła się: nie, na oknie, tam, gdzie rano płakała Kazia, siedziała cicho Elza.

— Pani jest zmęczona — rzekła nieśmiało, widząc się odkrytą.

— Trochę. Czemu nie idziesz zabawić się, Elzo?

— Nie lubię tańczyć — rzekła, wydymając usta. — Chciałabym trochę po iedzieć, jak pani...

— Widzisz Elzo miałaś być moim adjutantem — rzekła z żartobliwym wyrzutem. — Gdzieżeś była przez cały czas, z moją musią?

— Nie. To pani Zurkowa kazała mi pilnować gaszenia światel i powiedziała, że pani da sobie radę bezemnie — odparła żałośnie.

— Chodźno tu do mnie, Elzo. Cieszę się bardzo, że pojechałaś pani Zurkowej. Przydałaby mi się, oczywiście; ale tam byłaś pewno bardziej potrzebna.

— Ale ja wolałabym być przy pani — zaryzykowała nie-  
śmiało, patrząc na pannę Zaborską z pod rzęs.

— Siadźno tu na poręczy. Elzo. Jesteś mądra panienska,  
pomyśl, czy jak dorosisz, zawsze dostaniesz taką czyn-  
ność, jakąbyś wołała? Cobyś wybrała, takie miejsce, które ci się  
bardziej podoba, czy takie, na którym będziesz bardziej potrzebna?

Elza zamyśliła się nadąsana.

— Wszystko jedno, takiej zależności, jak w szkole, nigdzie  
nie będzie. Wciąż słuchać i słuchać...

Halina objęła ją w pól.

— A zgadnij też, Elzo, jakiej najważniejszej rzeczy nau-  
czy się w szkole? Matematyki? literatury? francuskiego? Nie,  
nie uczysz się czegoś o wiele trudniejszego, a o wiele, wiele po-  
ważniejszego, takiej cnoty, bez której będziemy stadem dzia-  
wiosów, a z którą nikt nas nie zmoże. Wiesz, co to za cnota? Kar-  
ność. Pani dyrektorowa mieszkała jakiś czas w Anglii. Poproś-  
 ją kiedy, żeby wam o niej opowiedziała. Tam właśnie... tam  
nie postępuje według swego „widzi mi się“, nikt nie mówi  
nie chcę mi się“, tak każdy jest nauczony robić tak, jak jest  
dobry dla całości. Ten jest dopiero kulturalny naród, który po-  
wstaje na cnotę karności.

Elza milczała zamyślona.

— Kiedy to tak trudno...

— Bardzo trudno. A może tylko trudne rzeczy są coś warte?

— Jak pani mówi, to chociaż wiem, że pani mówi nie dla  
słuchaczy, tylko, że pani tak właśnie myśli — rzekła Elza zamy-  
ślona. — Chciałabym być taka, jak pani.

Halina roześmiała się.

— No, a teraz jak myślisz, pójdziemy chyba na salę, co?  
Wyszysz? nauczycielka już gra.

Sala teatralna była zmieniona nie do poznania. Krzesła  
i ławy ustawiono wzdłuż ścian, ze sceny grało trio zamówionych  
muzykantów, na środku sali tańczyło niewiele jeszcze par mło-  
dzieży szkolnej. Zaledwie Halina się ukazała, podbiegła do niej  
panna Gradzińska.

— Proszę pani, pani przełożona prosi panią do bufetu.

W dużej sali, zwykle gimnastycznej, przy jednym bardzo  
długim stole siedziało zebrane towarzystwo: nauczycielstwo  
przełożoną i ci z pośród rodziców, którzy pomagali przy urzą-  
dzeniu uroczystości

— Ooo! Nareszcie!

— Co pani tam robiła tak długo?

— Siadać! siadać, o tu!

Pociągnięta za rękę Halina siadła między przełożoną a Zuzanną. Z miejsca naprzeciwko uśmiechnęła się do niej pani Bertę siedząca między mężem a szwagrem.

— No, panno Halino, gratulacje — rzekła przełożona. Poszło doskonale. „Balladyna“ była świetna.

— To nie moja zasługa. Wszyscy państwo przyczynili się do powodzenia. Chciałabym wszystkim podziękować: i państwu Borkowskim i pani Moroniowej i pani Markowskiej i panu Grabińskiemu i pani Baisen. A bez pana Baisena wogóle nicby się nie udało. Do wszystkiego przyłożył rękę.

Wilhelm spuścił oczy na obrus. Wcale nie był zachwycony tą ciepłą pochwałą. Ale inni podnieśli ożywione głosy. I tu, między uczennicami, twórcy widowiska rozpatrywali minioną noc efekty, dyskretnie podkreślając swoje zasługi. Halina rozmawiała przez stół z panią Bertą. W pewnej chwili ta objrzała się niespokojnie na salę.

— A Elza może tańczy. Spoci się, a potem zje lodów albo wyjdzie na korytarz.

— Więc czemuż jej nie pilnujesz? — mruknął mąż.

— Idę na salę.

— Chodźmy wszyscy — zaproponowała Halina. Wstała jednak zaledwie parę osób, w tem i Wilhelm. Wyszli na salę tańczącą i usiedli rzędem wzdłuż ściany. Muzyka grała walc i w szmerze tylu tańczących nóg ginęły głosy rozmowy.

— Dziękuję pani za reklamę, tam, w bufecie — rzekł do niej Wilhelm, nie patrząc.

— Nie sądziłam, że pana obrazę — odparła zakłopotana. — Chciałam panu naprawdę podziękować za pomoc...

— Nic szczególnego nie zrobiłem, i to pani wie. Konwencjonalne podziękowania...

— Więc pan sądzi, że to są konwencjonalne podziękowania? — przerwała dotknięta. — Konwencjonalnych podziękowań nie uznaję. I wie pan sam dobrze, jak bardzo mi pan pomógł — radami, a głównie tem, że pana to przedstawienie tak prawie obchodziło jak mnie...

— I dlatego mnie tak pani — z wdzięczności — wyzywa pan nazwiskiem? — rzekł, spojrzawszy jej prosto w oczy. — Ja wiem

Je się nazywam Baisen, nie potrzebuje mi pani tego wciąż przy-  
dominać. Mnie jest Wilhelm na imię.

Umilkła zmieszana i zaskoczona.

— Czy to rzeczywiście niemożliwe, panno Halino, żeby mi  
pani mówiła po imieniu? — rzekł po chwili milczenia innym już  
tonem. — Znamy się od tak dawna...

— Od tak dawna? — zdziwiła się, jeszcze zmieszana.

— Od wieków — zapewnił stanowczo. — Przynajmniej ja  
mianą. Panno Halino, nie chcę słuchać dalej, jak mnie pani tak  
oficjalnie tytułuje. Przecież sama pani widzi, że.. Niech mi pani  
mówi po imieniu. To będzie dla mnie jedyny dowód, że istotnie  
coś się przydałem i że pani podziękowania były szczere.

Nie odpowiadała mu i przez jakiś czas patrzyli w milczeniu  
na tańczące pary. Powoli ochłonęła. Sala pełna już była tańczą-  
ją młodzieży w mundurkach: chłopców z gimnazjum imienia  
i dziewcząt — gospodyń. Blisko Haliny przesunęła się w ja-  
kimś sennym tańcu w objęciach wysokiego chłopca Mada Beke-  
łówna z płonącą twarzą i przymkniętymi oczami.

— To z powodu jego obecności Mada była dziś taka nie-  
przygotowana przed przedstawieniem — zrozumiała jasno Halina.  
Pierwszy raz spojrzała uważnie na salę. Wysoka, dystygowa  
Ludka Borkowska słuchała z rozmarzoną twarzą słów swego  
cerza. Hela Moroniówna, małe, czarne, słodkie stworzenie,  
ten sam nieprzygotowany wyraz twarzy, co i Mada. Nieznana z  
nie strona dusz jej uczennic odsłoniła się nagle przed Hal-  
zeszyty, zadania, szkoła — przecież to nie było wszystko.  
niała jeszcze ta druga strona, o której szkoła nie mogła wiedzieć  
wiele: prywatne wieczorki po domach, rendez-vous w kościele  
w parku, naiwne uczucia, pocałunki, zawody, lzy... A zaczyna  
się od takiego szkolnego wieczorku: upajająca muzyka, atmo-  
sfera balu, obecność zabranianych zwykle sztubaków... Lecz czy  
nie gorzej zabronić wieczorków, obostrzyć jeszcze przepisy? Cóż  
może spętać siłę, która pcha te młode dziewczyny do miłości?  
Jakie stanowisko ma zająć szkoła?

— A oto ktoś, kto, ile razy go widzę, pożera panią wzro-  
kiem — rzekł ironicznie i mało grzecznie Wilhelm.

Był to rzeczywiście Barczyński, który przyszedł się poże-  
gnąć. Halina przedstawiła sobie obu panów. Barczyński uważnie  
spojrzał na Wilhelma swymi ciemnymi, krótkowzrocznymi oczami,  
lecz ten, wyniośle obojętny, odszedł po chwili pod jakimś pretek-

stem. Po pożegnaniu się z Barczyńskim Halina uciekła znów  
pokoiku za sceną. Zbyt wiele myśli, zbyt wiele wrażeń na jej  
dobę. Lecz nie siedziała tam nawet kwadransa, bo zaraz odszła  
ją uczennice, przysłane przez przełożoną.

Przełożona znów z całym towarzystwem siedziała w bufie

— Są lody, panno Halino! Nie chcieliśmy pani skrzywdzić  
a trzeba je zaraz jeść, bo zabraknie.

Lody były pomysłem panny Biebrzykówny, niezbyt szczę-  
wym, bo połowie towarzystwa zrobiło się po nich zimno. Halina  
obejrzała się za swym ciepłym szalem, w którym była za sceną  
i naraz przypomniała sobie, że ten szal ostatnio piastował  
helm. Spojrzała na niego pytająco przez stół. Widać było,  
wiedział doskonale, czego szuka, ale nawet nie drgnął, patrzył  
na nią z malutkim, prowokacyjnie - wyczekującym uśmieśkiem.  
Ten widok rozgniewał pannę Halinę.

— Panie Wilhelmie — rzekła głośno i obojętnie — czy  
wie pan, gdzie jest mój szal?

wrócił  
je po  
podłog  
było p  
ności  
wróci  
w do  
minie  
stwa.  
oficja  
klasis  
dnien  
przyj  
gubio  
tężeń  
wyda  
rzeki  
miar  
nieza  
zran  
nien  
koła  
Ped  
wizy

## XII

W parę dni potem rozpoczęło się drugie półrocze i szkoła wróciła do normalnych zajęć. Przygasło zwolna podniecenie, lekcje potoczyły się swoją koleją i tylko igliwie, osypujące się na podłogę sali teatralnej z pozostawionych na ścianach wieńców, było pamiątką dnia pełnego wrażeń.

Panna Zaborska z westchnieniem ulgi wróciła do powszedniości. Po dniach wyczerpujących i gorączkowych miło było powrócić do spokojnej, codziennej pracy na lekcjach i u siebie w domu. Trzeba było przytem myśleć już o zbliżającym się terminie egzaminów maturalnych, tej zmurze uczniów i nauczycielstwa. Powróciła praca w kółkach literackich, zarówno w napół oficjalnem kółku klasy ósmej, jak i u entuzjastycznych siódmo-klasistek. Ale to nie wydawało się być wszystkim. Nad całym dniem unosiło się jakieś niedające się uchwycić wrażenie, ni to przyjemne, ni to przykre, jakby podświadoma pamięć o czemś zagubionem. Mogło to przypominać oddalony, o jednostajnem natężeniu, wysoki ton skrzypiec, tak ciągle trwający, że chwilami wydawało się, iż go się nie słyszy.

— Powinam pójść na plebanję; zaniedbuję pastorową — rzekła sobie wreszcie i zaraz tego popołudnia spełniła swój zamiar. Spędziła z pastorową cały wieczór na pogawędce niczem niezakłóconej, bo nawet pastor był nieobecny. Ale na drugi dzień zrana odczuwało się znów to samo w niczem nieprzeszkadzające, nienatarczywe, oddalone uczucie, jakby próżni materjalnej dokoła niej. Któregoś wieczoru podniosła głowę z nad „Przeglądu Pedagogicznego“ i uderzyła się w czoło: przyrzekła przecież wizytę pani Baisenowej.



— Widzisz, Halinko, jakaś ty uczciwa — pochlebiała sobie — to ci tak nie daje spokoju.

Mimo jednak tych pochwał, zwlekała ze złożeniem wizyty jeszcze parę dni, aż wreszcie pewnego ranka spostrzegła, że wizyty pani Berty minęło już dwa tygodnie. Wychodząc tego dnia ze szkoły, spotkała na korytarzu Elzę.

— Elzo, nie wiesz, czy mamusia będzie dziś popołudniu w domu?

— Mamusia prawie zawsze jest w domu, proszę pani — odrzekła dziewczyna. — Stryj tylko jedzie dziś do Fridrichsdorfu.

— Powiedz mamusi, że dziś wybieram się do niej — rzekła z zadowoleniem Halina.

Elza zczerwieniała nagle.

— Dobrze, proszę pani — szepnęła i naraz pierzchła. Musiała ukryć się ze swą radością.

Dom, a raczej willa Baisenów stała na drugim końcu miasta, obok zabudowań fabrycznych. Willa miała swoje własne podwórze, wzdłuż którego rosły jakieś rozłożyste drzewa. W głębi podwórza ukazywał się jasny fronton domu z podsieniem i dużym tarasem na pierwszym piętrze. Halina nagle nieśmielonię okrzykiem powoli duży klomb na środku podwórza i zadzwoniła do drzwi. Lokaj, który jej otworzył i pomógł jej w przedpokoju zdjąć okrycie, wprowadził do hallu wysłanego dywanem, z którego rego dębowe schody biegiły dwoma szlakami na pierwsze piętro. Lokaj nie poprowadził jej jednak na górę, lecz ukazał drogę do małego saloniku na parterze. Za ledwie odszedł i zanim jeszcze Halina oszołomiona tą niespodziewaną wspaniałością zdążyła usiąść, rozległ się szybki bieg przez hall. Za uniesioną portjerą ukazała się zarumieniona Elza.

— Pani przyszła naprawdę — szepnęła. Ponieważ Halina wyciągnęła do niej rękę, Elza podeszła bliżej, ale narazie impulsywnie zarzuciła swej nauczycielce rękę na szyję.

— Panna Halina! Panna Halina!

Szczerze wzruszona Hala ucałowała ją serdecznie. Lecz zaraz nadeszła z głębi domu pani Baisenowa.

— Nareszcie panią widzę! A już zwątpiłam, że pani przyjdzie! — wyciągnęła do niej obie ręce. Usiadły na kanapce; Elza kręciła się po pokoju, nie mogąc znaleźć sobie miejsca i wreszcie stanęła zdala, oparta o kominiek, wpatrzona w pannę Zaborską. Rozmowa zaczęła się oczywiście od najbliższego w przeszłości

Wypadku: przedstawienia, potem przebiegła na zajęcia Haliny, ostatnich dniach.

— Ma pani taki miły, spokojny pokój. Musi być przyjemnie śiąść sobie w nim wieczorem, przy lampie, sama, z książką.

— Owszem, ale niezawsze. Lubię ludzi koło siebie.

— No, łatwiej chyba mieć ludzi koło siebie, kiedy się ich pragnie, niż uciec od nich — więc może ich pani nie brakować. Elzo, odejdz od kominka, tam za ciepło.

Dziewczynka poblądziła znów po pokoju, wreszcie usiadła na małym stołeczku u stóp matki, podnosząc ku niej z czułością wzrok.

— Biedna mamó, ja ci chyba najwięcej głowę zawracam; tak lubię siedzieć u ciebie! Ale ja ci przecież nie przeszkadzam! Halina z uśmiechem patrzyła na dziewczynkę.

— Wcale nie jest do pani podobna. I nie wygląda pani na taką dużą córkę.

Ręka pani Berty zablądziła mimowoli na ramię Elzy, obejmując ją w pól.

— Nie wyglądam? — uśmiechnęła się. — Chyba tylko dlatego, że niepodobna do mnie. Elza jest podobna do mego męża — zauważyła pani? — a może więcej jeszcze do Wilhelma. Elzo, cóż to za czułość? — zgromiła ją żartobliwie, bo Elza zaczęła obcałowywać jej rękę.

— Nic. Daj mi tę rękę, mamó! Widzisz, jaka ty jesteś! Mamusia nie lubi wcale, gdy ją całuję — wie pani!

— Idź do ojca.

— A tak, idź do ojca! A ojciec będzie przez ten czas czytał gazetę i mówił „Daj mi spokój, Elzo“. Żebyś chociaż powiedziała „Idź do stryja“! Hallo, stryju! — zerwała się nagle ze stołeczka i wybiegła za drzwi. — Tu, tu jesteśmy! I panna Halina już jest!

Wszedł Wilhelm, trochę jakby zmieszany, ale uśmiechnięty.

— Elza, szalone dziecko, puść, uspokój się, daj mi się przywitać! Widzi pani? to jest pani uczennica, poważna panna z siódmej klasy!

— Przypomina zupełnie swego stryjka — rzekła rozweleloną pani Berta. — Żeby nie pani obecność, napewno zaczęłaby się ścigać przez wszystkie pokoje. Elza! Siądź wreszcie, albo zadzwoni na herbatę.

Elza wybiegła jak wichur, a Wilhelm siadł na fotelu.

— Żartujesz! Ja mam być taki warjat, jak Elza? Elza ma

Chociaż szesnaście lat (sądząc z zachowania, to coprawda nie więcej niż trzynaście) — ale ja?

— O, ba! I warjat jak Elza, i podlegający fantazjom ja Elza, i...

— Podlegający fantazjom, ja! Poważny, stateczny pan i fantazje!

— Może nie? „To zrobię tak; nie, to zrobię inaczej“. „Tę pojadę; to nie, nie pojadę“...

— Ach, więc to o to — rzekł Wilhelm i urwał nagle, popatrzywszy z beztroskim, swobodnym uśmiechem na bratową:—O Berta, jesteś za sprytna...

Elza na herbatę sprowadziła ojca. Nareszcie miała wszystkich swoich ukochanych przy sobie. Jej podniecenie opadło. Siedziała teraz cichutko, przytulona do ramienia Wilhelma. Starszy Baisen niskim, jakby ochryplym głosem zaczął rozmawiać z Haliną o zakładaniu czytelnicy miejskiej w Strzałkowie, a ilekroć się odzywał, jego ciężkie, posępne spojrzenie spoczywało nieruchomo na Halinie. Berta, zajęta herbatą, nie odzywała się. Wilhelm, przytulwszy do siebie Elzę, siedział milcząco. Halina spojrzała na niego dwa razy. Było coś irytującego w jego twarzy, w lekko zmrużonych, zamyślonych oczach, w dziwnym półuśmiechu ust. Przecież lepiej już było, aby rozmawiał.

— Panie Wilhelmie, to coś dla pana. Będzie pan mógł uzupełniać swoje braki w znajomości literatury polskiej, na co pan tak biadał.

— Owszem, jeśli pani będzie mi mówiła, co czytać — obudzi się ze swego zamyślenia.

— To nawet Elza potrafi. Elzo, składam na ciebie ten obowiązek.

Henryk Baisen z nagłym zainteresowaniem przyjrzał się bratu — i odkrył w tej znanej sobie twarzy coś całkiem nowego.

— To jednak źle, żeś nie był we Friedrichsdorfie dzisiaj, Willy — rzekła pani Berta, podając mu herbatę. — Zwlecze się, a potem będzie zapóźno i obrażą się.

— Nie obrażą się — odrzekł lekko. — Zresztą, właściwie powinnaś jechać ty sama: to twoja uroczystość, ty zapraszaj.

— Niech pani zarezerwuje sobie wieczór osiemnastego lutego dla nas, panno Halino — rzekła Berta. — Ja zresztą będę jeszcze przedtem u pani. To moje urodziny.

Wieczorem odprowadził ją do domu Wilhelm i nie było na to jej rady.

— A więc pozna pani u nas Willenbrocków — rzekł, zaledwie szli za bramę. — A może pani ich zna?

— Ze słyszenia — rzekła i zawahała się. Usłyszał to waha- w głosie.

— Ciekaw jestem, co pani słyszała — rzekł po chwili, przy- kładając jej rękę do siebie, bo mijali bardziej śliskie miejsce. Ta- kawałość rozgniewała ją.

— Nie pamiętam — rzekła oschle.

— Pytam dlatego, bo o nich krążą różne bajki. Raz mówią, Willenbrock sprzedaje majątek, albo że przystępuje do naszej Siebryki; to znów ktoś puścił pogłoskę, że jestem zaręczony z Em- Willenbrock, co już mnie rozgniewało. Chyba ja wiem najle- Hanej, czy jestem zaręczony, czy nie. Jeszcze dotąd żadnej kobiecie ć się powiedziałem, że ją chcę za żonę.

Niespodziewany skutek tej rozmowy nastąpił w parę dni potem. Wyszedszy o godzinie pierwszej ze szkoły, Halina tuż przed furtką minęła jakąś wolno idącą, elegancką, wysoką pannę, która zmierzyła ją dokładnie chłodnymi, szaroniebieskimi oczami. Halinę coś tknęło. Obejrzała się za nią — i zobaczyła, że i tamta ogląda się za nią ukradkiem. W tej chwili, wychodzący ze szkoły profesor Laher, germanista, uklonił się uprzejmie nieznamomej. Halina zaczęła na niego — szli w jedną stronę. Po kilku słowach pytała, kto to był.

— To panna Emma von Willenbrock — rzekł profesor. — Ciekawym, co ona tu robi przed naszą szkołą?

### XIII.

Pani Zurkowa siedziała na otomanie w mieszkaniu pantoflarzy Zaborskiej. Nie była to sztywna wizyta: Halina podwinęła nogi pod siebie, jej gość nawpół siedział, nawpół leżał, postawiwszy obok siebie spodeczek z konfiturą.

— Och! — westchnęła ciężko. — Nie ma pani pojęcia, co to za rozkosz móc się tak rozłożyć i wiedzieć, że nikt mnie w chwili nie odwoła do liczenia bielizny przed praniem, że nie przybiegną tu dzieci, nie zaczną hałasować. Och! spokój! spokój!

Pani Zurkowa tak rzadko mówiła o swych kłopotach domowych, że Halina zdziwiła się trochę.

— Jak się mają dzieci? Co porabia Terenia, moja ulubienica?

— Dzieci? dobrze. Kiedy wychodziłam bawiły się w kącie i biegały naokoło stołu w jadalni. Zostawiłam je ze Stachem. Tak kocha dzieci, taki był nieszczęśliwy, kiedy ich nie było, że niechciał ich teraz trochę popilnuje. Niani też należy się jakiś wypoczynek.

— Podziwiam panią, pani Marjo, jak pani może dać sobie radę ze szkołą i z domem.

Zurkowa wzruszyła ramionami.

— Niema co podziwiać. W domu dwie służące i często pajączyna po kątach. W szkole? — wzruszyła znów ramionami. — Kiedy przyjdziemy do domu, Stach przygotowuje sobie lekcje na drugi dzień, a ja biorę się do gospodarstwa. To się niby zdaje, że Wikcia zajmuje się domem, a niania dziećmi — ale czy pani sobie wyobraża, ile to się spraw nagromadza nam przyjdę do domu? Wszystkie sporne sprawy, wszystkie decyzje, zakupy, rachunki domowe. No, i musi być przecież ktoś, kto dojrzy wyko-

Stach chce mi pomagać, ale co on może zrobić? Kiedyś, przy praniu, Wikta wygotowała mój śliczny haftowany w kwiaty obrus podwieczorkowy. Oczywiście, wszystkie kolory puściły i zarbowiała mi pół kotta bielizny. A potem, w szkole, człowiek do racy, bez której nie wyobrażał sobie życia, odnosi się jak do ańszczyzny. Kiedy ja mam czas co przeczytać? obmyślić co po-  
zadnie?

— To jednak prawdziwe szczęście — rzekła Halina, — że państwo znaleźli taką nianię, z którą można dzieci zostawić bez obawy.

Zurkowa pokiwała głową.

— To też się tak zdaje. Ile razy w szkole ni z tego ni z owe-  
g robi mi się zimno na myśl, że w domu coś się stało. Że może  
no... rek... że może Terenia... Pani sobie nawet nie wyobraża, jak  
iws... się w takich warunkach prowadzi lekcję. Jak wyglądają zajęcia  
szkolne... I jak wyglądają moje dawne plany i mój dawny zapal...  
ia, ale ja miałam projektów... Ma pani co podziwiać, panno Halino —  
w te... zakończyła z bolesną ironją.

Halina zamyśliła się i wpatrzyła w jeden punkt podłogi.

— Dzieci... Zawsze ma pani jedno wyjście — rzekła, nie pod-  
zając oczu.

Zurkowa zachnęła się. Ale odezwała się dopiero po chwili.

— A pani... zrobiłaby to na mojem miejscu?

— Nigdy! — zawołała i zaraz zawstydzila się swego wybu-

kon... chu. — Raczej nie wyszłabym zamaż. — To brzmiało jeszcze  
Ta... gorzej.

Zurkowa popatrzała na nią ze smutno - ironicznym uśmie-  
chem i pokiwała g'ową.

— To się zgadza — rzekła. — Ja też tak mówiłam. Potem  
— zadowoliliam się tylko tem, że Stach mi przyrzeki, że nigdy nie  
wspomni nawet o rzuceniu pracy przezemnie. Niech pani nie za-  
pomni o wzięciu takiej obietnicy, wychodząc zamaż — zakończyła,  
śmiejąc się gorzko. Pochyliła głowę na piersi i palcem zaczęła  
obrysowywać wzór obicia na otomanie. Wkrótce jednak podnio-  
sła głowę.

— Ale my nie mamy już widocznie innego tematu do roz-  
mowy — rzekła ze zwykłą żywością. — Panno Halino, d'aczego  
pami pozwoliła mi tyle gadać? Wszystko to głupstwo; jakoś się  
przecież żyje. Aby tylko dzieci podrosły... Choć, co się tyczy dzie-  
ci, nie wiem, czy kłopot się kiedy kończy... Widziałam dziś znów

te pani uczennicę w parku z jakimś chłopcem. Te, co to gro-  
Alinę; rudawa blondynka, puszyste włosy...

Halina stanęła na środku pokoju.

— Bekerówna? — odwróciła się i odeszła do kreden-  
Przestawiła tam machinalnie parę filiżanek i odwróciła się  
Zurkowej.

— Ja też ją widziałam dwa razy — rzekła. — Za każde  
razem po godzinie siódmej wieczór.

— Trzeba było wezwać ją do siebie.

Wzruszyła ramionami.

— Rozmawiałam z nią. Czy pani sądzi, że w takim wypad-  
pomoże kilka moralów ze strony nauczycielki? Jedno tylko moż-  
być wzięte pod uwagę przez uczennicę; obawa przed złym s-  
pniem. Pod wpływem tej obawy będzie się starała ukryć się  
piej niż dotąd.

— No, nie; jednak mimo wszystko to często wpływa  
przerwanie niepotrzebnych flirtów.

— Tylko w wypadku jeśli mała nie wmówi w siebie, że je-  
zakochana; a wtedy żadne obawy nie wpłyną na zerwanie. O, pa-  
Marjo, to są chyba najbardziej zawile i najcięższe sprawy, jakie  
jakie napotykaemy w szkole. Taka Mada czy inne, mają po sze-  
snaście czy siedemnaście lat; nasze babki w ich wieku już w-  
chodziły zamąż. Ich wnuczkom w tym samym wieku zabran-  
się obcowania z młodymi ludźmi. Czyż tak bardzo się zmieni-  
natura kobieca? Czy mogą mieć znaczenie podobne zakazy? J-  
wiem, co pani powie; warunki życia się zmieniły; jałowa, próż-  
strata energii na te uczniowskie miłostki; zaniedbanie obowią-  
zków szkolnych; i — czasem — za dalekie porzucenie flintu, B-  
miące nieraz całe życie. Ale natura jest naturą. Czy powstrzy-  
mamy nasze uczennice drogą prostego zakazu, śledzeń i kar?

Pani Zurkowa oparła się wygodniej i wyciągnęła rękę p-  
serwetkę.

— Nikt też nie mówi, że tylko represje pomogą — rzekła. —  
Trzeba umieć wychować te małe w odpowiedni sposób. Niech wie-  
dzą od małego, co, kiedy i od czego ważniejsze. Niech wrośnię-  
w nie mocny trzon rozumu, rozsądnego spojrzenia na tę rzecz,  
zanim nadejdą uczucia. Tego my jednak nie zrobimy sami, to  
musi i dom współpracować.

— Ten trzon rozsądku, jak pani powiedziała, dobry może

yc dla natur spokojniejszych, umysłów refleksyjnych, ale co pani  
robi z dziewczynami z temperamentem?

W najgorętsze miejsce dysputy wpadł dźwięk dzwonka  
się w przedpokoju.

— Do mnie? — poderwała się Halina. — Któż to mo-  
każde być?

— Może pan Barczyński?

— Pan Barczyński nie był od świąt — wyjaśniła szczerze. —  
Może to która z dziewczynek.

— Pani w domu? — zabrzmiał w przedpokoju niski głos  
o moz obcym akcentem, na dźwięk którego pani Żurkowa ze zdumie-  
m saniem spojrzała na Halinę.

— Pan Baisen bywa u pani?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Wilhelm już wszedł do pokoju.

— Wiedziałem, że panią dziś zastanę! — wykrzyknął  
z triumfem. — A może panie omawiają jakie urzędowe sprawy? —  
zapytał, witając się z Żurkową.

— Urzędowe? Broń Boże, tak sobie rozmawiamy o różnych  
szkolnych kwestjach — i dla ośrody objadamy się konfiturami,  
o s jak pan widzi.

— Napije się pan herbaty, panie Wilhelmie? — spytała  
uprzejmie Halina, nie patrząc na przybysza.

— Jeśli pani tak dobra — z chęcią...

— Berta pojechała do Friedrichsdorfu — objaśnił, siadając.

— Chciałem się dowiedzieć, czy pani będzie jutro w domu, Berta  
obce koniecznie panią zastać.

Nie wrócono oczywiście do przerwane go tematu. Zaczęto  
mówić o wyjątkowo mroźnej zimie, o zapowiedzi przybycia teatru  
z Torunia na gościnne występy, o urodzinach Berty. Żurkowa  
skrycie obserwowwała Wilhelma. Ale to było napróżno. Jak zawsze,  
był miły, wesół, opowiadający żywo i dowcipnie — czarujący czło-  
wiek, jak mówiła pani Lorencowa. Jego błękitne oczy zwracały  
się naprzemian to ku jednej, to ku drugiej z pań. Raz tylko, gdy  
Halina i pani Żurkowa wdały się w przydługą dysertację na te-  
mat wyższości komedji nad dramatem, Wilhelm zamilkł. Niedba-  
łym ruchem obejrzał się ku oparciu swego krzesła i ściągnął z nie-  
go biały, wełniany szal Haliny. Zaczął się nim bawić, wygładza-  
jąc go, to znów fałdując.

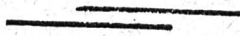


— Jakie to są perfumy, panno Halino?

— To mydło po praniu pachnie, nie perfumy — rzekła p  
spiesznie i odruchowo wyciągnęła rękę po szal.

Wieczorem Wilhelm odprowadził panią Żurkową do domu  
Był tak naturalnie miły, tak uprzejmy, że Żurkowa była nim ocz  
rowana.

— Co za sympatyczny człowiek — pomyślała. wchodząc d  
swego mieszkania. — No, za sprawę Barczyńskiego u Haliny ni  
dam i trzech groszy.



#### XIV.

Jeżeli Halina ostatecznie „uświeciła“ swą obecnością wieczór urodzinowy pani Berty, było to prawie całkowicie zasługą pastora. Na pierwsze bowiem jej napomknienia, że, właściwie, nie widzi powodu, aby tam iść, pastorka odrzekła z wielkiem zdziwieniem:

— A jakież byłby powód, aby tam nie iść? Bywacie u siebie z Bertą, lubicie się podobno; oni bardzo chcieliby cię mieć u siebie... Będzie trochę obcych, to i lepiej: rozszerzysz swoje znajomości. Z pewnością poznasz Emmę i Frydę Willenbrock, to są miłe dziewczęta...

W dzień uroczystości wstała Halina późno, zmęczona przez całą noc okropnymi snami. Widziała w nich siebie związaną i rzuconą na tor kolejowy, po którym pędził straszliwy, apokaliptyczny pociąg. W czasie pospiesznego jedzenia śniadania nakreśliła kilka słów na swym bilecie, przykazując Katarzynie odnieść go do willi Baisenów. Po powrocie ze szkoły zabrała się do przygotowywania lekcji na poniedziałek, w czem jednak walnie przeszkadzała jej Katarzyna, która tak długo chodziła około niej, uprzątając niewidoczne śmieci z podłogi, aż wreszcie wypowiedziała wszystko, czego się dowiedziała o przygotowaniach do „balu“. Była wyraźnie podniecona i dumna, że i jej panienka ma być na tak wspaniałej uroczystości. Halina słuchała jej słów nawpół rozweselona, nawpół zniecierpliwiona. Wreszcie na jej natarczywe zapytania kazała sobie odprasować czarną taftową suknię, w której była na balu szkolnym — i pozbywszy się w ten sposób Katarzyny, wróciła po obiedzie do lekcji. Po przygotowaniu ich, że to nazajutrz był termin zebrania kółka literackiego, wyjechała tom poezyj Wierzyńskiego, o którym jutro miała mówić Eda. Poprzez beztroskie, pijane

radością życia wiersze, przewijała się w jej umyśle podświadoma natrętna myśl, by jednak nie iść. Myśl ta stawała wciąż przed oczami coraz ponętniejsza, coraz możliwsza do wykonania. Wczesny zmrok zmusił ją do zapalenia światła, ale pomimo światła siedziała przez długie chwile nad każdą stronicą. Parę razy weszła chrzążąca Katarzyna i pokręciwszy się po pokoju, wychodziła niezbyt cicho; Halina nie zwracała na to żadnej uwagi. Wreszcie po jednym z takich wkroczeń stara służąca weszła w krąg światła i stanęła przy biurku.

— Co panienka będzie jadła na kolację? — spytała grobowo Halina obudzona z zamyślenia.

— Co? Na kolację? A któraż to godzina?

— Siódma dochodzi — odrzekła pośpiesznie.

— Co takiego? — i zerwała się od stolika. — Suknię, prędko

Spieszącemi się rękami wyrzucała z szafy pończochy, w rozpamiętywaniu gorączkowaniu rozplatała włosy. Wszelka myśl o niepójściu, gdy doszło do decyzji, znikła, stała się niebyłą, fantastycznie niemożliwą. Katarzyna, nieufna jeszcze w skutki tego pośpiechu (— „i co to iść gdzie tak późno!“) pomagała jej. Rezultat był taki, że w niecałą godzinę później Halina wchodziła na podwórcę w Baisenów. Po rześmiesie oświetlonych, wielkich oknach parteru przesuwały się jakieś postacie, pomimo podwójnych szyb słychać był wysoki głos skrzypiec i głuche dźwięki fortepianu. Przed wejściem stało kilka samochodów pozbawionych obsługi. Kontrast z cichym pokojem, gdzie na biurku w kręgu światła pozostał ton wierszy, był taki, że Halina raz jeszcze zawahała się.

— Po co ja tu?

I weszła. Poza służącym, który jej otworzył, pierwszą osobą jaką ujrzała w jasno oświetlonym hallu, był Wilhelm, oparty na wprost drzwi o balustradę schodów wiodących na piętro i palący papierosa. Na jej widok zdusił go nerwowo w popielnicze, odetchnął jakimś krótkim, urwanym westchnieniem i podszedł do niej.

— Nareszcie — rzekł cicho. Milcząc, pomógł jej zdjąć futro i boty i poprowadził przez znany jej już salonik w głąb mieszkania. Gdy weszli do dużego, prawie pozbawionego mebli salonu, zabrzmiał znów głos skrzypiec. Halina zatrzymała się w progu pod olśniewającym światłem lamp i spojrzeniem kilkudziesięciu par oczu. Około trzydziestu osób siedziało lub stało półwieńcem naokoło małej estrady, na której wysoki, tęgą pan o siwej czuprynie i bardzo wypukłych policzkach grał na skrzypcach; teraz uwaga wszy-

stkich, nawet grającego, zwróciła się ku przybyłym. Halina stała speszona; nie byłaby w stanie odróżnić ani jednej twarzy. Szczęściem, że uwaga wszystkich zwróciła się znów ku grającemu panu, który teraz z przymkniętymi oczami i wyrazem błogości na podnieconej twarzy wyciągał cienkie, przewlekle tony ze skrzypiec. Niemuzyczna Halina ochłonęła trochę i zdołała dojrzeć panią Bertę, która, spowita w lśniący, złocisty jedwab, przesyłała jej ze środka zebranych ciepły uśmiech. Gdy muzyk zakończył wreszcie swój utwór i podniósł się zmieszany gwar i hałas odsuwanych krzeseł, pani Berta podbiegła do Haliny. W przeciągu następnych kilku minut panna Zaborska otrzymała kilkadziesiąt uściśnień ręki i kilkadziesiąt spojrzeń; wszystkie twarze i toalety zlały się w jedno. Wreszcie dojrzała do jakiegoś wolnego krzesła.

— Cieszę się, że panią tu widzę — rzekła jej sąsiadka. Halina spojrzała jej w twarz i poznała panią Golonkową, matkę jednej z uczennic drugiej klasy. Odrazu poczuła się lepiej, choć p. Golonkową знаła bardzo mało; kilka banalnych zdań, zamienionych na temat zebrania, podniosło jej samopoczucie jeszcze lepiej. W tej chwili zjawił się Wilhelm, niosąc krzesło.

— Więc panie tu rozbiły obóz? Przyłączam się i ja do niego. Panno Halino, zna pani już wszystkich?

— W zasadzie tak; ale tak naprawdę nie rozpoznałabym nikogo.

Niech pani się rozgląda i pyta, ja będę objaśniał — szepnął cicho, bo akompaniująca starszemu panu chuda, czarna pani uderzyła znów w klawisze. Starszy pan rozpoczął jakiś gwałtowny utwór, pełen wymachiwań smyczka i szarpania palcami strun. Wszystkie te zabiegi, wywoławszy rozmodlony błogostan zebranych, miały dla Haliny znaczenie czysto wzrokowe.

— To jest profesor Angst z żoną, wielki przyjaciel Berty — szeptał Wilhelm urywanie. — Uczy w szkole muzycznej w Toruniu... Zawsze specjalnie przyjeżdża...

Regularny półwieciec zebranych rozbił się już na grupki po kilka osób. W miarę jak prowadziła po nich przytomniejszym wejściem, Wilhelm objaśniał ją, sprytnie wybierając urywane chwile, gdy połączone siły obojga grających napelniały salę większym zgiełkiem. Pani Golonkowa odsunęła się nieco, dyskretnie.

— Ten mały, lysy pan z brzuskiem, to pan Elstermann, przyjaciel Henryka; a ta pani o sztucznej złocistości włosów obok, to jego żona... Mają majątek pod Strzałkowem...

— ...To mój przyjaciel, Paweł von Walldorff... a ta panię w lila sukni, to siostra pani Golonkowej...

— ...To urzędnicy z biur od nas; ten wysoki, Łomnicki, świetnie tańczy...

Niedaleko nich siedziała obok pani Bertę starszą, tęga pani o żywych, jakby zawsze gniewnych, podpuchniętych czarnych oczach. Za nią siedziały na jednym krześle dwie panny, z których jedna, szatynka o krótkiej grzywie włosów i gorących, piwnych oczach chichotała cicho za plecami matki z przystojnym młodym człowiekiem, objawwszy w pół siostrę, gdy druga, dumna i obojętna, słuchała muzyki napozór bardzo uważnie.

— To pani Willenbrock z córkami; niech pani zgadnie... — albo już nie — urwał krótko. A ten pan obok mojego brata, to nasz dyrektor, pan Golonka; napewno rozmawiają o związkach azotu.

Po skończonym koncercie zjawiała się z głębi domu Elza w białej sukni i błękitnej kokardzie w ciemnych włosach i milcząco uradowana, przykleiła się odrazu do Haliny. Podszedł też i profesor Laher, kolega z gimnazjum; Wilhelm sprowadził swego przyjaciela, Walldorffa i utworzyła się odrębna grupka osób. Gwar wielu głosów, światło, dowcipna walka na słowa między panią Golonkową a słabo mówiącym po polsku Walldorffem, któremu pomagał jak mógł profesor, obecność przytulonej do niej Elzy, a może nawet kilka podchwyconych ukradkowych spojrzeń panny Willenbrock, wprawiły Halinę w stan podniecenia. Było jej lekko i wesoło, jak po kieliszku wina. Śmiała się wraz z innymi z rzekomo urażonych i chytrych min Walldorffa, z nibyto niewinnych, a ciętych odpowiedzi pani Golonkowej, z nieoczekiwanych skoków w rozmowie.

— Nareszcie odstawiła pani w kąć swą wyniosłą powagę — mruknął Wilhelm. — Och, jak to dobrze.

Zmieszła się.

— To ja jestem zawsze taka wyniosłe poważna? — spytała, choć wiedziała, że mówił prawdę i choć poczuła, jakby wyrzut sumienia z powodu swego mało poważnego zachowania się.

— Jeszcze jak. To ten pani zawód tak się odbija na pani: musi pani przecież być zawsze uprzejma, a pełna rezerwy, życzliwa, ale daleka, autorytet chodzący, wróg niewłaściwego zachowania. Czy dawno pani jest nauczycielką?

— Czwarty rok — rzekła cokolwiek urażona.

— A więc czwarty rok rozwija pani w sobie taką postawę? No, zapewne, musiała pani mieć wrodzone zacięcie pedagogiczne. Ale co pani zrobiła z drugą połową duszy?

— Z jaką drugą połową?

— No, z tą antypodalną. Nigdy nie miała pani ochoty popełniać jakichś szaleństw, postąpić zupełnie niewłaściwie, na przykład wybuchnąć ostrym gniewem, rozbić co ze złości, tańczyć do upadłego lub coś w tym rodzaju?

— Wybuchnąć ostrym gniewem! Taby się ładnie czasami odbiło na moich bliźnich! — rzekła szybko bez zastanowienia i zaraz zaczerwieniła się po uszy.

— To znaczy i na mnie! — roześmiał się. — Niech się pani nie krępuje! W początkach naszej znajomości te wybuchy oburzenia były dla mnie jedynymi radosnymi chwilkami. Przecież wolałem je, aniżeli lodowato - obojętne oblicze i wzrok przechodzący przezemnie, jakbym był szklany. O, brawo, znów oburzenie! Niechże pani choć raz wybuchnie! Panno Halino!

— Oho, my tu gadu — gadu, a tamci się już pokłócili! — wykrzyknął profesor. Panno Halino! panno Halino! — przedrzeźniał Wilhelma. — Nie trzeba było wywoływać sprawiedliwego gniewu panny Haliny. A teraz panna Halina jest zawzięta i przeprosić się nie da.

— Mam cały czas kolacji na przepraszanie — rzekł, wstając, jako że wszyscy goście się poruszyli. Bo tak już nieszczęśliwie dla pani wypadło, że mamy siedzieć razem.

— Nie gniewam się przecież wcale — rzekła chłodno.

— Tem niemniej siedzimy razem. Służę pani.

Przy stole z drugiej strony Wilhelma wypadło miejsce Emmie Willenbrock, zaś nawprost Haliny usiadła druga panna von Willenbrock wciąż w towarzystwie młodego, wesołego człowieka.

— Hallo, Willy! Wie geht's? — zagała rozmowę Emma.

Odpowiedział jej coś przydługo, wywołując śmiechy obu siostr. A więc mówili sobie po imieniu. Zresztą może się znali od dzieci... Nie chcąc dalej słuchać, Halina odwróciła głowę do Pawła Walldorffa, siedzącego z drugiej jej strony. Był miły i jakiś swój. Zaczął jej opowiadać, latając polszczyznę niemieckimi słowami o polowaniu, na jakim był niedawno po drugiej stronie granicy, u krewnych. Gdy minął poprzedni, żartobliwie wojowniczy nastrój, był spokojnie wesół, taktowny i równy w obejściu; nie trzeba było obawiać się żadnych niespodzianek, żadnych zasadzek z jego stro-

ny; wogóle niczego nie trzeba było się obawiać; typ dobrego, życzliwego kolegi. Dlaczegoż Wilhelm nie był taki? Dlaczego musiał wprowadzać niepokój, obawę, zamęt? Elza śledziła ją czułem oczami z końca stołu, pani Berta przesyłała jej z drugiego końca porozumiewawcze uśmiechy, pani Willenbrock błyskała gniewnymi, despotycznymi oczami; Henryk Baisen przypijał do niej dyskretnie; Fryda Willenbrock mimo intensywnego flirtu z sąsiadem rzuciła na nią od czasu do czasu skryte, nieżyczliwe spojrzenie. Światło błyszczało na srebrze stołowym i na kwiatach, szmer głosów, urywki rozmów to polskich to niemieckich, brzęk noży i widelców zlewały się w jedną symfonię jedzenia.

— A po kolacji będziemy tańczyć, panno Halino — zwrócił się do niej Wilhelm.

— Nie tańczę — rzekła stanowczo.

— Owszem, tańczy pani — odparł niemniej stanowczo. Wypytałem przedtem pastorową. Z panią przecież nie można inaczej — dodał z żartobliwą czułością.

Po kolacji, zaledwie wrócili do salonu, umknęła do znanego sobie dawniej, słabo oświetlonego saloniku i zatoneła w głębokiej, kłutej kanapie. Tu ją odnalazła Elza. Siedziały przytulone do siebie dziewczynka, zadowolona, że może swą ukochaną nauczycielkę zatrzymać dla siebie, milczała z początku, potem, zagadnięta, zaczęła opowiadać o swych szkolnych — jakżeby inaczej? troskach. W głębi domu zapieniła się naraz fala tanecznej muzyki.

— Pani możeby chciała tam wrócić? — spytała trwożnie Elza.

— Nie, jestem zmęczona. Mów dalej, Elzo.

Zmieniła trochę pozycję i patrzyła przymkniętymi oczyma na delikatną, wrażliwą twarz dziewczynki, na jej gwiazdziste, błękitne oczy, tak szczere i czude, tak niesamowicie podobne... Dalekie, pełne słodyczy, uwodzące tony walca ukołysać mogły wszystkie obawy, usnąć ostrożną czujność i rezerwę. Jak dobrze było spoczywać tutaj, nie myśleć, nie lękać się...

Znalazła je jednak pani Baisenowa, wywiodła na światło sali tanecznej i posadziła obok siebie, w gronie pań Elstermann i Willenbrock. Pani Willenbrock jednak, nie mówiąca wcale po polsku, za chwilę odeszła, zainteresowana przygotowującą się partją bridge'a. Razem z pierwszymi tonami podszedł Wilhelm.

— A więc zatańczymy, panno Halino — rzekł raczej twierdząco. Przez pamięć Haliny przeleciał błyskawicznie, niewiadomo czem wywołany, obraz nieprzytomnej, bladej twarzy jej uczennicy,

Madry Bekerówny, tańczącej na uczniowskim wieczorku. Cofnęła ramiona wtył.

— Nie! — i zaraz opanowawszy się dodała z gwałtowną prośbą:

— Panie Wilhelmie, nie, nie teraz, potem — proszę! Jestem zmęczona... — trzeba było coś dodać!

Wilhelm stanął znieruchomiały. Wydało mu się, jakby na jedną tysięczną część sekundy zajrzał za kurtynę. Ten lęk, ta żywiołowa prośba... Wielki Boże, więc jednak możliwe!

— Dobrze — rzekł w końcu miękko. Nie ruszył się jednak z miejsca. — Dobrze... — Nagle odwrócił się i wyszedł z sali do saloniku, gdzie przed chwilą siedziała Halina.

A Halina pozostała blada i zmieszana. Zapragnęła rozpaczliwie znaleźć się w domu. Gdy przy następnym tańcu sklonił jej się Paweł, wstała machinalnie. Złe, złe, złe! Jaknajprędzej do domu! Wilhelm już się znalazł i tańczył milcząco z Emmą. Nie zbliżył się. Gdy Halina tańczyła następnie z Łomnickim, z innym jeszcze młodym człowiekiem i znów z Pawłem. Potem dopiero podszedł do orkiestry i porozmawiał krótko. Zaczekał, aż salę spowila urocza, pełna niezwalczonej słodyczy melodia. Przeszedł wtedy wpoprzek salę i stanął bez ukłonu przed Haliną. Twarz miał bez uśmiechu, nawet rzec można — surową. Wstała, podniesiona nie swoją wola. W tem jednym okamgnieniu zrozumiała odrazu wszystko: i swój lęk i swoje niejasne przeczucia i swoje dzikie pragnienie ucieczki.

---

---



XV

Pokój nauczycielski w gimnazjum w Strzałkowie była to komnata duża i ciemna pomimo dwu okien. Nazwa „komnata“ dobrze oddawała rzeczywistość, jeśli wziąć pod uwagę grube mury, głębokie wnęki okienne i sklepiony sufit. Cały gmach był bowiem ongiś klasztorem bernadyńskim w zamierzchłych, jeszcze przed reformacyjnych czasach. Przez całe przedpołudnie, począwszy o ósmej rano sala ta napełniała się regularnie co pięćdziesiąt minut gwarem, który po kilku, najwyżej kilkunastu minutach wygasał doszczętnie. Najdłuższa, duża pauza trwała dwadzieścia minut. Czasem był wszechstronnie wykorzystywany dla zdrowia, odpoczynku, stosunków towarzyskich, spraw o charakterze urzędowym, wychowawczym i wielu innych. Przedewszystkiem zaś było to pora drugiego śniadania.

— Przypominam państwu, że tematy maturalne muszą być złożone u mnie do ostatniego dnia marca — nadmienila przełożona, siedząca u szczytu długiego stołu.

Wchodzi panna Biebrzykówna, wychowawczyni klasy trzeciej.

— Pani dyrektorko, co zrobić z klasą trzecią wobec nieobecności pana Wieczorka?

Przełożona pozostawia swą szklankę herbaty i tekę z papierami, między które dzieliła dotychczas swe zainteresowania; zbliża się do rozpiętej tablicy zajęć szkolnych i omawia półgłosem plan zaradzenia nieobecności pana Wieczorka: tę klasę połączyć z tamtą i poprowadzi lekcje pani Stągowska; tu znów pójdzie pani Sobótko, a tamte dziewczynki pójda o godzinę wcześniej do domu. Panna Biebrzykówna wychodzi.

Pani Stągowska pije pospiesznie herbatę na rogu stołu, bo

ma dyżur w sali rekreacyjnej i musi zwolnić trawiącą tam pierwszą część pauzy panią Żurkową. Z opróżnionej szklanki unosi się jeszcze para, gdy wsadza spowrotem głowę do pokoju.

Panna Zaborska jest proszona!

Panna Zaborska porzuca bułkę z serem i wychodzi do grupki uczennic swojej klasy, które proszą o uprzedzenie pana profesora Żurka, że z takich to a takich powodów nie przygotowały lekcji. Pan profesor Żurek przyjmuje ten cios obojętnie, odnotowuje co potrzeba w notesie i naraz natyka się na inną sprawę do załatwienia.

— Niech pani zawiadomi rodziców Bekerówny, że będzie miała niedostateczny z matematyki.

— Bekerówna bardzo się opuściła — zgodnie popiera Żurka Barczyński, przeglądający jakieś pisma, nadeszłe dla biblioteki szkolnej.

— A propos Bekerówny, niech pani wstąpi do mnie po lekcjach, panno Halino — wtrąca przełożona z ponad pism urzędowych. To brzmi już całkiem groźnie.

Wchodzi Żurkowa i zabiera się do swojej herbaty. Pije przy oknie. Halina zbliża się do niej.

— Niech pani patrzy, panno Halino, pierwszy dzień wiosny. Jest takie miłe powietrze, że chyba rzucę wszystko i pójdę po południu z dziećmi na spacer.

W istocie, choć dzień jest jeszcze zimowo - beztępeczny w powietrzu czuje się wiosnę. Dachy i podwórza, mokre od stopniałego śniegu, są lśniące i jakby nowe; nagość i wiotkość gałęziak bzu z pod sztachet wydaje się inna, bardziej naga i bardziej świeża. W gałęziach trzech czarnych świerków, rosnących na środku podwórza, przewala się nagły, hulaszczy wiatr; przez szybę czuje się jego ciepło. Białosiwe, pędzące chmury falują po niebie.

— Czy wiecie państwo nowinę dnia? — mówi Żurek zafrahowany, tracąc sobie czoło i patrząc wciąż jeszcze w notes. — Jędraszko został prezesem komisji oświatowo - kulturalnej w magistracie.

— Bardzo dobrze! przyda się jeden energiczniejszy człowiek w tej stojącej wodzie!

— Bardzo dobrze, ale dla mnie bardzo źle. Zostaje na kurkach bez polonisty.

Halinę odrazu coś tknęło. Kursy to było najulubieńsze pole pracy Żurka. Założone przed trzema laty, miały zakres siedmiu oddziałów szkoły powszechnej, a przeznaczono je dla tych spośród uboższej ludności, którzy — czy które — albo szkoły polskiej nie znali, albo z jakichbyś powodów kursu siedmiu oddziałów we właściwym czasie nie przeszli. W tym roku dopiero wywalczył Żurek w odległym kuratorjum zezwolenie na odbycie egzaminów końcowych, uprawniających do wydania formalnych świadectw z ukończenia siedmiu oddziałów, o co większości słuchaczy chodziło.

— Cóż pan zrobi wobec tego? — spytała z zainteresowaniem Halina.

— No cóż. Muszę znaleźć kogoś i to szybko. Może w którejś ze szkół powszechnych — zbliżył się do nich i oparł o framugę okna.

Halina pomilczała jeszcze chwilę.

— Składam ofertę na to stanowisko — rzekła wreszcie.

— Nie może być! Pani chciałaby? — ale radość jego wnet opadła. — Nie, nonsens. Tam potrzeba mężczyzny. Widzi pani, tam jest różnie...

— Spróbujmy — rzekła lekko.

— A przytem... nie, niemożliwe! Matury za pasem; pani ma i tak dużo roboty. Zresztą... gdyby pani tak nie pomizerniała ostatnio...

— To niema nic do rzeczy — przerwała niecierpliwie. — Czuję się całkiem dobrze.

— Ale kuratorjum nie da pani zezwolenia na poboczne zajęcia.

— Możemy spróbować — rzekła uparcie. — Jeśli nie da, to trudno.

Propozycja była tak pojęta, że Żurek zgodził się. Zresztą ułożył już sobie na poczekaniu cichy plan, że zanim kuratorjum odpowie, on znajdzie kogo innego i nie będzie przerwy w zajęciach szkolnych.

W tej chwili weszły do pokoju nauczycielskiego dwie uczennice z klasy pani Stągowskiej po zeszyty klasowe; przez uchylone na korytarz drzwi wraz z gwarem wielu głosów wpadł ostry, nagły dźwięk dzwonka. Ten i ów podniósł się z miejsca.

— Dziennik! Kto zabrał dziennik klasy czwartej?

Pan Sobótka, stojąc, kończył coś opowiadać panu Miąskowiemu:

— ... a ja wtedy mówię: to niech pan wizytator będzie łaskaw zajrzeć do mojego rozkładu materiału...

Zabrział drugi dzwonek. Wszyscy powoli zaczęli się wyrywać na opustoszały korytarz i rozchodzić parami, trójkami po schodach, wszyscy z wielkimi deskami dzienników pod lewą ręką, kończąc po drodze rozpoczęte rozmowy. Z napół uchyłonych drzwi każdej klasy wyglądała głowa patrolu, niknącego za zbliżeniem się nauczycieli.

Tego dnia Halina z zadowoleniem wracała do domu. Było to jednak dziwne zadowolenie, z domieszką złośliwej autozasiętości. Była bardzo, bardzo zadowolona, że będzie pracowała na kursach. Kursy trwały od siódmej do dziesiątej wieczór. Umówiła się z Żurkiem, że przyjdzie do nich o szóstej, dowie się szczegółów i pójdzie razem z profesorem.

O piątej przyszedł Wilhelm.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, była leżąca na stole teczka, do której Halina włożyła kilka książek.

— Byłem trzy razy i nigdy nie mogłem pani zastać — rzekł, nie siadając, lecz stojąc pod piecem i patrząc na teczkę. Wychodzi pani?

— Za pół godziny. Niechże pan siądzie.

— Dziękuję. Ma pani dziś jakie zebranie?

— Nie. Zaczynam pracę na kursach.

Nie mógł zrozumieć.

— Czy to coś wspólnego ze szkołą?

Zaczął mu tłumaczyć dość niechętnie; potem przeszli na inne, obojętne tematy. Wreszcie pomógł jej ubrać się i wyszli razem. Na ulicy przyjrzał się niesionej przez siebie teczce.

— Czy to koniecznie potrzebne, panno Halino? — rzekł z powagą.

Zrozumiała o co mu chodziło. Zaczęła żywo wyjaśniać, w jakim kłopotcie znalazł się Żurek; zresztą, ma prawdziwą chęć spróbować pracy na kursach. Milczał przez chwilę.

— Ile godzin pracy ma pani tygodniowo w szkole?

— Dwadzieścia jeden.

— A ile godzin pracuje pani pozatem w domu?

— Dwie; z zadaniami trzy, trzy i pół — odrzekła niechętnie, bo widziała, do czego zmierzał.

— Do tego dochodzą te pani kółka, różne sesje, zebrania rodziców, różne niespodziewane imprezy; a pozatem zastają pani nieraz nad czytaniem jakichś mądrości pedagogicznych. Wyniesi to — obliczył szybko — razem przeciętnie dziewięć godzin dziennie. Kiedy pani znajdzie czas na kursy?

— Kursy odbywają się od siódmej do dziesiątej — rzekła niechętnie.

— Przecież pani sama musi wiedzieć, że to jest nieekonomiczne postępowanie. Zniszczy się pani przez dwa lata takiej pracy. Co zostanie na dalszy dystans? Ten pani zapal jest szkodliwy dla pani samej. Nie mówiąc już — dodał po chwili — o nas wszystkich dla których nie znajdzie pani już ani chwilkę czasu.

— Jeszcze nic nie jest przesądzone — rzekła z ironją. — Jeszcze kuratorjum może mi nie dać pozwolenia na poboczne zajęcia.

— Żałuję, że nie znam nikogo w kuratorjum. Zrobiłbym, co tylko możliwe, żeby pani nie dano pozwolenia.

Lokal, w którym odbywały się kursy, nie był zbyt zachęcający. Żurek uprzedził o tem Halinę odrazu, skoro tylko wyszli z domu.

— Widzi pani, słuchacze kursów, to element niepewny, trudny do ujęcia w karby. Wszędzie bano się, że kursисти będą niszczyli lokale. No, szkoła na Zawodziu nie miała się już czego obawiać.

Dom szkoły powszechnej na Zawodziu był mały, stary i odrapany. Z dziwnie dużej, ciemnej i nierównej sieni, w głębi której majaczyły strome schody na piętro, prowadziły na lewo drzwi do dwu klas, na prawo do innych dwu. Żadnej szatni, żadnego pokoju nauczycielskiego. To wszystko w szkole było — ale nie dla kursów.

— To i tak dobrze, że mamy choć lokal: ławki, tablice, katedrę; możemy używać map, globusów, obrazów. Jedno tylko: niech pani pilnuje, żeby okiennice były zawsze zamknięte. To parter; miałyby pani nieproszoną galerję na ulicy.

Klasa na prawo, do której weszli, przy świetle elektrycznem była całkiem możliwa. Halina zrzuciła jesionkę na poręcz krzesła i słuchała rad i objaśnień Żurka. W pierwszych ławkach siedziało już kilka osób: jakiś czytający starszy robotnik, dwu mocujących się „na rękę“ łalusiów o bardzo kolorowych krawatach i apatycznie zamysłona chuda, czarna dziewczyna. Sala jednak zapełniała się szybko. Przybywający obrzucali Halinę krótkiem, zaciekawio-

em spojrzeniem i lokowali się w ławkach, nie zdejmując wierz-  
lich okryć. Kobiety, przeważnie młode, zajmowały miejsca ra-  
nem pod ścianą; mężczyźni w wieku na oko od osiemnastu do  
czterdziestu lat, głośniejsi i liczniejsi, sadowili się wszędzie. Ra-  
nem było około dwudziestu osób.

— To jest oddział szósty. Kurs klasy drugiej. Tu jest dzien-  
nik. Trzeba zawsze sprawdzić listę. Niech pani przejrzy go, dowie  
się pani, co przechodził Jędraszko. O, widzi pani: czytali „Silacz-  
kę”, a z gramatyki przerabiali zdanie rozwinięte. Nie wiem, czy  
pani da sobie z nimi radę: to są straszne lobuzy. Siódmy oddział  
o wiele lepszy — objaśniał urywanie Żurek, oglądając się na drzwi  
do sieni, za którymi słychać było krzyki.

Zabrzmiął głos dzwonka, przykry i rozbity. Żurek zaczął,  
aż wszyscy weszli do klasy, poczem przemówił, przedstawiając  
nową nauczycielkę. Zaraz też wyszedł.

Halina zaczęła chwilę, aby szmer się uciszył. Ponieważ  
jednak nie uciszał się, przemówiła od siebie, zawiadamiając, że  
dzisiejszy dzień poświęci na przepytanie wszystkich, aby spraw-  
dzić poziom klasy. Szmerzy trochę ucichły. Zaczęła przepytować  
z gramatyki. Stwierdziła, że wiadomości były dobre, ale ci dorośli  
ludzie żenowali się wyjść do tablicy z wyjątkiem jednego, owego  
starszego robotnika, Kozła, który schował już swoją książkę i pil-  
nie uważał. Uważali też owi dwaj lalusie i wszystkie niemal ko-  
biety, ale na ostatnich ławkach śmiechy i szepty nie ustawały.  
Zebrane tam towarzystwo nie usiłowało udawać nawet zaintereso-  
wania lekcją i rozmawiało półgłosem. Halina zwróciła wobec tego  
jakieś stanowcze pytanie do wielkiego draba w krótkiej, burej  
kurtce. Ten przerwał rozmowę z kolegami.

— Ja? Ja nic nie umiem — i zaśmiał się grubo i lekcewa-  
żąco.

— Więc trzeba się nauczyć. Jak się pan nazywa? Proszę do  
tablicy.

— Co? — i mruknął coś, hardy i zakłopotany naraz, ale  
nie ruszając się z miejsca. Towarzysze jego, jakby Halina powie-  
działa coś niesłychanie dowcipnego, wybuchnęli śmiechem. W tej  
chwili huknęła naraz okiennica i z za szyby przez wpólotwarty  
lufcik buchnęły takie wrzaski, że Halina drgnęła.

— Antek! Antek!

— Te oddaj czapkę!

— Lalus! idźno do tablicy! Pokaż tej pani, co umiesz!

— Co wy tu, choroby jedne! — rzucił się ku oknu opor uczeń. Zaczął niby zamykać okno, siłując się ze stojącymi na dw rze; w tym czasie jego satelici pootwierali dwa inne. Reszta klasy, nie biorąca w tem udziału, śmiała się, zainteresowana nag rozrywką. Halina zdrętwiała z oburzenia.

— Proszę natychmiast zamknąć okna! — krzyknęła ta że glos jej zapanował nad całą wrzawą. Nie zrobiło to jednak za nego wrażenia. Podbiegła do okna.

— Proszę stąd odejść! — krzyknęła ostro. Drab w bur kurtce zawahał się. Odsunęła go i zamknęła okno, z za które uczestnicy hałasów cofnęli się w cień, zwiększając wrzaski. W t sposób zamknęła sama wszystkie okna.

— E, kiedy tak, to ja idę — rzekł głośno i gburowato drab. Udusić się można w tej klasie — i mocno tupiąc butami, wyszedł. Reszta siadła w ławkach i gadała głośno, pokrzykując do siebie. Halina czekała na ciszę. Z trudem poskromiła wściekłość, jak ją przedtem ogarnęła. Klasa gadała sobie dalej, patrząc z zaciekawieniem, jak też zachowa się nowa nauczycielka. Halina, przeczekawszy chwilę, usiadła przy stoliku i otworzywszy pierwszą leżącą książkę, zaczęła sobie czytać — o ile to było możliwe przy tak wielkim wzburzeniu. Przekonawszy się, że nauczycielka nie ma zamiaru przestać czytać — co przedstawiało się już bardzo nieinteresująco — klasa zwolna ucichała. Wtedy Halina podniosła głowę.

— Jeżeli się nie chcecie uczyć, to nie wiem, poco tu przychodzić — rzekła zimno i bez gniewu. — To nie jest nauka przymusowa. Każdy, komu się nie podoba, może odejść. Jeżeli chcecie hałasować, to proszę, hałasujcie. Wy na tem straciecicie — ja nie. Moja godzina i tak będzie płatna.

To nagle poskutkowało i to o tyle, że do końca godziny było względnie cicho. Gdy po dzwonku przyszedł Żurek dowiedzieć się, jak jej poszła pierwsza lekcja, opowiedziała mu ze wzburzeniem całe zajście. Opisała mu też sprawcę zajścia. Słuchał zamyślony.

— To nie nasz słuchacz wcale — rzekł wkońcu stanowczo. Skorzystali z tego, że pani jeszcze nikogo nie zna i naszło się obcych z ulicy umyślnie, aby robić awantury. Niech pani uważnie sprawdza dziennik: kto niezapisany — dowidzenia. Teraz pójdziemy do siódmego oddziału. To całkiem co innego.

Siódmy oddział nie miał więcej jak dwunastu słuchaczy wczem tylko trzy kobiety. Różnica poziomu w zachowaniu czy w inteligencji była w porównaniu z szóstym oddziałem uderzająca. Wszyscy siedzieli bez okryć, poskładawszy je na ostatnią ławkę. Klasa była chętna i uważna. Najwięcej pilności okazywał siedzący na pierwszej ławce drobny i łysy starszy człowiek o bystrych oczach, kaleczący w okropny sposób język polski, Herman Gutmacher.

Po dwu godzinach lekcji, o dziewiątej wieczór wracała Halina do domu — sama, bo Żurek zostawał jeszcze na trzecią, ostatnią godzinę.

— Ci są mili, i bardzo — myślała o siódmym oddziale — ale jak sobie z tamtymi poradzę, Bóg to raczy wiedzieć.

W najbliższą niedzielę wczesnym popołudniem wybrała się Halina na plebanję. Czyniła to dość chętnie. Podczas ostatnich bytności jej u pastorowej, nieodmiennie, w kwadrans czasu po niej przychodził Wilhelm, jakby tknięty przeczuciem, tem dziwniejszem, że zaczęła teraz bywać tam o różnych porach. Ponieważ jednak Halina nie wierzyła w przeczucia, musiała przypuszczać, że w tej zbieżności ich wizyt kryły się zapewne dobrze zakonspirowane, ale bardziej naturalne przyczyny.

Tym razem nie przyszedł i mogły porozmawiać swobodnie. Zbyt trudne to jednak było. Na dnie wszystkiego leżał jakiś niewidoczny ciężar, który pozbawiał ją swobody w tym domu, dawniej uważanym prawie za rodzinny. Nadmiar wszystkiego, pochwyciła pastorową raz czy dwa na przelotnem, uważnem i co najgorsza — filuternie — życziwem spojrzeniu. To doprowadziło Halinę prawie do rozpacz.

— Opowiedz mi Haluniu coś o tych kursach.

Bała się spytać, skąd pastorowa знаła już tę ostatnią nowinę. Zaczęła opowiadać z ukrytym przymusem, rzeczowo, usiłując przedstawić z humorem zajście podczas pierwszej lekcji.

— Wilhelm mówi, że ty się zamęczysz — rzekła dyplomatycznie, jak jej się zdawało, pastorowa. — Poco ci to, Haluniu? Oburzyła się.

— Bardzo wdzięczna jestem panu Wilhelmowi za opiekę. Czy to on prosił panią o odmawianie mnie od tych kursów?

— N... nie, ja sama uważam... — Zresztą on również jest niezachwycony tym projektem — skrzyła pastorowa z uciążli-



wej drogi kłamstwa. — Zwłaszcza, jeśli tam są takie awantury..  
Rzuć to, Halu, to nie na twoje siły.

Halina pożałowała, że w jakiegokolwiek bądź formie opowiedziała pastorowej o zajściu.

— Mam nadzieję, że potrafię zapanować nad tem zbiorowiskiem. Muszę zapanować. A zresztą w ostatnich czasach zabawy zbyt mnie odciągały od mojej właściwej roboty. Widocznie miałam za dużo czasu.

Po podwieczorku Halina wymówiła się ważnemi zajęciami i odeszła wcześniej, pozostawiając pastorową w jakimś zakłopotaniu, jakby chciała, to znów nie chciała czegoś powiedzieć. Na dworze był zaledwie zmrok. Mogła wracać nie około kościoła, lecz swą zwykłą, krótszą drogą wdół rzeki. Jednak, skoro znalazła się już nad rzeką, owionął ją świeży, wiosenny, ciepły wiatr, pełen zmieszanej woni wilgoci i pędów wierzbowych. Zamiast skręcić w lewo ku swojej ulicy, poszła w prawo i idąc wzdłuż rzeki minęła parterowe, drewniane powykrzywiane domki, które powyrastały kiedyś z drugiej strony drogi. Dalej przejście snulo się już między rzeką z jednej, a wzgórzami z drugiej strony. Rzeka w tem miejscu zaczynała obrastać w krzaki wierzbowe, lecz niewiele dalej krzaki zdążyły wyrosnąć w duże, rozwiane wierzby; z poza ich bezlistnych, cienkich gałązek widać było teraz zabudowania; a szum jednostajny wody zdawał zapowiadać młyn. Przy młynie było przejście na drugą stronę rzeki poprzez ubielone podwórze, obok drewnianych, pociemniałych, wielkich budynków. Halina przeszła przez to podwórze i nie wiedząc czem wolana stanęła na drewnianym moście, pod którym pieniała się srebrzyście woda. Płynęła płytko po drewnianych, zazielenionych deskach pokładu, wreszcie sphywała z nich lekko, łącząc się ze spokojną, ciemną, mulistą rzeką. Halina stała na mostku zapatrzona hypnotycznie w pieniającą się wodę, szumiącą zarazem srebrnie i basowo.

— Może to i życie ludzkie jest takie — myślała sennie. — Spieni się, spieni, a potem znów płynie spokojnie.

Woda szumiała pod jej stopami. Niebo ciemniało: na szarem jego tle rysowały się wyraźnie cienkie, bezlistne długie i splecione gałązki wierzb, omraczających rzekę. Halina wszędzie, gdzie choć przez chwilę się zatrzymała, dogoniły Halinę natychmiast nieopowiedziane, dręczące i pędzące wciąż dalej uczucia nudy, i niepokoju.

## XVI.

Na święta wielkanocne, które w tym roku wypadły w połowie kwietnia, Halina postanowiła wyjechać ze Strzałkowa do Poznania. Pierwszy dowiedział się o tej decyzji, jak zwykle, pastor Dammholt. Poznał dobrze stosunki rodzinne swej pupilki i pamiętał jakie stanowisko zajęła w okresie świąt Bożego Narodzenia.

— Nie zawsze jest się sprawiedliwym, panie pastorze — odrzekła pośpnie. — Powinnam raczej żałować mojej matki, niż potępiać ją za to niewczesne małżeństwo.

Pastor zawahał się i nie rzekł więcej nic. Halina zgadywała, o czym pomyślał i wzruszyła ramionami. Niestosowne zachowanie jej ojczyma kiedyś, dawno, względem niej — czyż mogłaby ją naprawdę dziś obrazić? — myślała wyniośle. Obecnie dałaby sobie z nim radę łatwiej niż przed czterema laty. A matki nie widziała już rok. I pojechała.

W dwa tygodnie później przywiózł ją wieczorny pociąg spowrotem. Na widok gęstego skupiska drzew i domów za oknem wagonu pośród ciemnej nocy, poczuła znów ścisnienie serca i dziwną mieszaninę uczuć, o których już prawie zapomniała: smutku, obawy i niepokoju. Na drugi dzień rano poszła do szkoły, a w południe, wracając do domu, spotkała Wilhelma prawie dokładnie w tem samym miejscu, w którym niegdyś natknęła się na Emmę Willenbrock.

— Nareszcie więc pani wróciła — rzekł, witając się. Był taki sam, jak dawniej, swobodny, pewny siebie, ale w tych błękitnych, zaczepnych, tryskających energją i wesołością oczach zobaczyła Halina jakiś inny wyraz, tkliwości i szczęścia. Odprowadził ją do domu, opowiadając żartobliwie po drodze różne drobne wypadki, które tu zaszły w czasie jej nieobecności i w końcu

dowiedział się, że w sobotę popołudniu będzie mógł zastać w domu. Kiedy już byli blisko jej furtki, Wilhelm uklonił się nagle z rozmachem i Halina, podniósłszy pomieszane oczy, zauważyła jeszcze panią Borkowską, mającą ich życzliwym, szczególnym uśmiechem.

W parę dni potem wchodząc w czasie małej przerwy do pokoju nauczycielskiego Halina zastała tam tylko trzy panie: Stęgowską, Żurkowską i Biebrzykównę, które na jej widok uciekły rozmowę tak raptownie, że sama Halina się zmieszała. O czerp mogły mówić? Kiedy indziej, gdy w rozmowie z dyrektorką zaczęły luźno obliczać, które uczennice w siódmej klasie zostaną prawdopodobnie na drugi rok, pani Lorencowa powiedziała parę ciepłych, choć powściągliwych słów o Baisenównie, o bardzo milej jej matce i — już całkiem bez związku z tematem — o tym sympatycznym, czarującym panu Wilhelmie. Takich drobnych wydarzeń, których niepodobna było tłómaczyć sobie dwójako wyostrzona podejrzliwość Haliny zaczęła teraz odkrywać całe mnóstwo. Jak miała zachować się wobec tego? Cokolwiek wybrałaby, obojętność czy oburzanie się, wszystko obracało się na złe, wszystko dręczyło niepomiernie.

Pewnego popołudnia, w które nie miała Halina pracy na kursach, ani żadnego dodatkowego zajęcia, poszła do Żurków, bo umówiła się już wcześniej z panią Marją, że wyjdą z dziećmi na spacer. Był to koniec kwietnia, popołudnie słoneczne. Pani Żurkowa chciała pokazać Halinie parcelę pod miastem, na której mieli sobie budować dom. Poszły krótszą drogą przez łąkę, krocząc we trzy, bo Żurkowa prowadziła za rękę poważną, czteroletnią Renię, czarujące dziecko, za którym się wszyscy oglądali, o porcelanowej buzi laleczki i prześlicznych, wielkich szarych oczach. Sześcioletni Jurek mniej się udał: chudy i nieładny, był tak żywy i psotny, że trudno było sobie z nim poradzić. Nigdy nie trzymał się matki: zbyt samodzielny, biegał i teraz, rozgrzebując patykiem krecie nory i co chwila przybiegał do matki, aby ją informować o swych czynach.

— Mamusiu, o, taka nora była! Mamusiu, czy w takiej norze może siedzieć zajac? — i nie czekając odpowiedzi, odbiegał pędem.

— A ty Reniu, nie wolisz pobiegać? — spytała Halina dziewczynkę, nachylając się nad nią. Mała zrobiła grymas prześlicznymi usteczkami.

— Jurek jest niegrzeczny, znów sobie pobrudzi ubranie — rzekła poważnie, wymawiając twardo literę r. — Ja wolę z mamusią.

— Będzie pani miała kiedyś kłopot z Jurkiem.

— Z Renią większy — odparła Żurkowa wesoło. — Ta mała będzie straszną kokietką. Niech pani sobie wyobrazi, tylko jej nie pilnować, siada przed tualetą, czesze się, rozsypuje mi puder, pudruje się! A żeby pani wiedziała, jakie są awantury, kiedy chce jej włożyć nie tę sukienkę, którą ona sobie wybierze!

— Mamusiu! Mamusiu! — przybiegł zdyszany i przejęty Jurek. — Taki ptaszek cza... czarny leży! Nieżywy!

Na parceli, gdzie budowa miała się rozpocząć dopiero na rok przysły, posadzono kartofle i nic pozatem nie było do oglądania. Oprowadziwszy z dumą wokół swej posiadłości, pani Żurkowa zdecydowała, że czas wracać, bo słońce było już nisko. Wracano szosą, a tam gdzie szosa stawała się już ulicą, natknął się na tę małą kawalkadę Wilhelm Baisen.

— Co panie tu robią w moich stronach? — wykrzyknął ze zdziwieniem, witając się.

— To są i moje strony — wyjaśniła z wyniosłą powagą Żurkowa. — Jestem posiadaczką obszernych latyfundjów. A oto moi spadkobiercy, których pan jeszcze nie zna.

Jurek trzymał się nieufnie matki, oglądając krytycznie przybyłego, ale Renia podała mu rączkę ze spokojnym wdziękiem.

— Co za śliczne dziecko! — wykrzyknął z zachwytem. — Jak masz na imię, Liebling? Renia? Terenia? I byłaś z mamusią na spacerze? I cóż tam było?

— Tam było kartoflisko i takie doly — wyrwał się Jurek, którego intrygował nowoprzybyły. — Jakbym miał strzelbę, to bym zabił zającą — dodał nieoczekiwanie i zakończył fachowo: — Tam muszą być zające.

Wilhelm roześmiał się i zaczął rozmowę z chłopcem o strzelbie.

— Ale pan lubi dzieci, no, no, — dziwiła się Żurkowa.

— Bardzo. Strasznie miłe są te brzdące. Zresztą podobno wszyscy mężczyźni lubią dzieci.

Możliwe. Nic ich to przecież nie kosztuje — rzekła cierpko z nagle popsutym humorem.

— Chyba nie dlatego — rzekł, wyprostowawszy się i mus-

nąwszy przelotnym spojrzeniem twarz Haliny. — Bo przecie właściwie lubi się właśnie to, co nas dużo kosztuje...

— A, to już takie męskie zamięlowanie do sportu.

— Nie wiem, może — rzekł obojętnie. — Czy panie nie mają nic przeciwko temu, że tak idę razem?

— Wcześniej się pan wybrał z zapytaniem! — roześmiała się Żurkowa i zatrzymała się przed bramą. — My już przecież tu mieszkamy. Panna Halina idzie z nami. A może i pan wstąpi? Dostanie pan szklankę herbaty i herbatniki.

Wilhelm zawahał się.

— To duża pokusa. Ale mam być o tej godzinie w biurze na konferencji. Brat nie darowałby mi, gdybym nie przyszedł. Czy pani może schować mi mojego herbatnika na drugi raz?

— Dobrze, tylko niedługo! — roześmiała się. — Bo widzi pan, to są też amatorzy herbatników!

Pożegnali się i obie panie z dziećmi weszły na schody. Halina w przedpokoju zaczęła pomagać pani Marji przy rozbieraniu dzieci, potem weszła do sypialni Żurków zdjęć kapelusz. Za chwilę zjawiała się tam Żurkowa. Obie panie stanęły przed lustrem i naraz, niechcący, spojrzwały sobie w oczy. Zwykła żywość poniosła panią Marję.

— No, wie pani — wybuchła szczerze — że jest pani po prostu niegodziwa. Ani pary z ust!

Halina zbladła nagle i odwróciła się szybko do okna.

— Niegodziwa... — wyjąkała po chwili. — Nie jestem niegodziwa... Niechże on raz wreszcie da mi spokój! — wykrzyknęła z nagłą rozpaczą. — Niech mi da spokój!

I nagle — rozplakała się. Pani Żurkowa, która po takich słowach najmniej się tego spodziewała, zdumiała się bardzo. Po chwili dopiero zbliżyła się do Haliny, objęła ją wpół i milcząc siedła z nią razem na brzegu łóżka. Ale Halina uspokoiła się szybko, poprawiła włosy i spróbowała uśmiechnąć się lekceważąco do Żurkowej.

Po tej scenie długo nie mogła się pozbyć uczucia skrępowania względem pani Marji, tembardziej, że ta zachowywała się tak, jakby tej sceny wcale nie było. Powstało stąd jedno więcej uczucie rozdźwięku na terenie szkoły, gdzie przecież stale się z Żurkową spotykała. Całym szczęściem było, że w szkole zaczęła już pulsować coraz silniej gorączka wywołana końcem roku. Odczuwało ją się zrazu niewyraźnie w większej uwadze uczennic podczas lek-

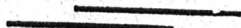
W większych wybuchach niepokoju w razie odpowiedzi nie-  
dostatecznej. W ślad za tem pojawił się drugi objaw: długie ko-  
rowody uczennic, proszących o „poprawienie“, nieustanne wizyty  
matek w szkole, żądających zobaczenia się z tą lub ową nauczy-  
cielką. Wszystko to razem nigdy jeszcze nie wyprowadzało tak Ha-  
liny z równowagi, jak w tym roku. Na lekcjach była często zde-  
nerwowana, „zła“, jak mówiły dziewczynki, nieraz niecierpliwa.  
Potem robiła sobie wyrzuty i na następną lekcję przyrzekała so-  
bie być już aniołem cierpliwości, co się czasami udawało, a cza-  
sami nie.

W ostatnich dniach kwietnia spadła na szkołę wizytacja  
z kuratorjum. Pan wizytator bawił trzy dni, był na zebraniu kół-  
ka literackiego, na zakończenie odbył ogólną konferencję z nau-  
czycielstwem i wyjechał bez głębszych oznak żalu ze strony szkoły.

To wszystko absorbowało Halinę — jak i jej koleżanki i ko-  
legów — na tyle, że mało pozostawiało wolnej myśli na rozpatry-  
wanie jakichś prywatnych swoich spraw. Główny jednak prąd  
zainteresowania płynął obecnie z lekcji na kursach Z dwu oddzia-  
łów, w których uczyła, nieliczny siódmy mógł być wzorem pilno-  
ści i właściwego zachowania się; lecz szósty — o, wchodząc do  
szóstego, wciąż jeszcze należało być przygotowanym na wszyst-  
ko. Wprawdzie nie dochodziło już do takich awantur, jak w cza-  
sie pierwszej lekcji; bywali obecnie tylko ci, którzy rzeczywiście  
zapisali się na kurs; lecz i z tymi było dość kłopotu. Stanowili  
oni samowolne i nieobliczalne, nieznające szkolnej dyscypliny  
zbiorowisko. Halina teraz dopiero poczuła, ile racji miał Zu-  
rek, kiedy, wprowadzając ją na te kursy, mówił, że nauczyciel  
powinien być nietylko znawcą swego przedmiotu, dobrym peda-  
gogiem, ale psychologiem, zręcznym dyplomata, człowiekiem tak-  
townym, o zawsze przytomnym umyśle i nigdy nie zaskoczonym  
przez wypadki. Po kilku lekcjach poznała, że jednak jest się na  
kim w klasie oprzeć: było kilkoro słuchaczy pilnych i spokojnych.  
Na nich też zwróciła głównie swoją uwagę; dla nich prowadziła  
lekcje, im czytała nowele Żeromskiego. Wreszcie, zirytowana nie-  
sfornością kilku uczniów, rzekła, iż to jest rzeczą samych słu-  
chaczy, a nie jej, dbać, by nikt nie przeszkadzał w nauce. Po  
tym wieczorze znikło jakoś dwu najhałaśliwszych uczniów  
i w klasie zapanował na dłużej taki przyjemny porządek, że moż-  
na było pomyśleć naprawdę o nauce, nie o ustawicznym, wyczer-  
pującem trzymaniu w dłoni cugli rozhukanych koni, o ciąglem

lawirowaniu między grożącymi zakłóceniami spokoju. Jednocześnie zauważyła, że ilekroć wracała z kursów późno, zawsze towarzyszyło jej w odległości kilkunastu kroków dwu, czasem trzech słuchaczy szóstego oddziału i nie odstępowało jej, póki nie weszła w sieni swego domu. Zdaleka poznawała zawsze między nimi kanciastą sylwetę owego starszego robotnika, Kozła, najpilniejszego swego ucznia.

A jednak mimo to wszystko, gdyby z dwu oddziałów kazano jej rzucić jeden, zapewne żałowałaby bardzo spokojnej, pilnej klasy najstarszej — ale oddziału szóstego nie rzuciłaby nigdy, właśnie za tę trudność prowadzenia, za to, że każda sytuacja mogła się tam zakończyć niespodzianem zamieszczeniem, za to, że wchodząc tam musiała zmobilizować wszystkie swoje umiejętności i być zawsze przygotowaną na wszystko. To było dopiero prawdziwe panowanie i nic nie mogło się równać z takim triumfem, gdy który z ujarzmionych wałkoniów wstępował pokornie na stopnie przy tablicy i bąkał mozolnie lekcję.



naucz  
jąc,  
cówn  
fesor  
jesz  
nia  
roś  
pan  
jak  
bo  
Pro  
Ha  
łos  
bu  
su

## XVII.

Pewnego ranka, wchodząc po dwóch lekcjach do pokoju nauczycielskiego, Halina zastała ogólne poruszenie. Wszyscy, stojąc, rozmawiali głośno i ze wzburzeniem.

— Słyszała pani, panno Halino? — zawołała panna Szolcówna, gimnastyczka. — Córeczka Żurków się zabiła.

— Co? — krzyknęła Halina. — Renia? To niemożliwe!

— Żurkową z lekcji wezwali. Była właśnie w drugiej b.

— No, nie zabiła się na śmierć — złagodził łacinnik, profesor Miąskowski. — Wypadła z okna.

— Mieszkają na pierwszym piętrze — rzekła zdrętwiała jeszcze Halina. — Ależ jakże to? Tam przecież jest specjalna niania do dziecka?

— A no, widzi pani, a jednak...

— Ale co z dzieckiem?

— No, żyje podobno, ale co to z tego wyrośnie... Jeśli wyrośnie — zamyśliła się Stągowska.

— Szczęście, że akurat była w szkole doktorka — rzekła panna Biebrzykówna. — Pojechaliy obie do domu. Żurkowa była jak szalona.

— On był jeszcze u Reja, ale i jemu widocznie dano znać, bo inaczej jużby tu powinien być.

— Ale Renia! Wczoraj jeszcze była z nami na obchodzie! Prosto ze szkoły pójde do nich — postanowiła do głębi poruszona Halina.

Lekcja następna wlokła się we wszystkich klasach niemiłosiernie. Wieść o wypadku przedostała się już między uczennice, budząc powszechne współczucie dla Żurkowej, która, choć bardzo surowa i niezdolna do zbliżenia się z uczennicami, budząca oba-



swym ostrym, ironicznym sposobem mówienia, cieszyła się jednak dużym szacunkiem za przysłowiową sprawiedliwość.

Po piątej lekcji, gdy wszyscy zebrani w pokoju nauczycielskim omawiali jeszcze żywo wypadek, nie mogąc się rozejść, nagle weszła doktorka szkolna. Wszyscy poprostu rzucili się na nią.

— Niema niebezpieczeństwa, będzie żyć! — krzyknęła doktorka. — Ma rączkę złamaną. Lewą — opowiadała rzeczowo. Nawet niebardzo pozatem potluczona. Pod oknem był ogródek w którym właśnie skopano ziemię. Upadła na sam środek klombu, ale to cud prawdziwy, bo gdyby upadła o pół metra w bok zabiłaby się na miejscu. Ten klomb ma takie obrzeżenie z cegieł wkopanych na kant.

— Idę tam zaraz! — wykrzyknęła Halina.

— Lepiej niech pani nie idzie. Żurkowa ledwie żywa; jeśli tego nie odchoruje, to będzie dziwne. Jest tam lekarz; no i w ogóle atmosfera nie do wizyt. Lepiej zaczekać jeszcze.

Halina zaczęła do niedzieli; jednak po obiedzie, zamiast wybrać się do Żurków, siadła niezdecydowanie. Możeby wpaść do pastorowej, a potem do Żurków? Do pastorowej.., lecz odpędziła tę myśl. Wahając wyciągnęła rękę po jakąś powieść, którą zaczęła czytać jeszcze przed tygodniem; lecz nie mogła znaleźć miejsca, na którym przestała. Zresztą — czyż to nie wszystko jedno? Zaczęła z któregoś punktu przebiegać wzrokiem stronicę, lecz już od pierwszego zdania niewiele zrozumiała, co czyta. Tłószczące uczucie smutku, nudy, oczekiwania...

Czwarta... Nie, trzeba jednakże iść do Żurków! W tej chwili zadzwieczał dzwonek. Teraz było już zapóźno na decyzję.

— Pani w domu?

— Znów mam szczęście panią zastać! — mówi wesoło Wilhelm i siada obok niej na otomanie.

— Miałam właśnie wyjść do Żurków...

— To cudownie! Przyszedłem właśnie z tym projektem, że mnie pani zabierze ze sobą do nich. Czy ma pani jakie nowiny? Biedna matka!

Opowiedziała mu krótko, co wiedziała. Stan małej, poza rączką w gipsie, był podobno zupełnie niezły; Żurkowa w poniedziałek miała już przyjść do szkoły.

— Więc pójdziemy, dobrze? A co w szkole? Długo siedziała pani wtedy na tej sesji?

Niewiadomo jak to się stało, że Wilhelm znał nawylot całe szkolne życie Haliny; wiedział, ile godzin lekcyj miała którego dnia, w których dniach i po ile godzin uczyła na kursach; a najdziwniejsze było to, że wszystkie te wiadomości zdobył powoli — i niewiadomo kiedy — od Haliny. Odpowiedziała mu coś. Potem nastąpiło milczenie.

— Tak — rzekł wkońcu sam do siebie. — Czy można pa-  
lić? — Wstał i odszedł do stołu po popielniczkę. — Czy wyjeżdża  
pani na Zielone Świątki, panno Halino?

— Nie, jakże? — zdziwiła się. — Wszystkiego dwa dni..  
Dlaczego pan pyta? — spytała podejrzliwie.

Usiadł przy niej.

— Berta jutro tu będzie, ale ja wolę dziś z panią o tem po-  
mówić. Niech pani przyjedzie do nas, do Klutschkau.

— Dokąd? — rzekła zaskoczona.

— Do Kluczkowa — jeśli pani tak woli. — Panno Halino,  
niech się pani zgodzi. Nic, nie, niech pani nie szuka wymówki!  
Napewno niema żadnej!

Podniosła oczy, którym napróżno chciała nadać wyraz chło-  
du. (Gdzie on podział papierosa?)

— Skąd pan wie?

— Napewno! W Klucz... kowie jest często bardzo miło:  
wielki park, jezioro, łódki... Pani odpocznie, a... my się tak  
ucieszymy!

Teraz dopiero spostrzegła, że trzyma ją za rękę. Zabrała  
ją żywo.

— Jeśli pan przypuszcza, że szukam wymówki... — rzekła,  
wstając i podchodząc do okna. Ze nie mam poprostu ochoty...

— Wiem, wiem! Już mnie pani o to kiedyś pytała — wstał  
i poszedł za nią, opierając się z drugiej strony o mur przy oknie  
i tym sposobem jakby zamykając ją we wnęce. — Chodzi o to,  
poco w takim razie panią namawiam, tak? Widzi pani — urwał  
i odetchnął głębiej. — Ze pani mnie unika, to ja to widzę. Gdy-  
bym był pewien, iż to dlatego, że pani mnie nie lubi, nie znosi —  
może, możebym sobie poszedł...

Stał w dalszym ciągu oparty o mur, nie spuszczać z niej  
oczu. Halinie, odciętej od reszty pokoju, stało się naraz nieznoś-  
nie ciasno i duszno. Na szczęście Wilhelm oderwał się od ściany  
i podszedł znów do stołu, wyjmując papierosa z pozostawionej  
tam papierošnicy.

— Ale... tak myślę, że mnie pani chyba *nie lubi* — stał nął papierosem o stół i podniósł go do ust. W drodze jednak z trzymał się. — Czasami myślę, czy ten niemądry smarkacz, Elza nie trafiła w sedno...

— Elza? — zawołała Halina. — Elza? Pan żartuje! — mogła powiedzieć Elza?

— Zaraz pani opowiem — rzekł, zapalając nareszcie papierosa i stając pod piecem. — To było w urodziny Berty. Elza mnie zaczepiła, kiedy mieliśmy tańczyć — ja z panią. Gdy się o tego dowiedziała, omal się nie rozplakała. Zaraz pani powtórzę, ja to ona dokładnie powiedziała: „Ach, stryjku, daj spokój! Chcesz ją całkiem od nas wystraszyć“. Przecież chyba widzisz po oczach mojej najukochańszej, że się — ciebie boi!”

— Elza chyba oszalała! — zawołała Halina półgłosem i usiłowała się roześmiać. Ale w tej chwili Wilhelm podszedł do niej zostawiając — teraz to zauważyła — papierosa na popielniczce.

— Więc czemu nie chce pani jechać do Kluczkowa? — rzekł wyzywająco, biorąc ją za rękę. — Jeśli pani mnie ani lubi, ani nie lubi... Jeśli pani lubi Bertę i Elżę... Henryka nie będzie...

— I pan w to uwierzył, co mówiła ta szalona Elza? — zawołała, wrywając mu rękę.

— Uwierzę, jeśli pani nie przyjedzie — odparł gwałtownie. Jeśli pani odmówi jutro Bercie.

— A więc przyjadę, jeśli mi tylko nic szkolnego nie przeszkodzi. Nonsens! Ja się boję! Szaleństwo! Aż wstyd poprostu...

Ale w Wilhelmie temperatura nagle opadła o kilka stopni.

— Dziękuję — rzekł miękko. Oczy stały się naraz spokojne i pogodne. Przeszedł się po pokoju. Po chwili dopiero przypomniał sobie: — A więc może pójdziemy do państwa Żurków?

U Żurków zastała Halina ku swemu skrytemu niezadowoleniu ni mniej ni więcej tylko panią Lorencową. Bystre, czarne oczy dyrektorki nie okazały ani śladu zdziwienia na widok zjawiającej się pary. Obydwie, dyrektorka i pani Marja, siedziały w dzieciennym pokoju przy łóżeczku Reni, grzebiącej spokojnie zdrową rączką w pudle czekoladek.

— Renia! przywitaj się. Panie Wilhelmie, i poco to? — Wilhelm kupił po drodze drugie pudło czekoladek. — Panno Halu ukochana, zrobiłam kłopot w szkole, co? Pani mnie podobno zastępowała? Jutro już przychodzę...

— Damy sobie radę. Może malutka będzie pani jeszcze potrzebować? — rzekła przełożona.

— Renia? Czy pani da wiarę, że dziś chciała wstawać? Teresko, zostaw to pudełko, masz tamte czekoladki.

— A profesora niema? — rzekł, rozglądając się, Wilhelm. — Ani amatora polowania?

— Wysłałam obu na spacer. Stach zmartwił się okropnie tym wypadkiem. Oczywiście, szukamy niani, bo tamta... Ale zdaje się, już wracają — dodała, słysząc dzwonek u drzwi wejściowych.

Był to jednak profesor Miąskowski, który dobrze żył z Żurkiem i przychodził się dowiedzieć o zdrowie małej. Profesor był wysoki i bardzo chudy, miał długie, obwisłe szpakowate wąsy i mądre, choć często rozszargane oczy. Wobec tego, że Renia zaczęła coraz senniej patrzeć na obecnych, Żurkowa przeprowadziła gości do saloniku, a sama przeprosiła ich i wróciła do małej — póki nie zaśnie.

— Pani Marja bardzo zmizerniała — rzekła Halina.

— Ba, cóż pani myśli, takie przejście...

— No, i przedtem zbyt dobrze nie wyglądała — wtrącił łacinnik.

— To zbyt wiele na jedną osobę, zajmować się domem i pracą poza domem — rzekł Wilhelm. — Można zrujnować zdrowie — no i dom. Jabyim na to na miejscu pana Żurka się nie zgodził.

— Daj panu, Boże, żeby się pan ożenił z kobietą nie posiadającą zawodu! — roześmiał się profesor.

— Moja żona, jeśli się kiedykolwiek ożenię, będzie miała tylko jeden zawód: zawód mojej żony — rzekł spokojnie Wilhelm.

— A jeśliby miała i inny, jeszcze z przed ślubu? A możeby go bardzo kochała? Nie zmuszałby jej pan chyba do porzucenia go? — roześmiała się przełożona, która знаła historję małżeństwa Żurków.

— No, nie ożeniłbym się nigdy z kobietą, któraby mnie nie kochała, choćbym ja sam za nią szalał. A jeśliby mnie kochała, rzuciłaby zawód. Moja żona jest tylko dla mnie.

— Nie, panie, pan jest szalony — rzekła z żartobliwą naganą przełożona. — Przypuśćmy nawet, że zrobiłaby to dla pana. Myśli pan, że już byłaby taka szczęśliwa? Ze nie tęskniłaby za swoją pracą?

Wilhelm poruszył się.

— Zapewniam panią, że zapomniatby o niej — rzekł chłodno. Przełożona umilkła.

— Pan nie zna chyba psychologii dzisiejszych kobiet — stała się do dysputy Miąskowski, patrząc swemi wyblakłemi oczami na Wilhelma. Ja, panie, mam córkę, pannicę prawie dorosłą — dodała. To niedawne czasy, kiedy żona była całkowicie zależna od męża i było dobrze. Dziś kobieta nie da sobie odebrać swej niezależności. A symbolem tej niezależności jest pieniądz, panie, pieniądz zarobiony przez siebie. Niechby nawet miał być wydany na same fatalaszki.

— Każdy drobiazg — rzekł Wilhelm z zacięciem — każdy drobiazg, któryby kupiła sobie moja żona za zarobione przez siebie pieniądze, uważałbym za osobistą obelgę. Od robienia pieniędzy jestem ja. Wszystko, suknię czy puszek do pudru, moja żona może mieć tylko odemnie.

Żurkowa stała od kilku chwil we drzwiach.

— Ależ to typek z pana! — wybuchła. — O Boże! Współczuje tej nieszczęsnej, którą pan zwabi do ołtarza! — zbliżyła się i siadła obok przełożonej.

Halina milcząca dotąd, poruszyła się.

— O, pani Marjo, poco współczuć? — rzekła ze sztucznym spokojem. — Są tak różne kobiety na świecie. Pan Wilhelm może znaleźć taką, która w tych warunkach będzie nawet szczęśliwa.

Wilhelm spojrział na nią i odrazu zrobił się jakiś inny: pogodny, beztroski, uśmiechnięty jak zawsze.

— Dziękuję pani za słowa otuchy. Naturalnie, że będzie szczęśliwa — rzekł ciepło.

## XVIII.

Sesja maturalna była wyznaczona na godzinę piątą popołudniu w przeddzień Wniebowstąpienia, a pierwszy egzamin piśmienny miał się odbyć we wtorek po Zielonych Świątkach. Gdy przed godziną piątą Halina wyszła z domu, na ulicy spotkała spacerującą przed domem Helę Nizińską.

— Dzień dobry, Helu — odpowiedziała na ukłon. Co ty tu robisz z taką nieszczęśliwą miną?

— Pani idzie już na sesję? — odpowiedziała pytaniem na pytanie, przygnębiona i wystraszona.

— Na sesję. Ty chyba nie masz się czego obawiać?

— Och, proszę pani! — jęknęła. — Jeśli pan Sobótka się uprze, to mi da dwójkę. Ja nigdy nie będę umiała fizyki!

— O! — rzekła panna Zaborska. — Fizyka?

— Nigdy jej nie zrozumieję. Dlaczego mogę umieć matematykę, a fizyki nie? Matematyki wcale się nie boję. A zresztą poco mi fizyka, ja zdaję z matematyki i chcę wstąpić na prawo. Proszę pani, niech pani to powie na sesji!

W korytarzu pierwszego piętra rozległ się wysoki, przeciągający z rosyjska głos pani Stągowskiej.

— Idźcie do domu, dziewczynki — irytowała się na swoją klasę. — Nic się tu nie dowiecie. Pani przełożona się rozgniewa i będzie źle.

— My będziemy cichutko, proszę pani!

— My nie ruszymy się z naszej klasy!

— Pani przełożona wiedzieć nawet nie będzie!

— Pani przyjdzie po sesji i powie nam!

— Przecież my nie wytrzymamy w takiej niepewności do piątku!

Nadeszła Halina z Nicińską i zatrzymała się obok pani Stągowskiej.

— No widzi pani, jakie szalone! — gniewała się starsza dama. — Przełożona się dowie i tylko ambaras.

— Poco macie czekać i denerwować się, dziewczynki. Sesja potrwa długo. Idźcie lepiej na spacer — przemówiła Halina.

— Kiedy my nic nie będziemy przeszkadzały!

— My w swojej klasie!

Ostatecznie ósma klasa pozostała w gmachu szkolnym.

Sesja maturalna była mniej liczna niż inne, bo przybywali na nią tylko nauczyciele ósmej klasy. Wyjątek stanowiła pani Żurkowa, sekretarka Rady Pedagogicznej. Przy długim stole wszyscy mieli miejsca wybrane: przełożona u szczytu, po jej lewej ręce pani Żurkowa, obracająca swą niefrasobliwą, okrągłą twarz ku przybywającym (interesowały ją losy ósmej, nieznannej zupełnie klasy); po prawej pani Stągowska, Halina i Barczyński, a za nimi reszta. Na szarym końcu siedziała panna Szolcówna, gimnastyczka, która w przewidywaniu długiej i nudnej sesji zaopatrzyła się w jakiś haft i już rozpoczęła robotę. Pomimo wczesnej pory w starożytnej komnacie było już mroczno, więc zapalono lampę elektryczną o mlecznym kloszu u sufitu.

— Proszę państwa, zaczynamy — rzekła przełożona, podnosząc krótkowzroczne, czarne oczy z nad pliki papierów. — Przedewszystkiem odczytam państwu rozporządzenie pana kuratora dotyczące się tegorocznych egzaminów maturalnych, a potem przypomnę państwu ogólne przepisy i zasady.

Szmer wokół stołu ustał. Pani Żurkowa pochyliła swą ciemną głowę nad protokołem. Profesor Miąskowski przeglądał cichutko notes, reszta słuchała z roztargnieniem. Halina trąciła panią Stągowską i ukazała wzrokiem, ile to rozporządzeń ma im do przeczytania pani Lorencowa. Pani Stągowska westchnęła z żartobliwą zgrozą. Halina napisała na świstku czerwonym ołówkiem: „Olejarzówna, Bańkowska“ i podsunęła sąsiadce, wymownym ruchem ramion dając poznać iż do tego możnaby sprowadzić całą sesję. Pani Stągowska po namyśle dopisała krzywo do listy przypuszczalnie odrzuconych uczennic: „Mincówna?“ na co Halina gorąco zaprotestowała ruchem głowy i przekreśliła to nazwisko. Dla próby napisała „Nizińska?“ Pani Stągowska spojrzała na nią ze zdumieniem i wrzuciła zgorszona ramionami. Wobec tego polonistka podsunęła kartkę swemu drugiemu są-

Radowi, Baczyńskiemu. Ten, zasluchany, z początku nie wie-  
dział, o co chodzi, potem z miną zaskoczoną kiwnął parę razy  
głęboko głową i dalej słuchał przełożonej.

Zanim przystąpiono do właściwej sesji, wywiązała się  
jeszcze długa i nudna dyskusja na temat usadzenia uczennic pod-  
czas egzaminów piśmiennych, jałowa zupełnie, bo wkońcu się  
okazało, że wszyscy chcieli tak samo, tylko każdy inaczej to wy-  
rażał. Wreszcie przełożona wzięła do ręki wielką i cienką czarną  
księgę.

— Andrzejczakówna Marja Luiza — wyczytała uroczyście.  
Pani Stągowska, jako wychowawczyni klasy ósmej zaczęła od-  
czytywać roczne stopnie wywołanej. Krótką dyskusję wywołał  
fakt, że ksiądz prefekt nie nadesłał jeszcze stopni z religji kato-  
lickiej. Wkońcu jednak Andrzejczakówna została dopuszczona.

Gorzej było z Byszewską, której groziła dwójka z mate-  
matyki.

— W dyskusji zasypie się, że nie daj Boże — mówił Żurek,  
wiodąc spojrzeniem po zebranych. Ona żadnego zadania nie zrobi  
bez cudzej pomocy.

— Z polskiego, łaciny ma dobre — rzekła pani Stągowska,  
obronca z urzędu.

— Bardzo zdolna — potwierdził sprowokowany w ten spo-  
sób Miąskowski.

— To jest typ zdolności humanistycznych — rzekła panna  
Zaborska. — Ładnie pisze...

— Hm... Jak inne przedmioty?

Inne były dostateczne. Wobec tego rozstrzygnięcie miało za-  
leżeć od głosowania Rady Pedagogicznej: czy Byszewską należy  
wbrew tu uzasadnionemu zdaniu pana profesora Żurka dopu-  
ścić do egzaminu, czy też nie? Głosowanie po zajadłej dyskusji  
wypadło dla Byszewskiej i Żurek urażony odsunął się nieco  
od stołu.

Sesja powoli posuwała się naprzód wedle starej tradycji,  
która kazała patrzeć pobłażliwie na niedociągnięcia uczennic  
z cudzych przedmiotów, nieugięcie oceniając swój. Raz poraz  
padały zrozpaczone argumenty:

— Dopuście, dopuście ją do matury, wstyd przyniesie ca-  
łej szkole!

— Pójdzie potem na uniwersytet i tam dopiero się zdziwią,  
że za takie przygotowanie dają u nas matury!



— Ona nie idzie na uniwersytet. W domu będzie siedzieć wyjdzie. zamąż i poco jej iacina? — broniła pani Stągowska.

— Poco więc jej matura do zamążpójścia? Lepiej ją kursy gospodarstwa...

— Proszę państwa, do rzeczy! Więc jak z Mincówną?

Zupełnie niespodziewanie Pawłowska okazała się za młodą. Przełożona zdumiała się, że taka rzecz wychodzi na jaw dopiero teraz. Zaczęły z panią Stągowską przewracać księgę. Sesja ulegała przerwie. Zgromadzenie zaczęło szeptać pocichu między sobą. Pani Żurkowa utkwiała tępo wzrok w końcu pióra i zamyśliła się nad tem, czy serwetki i obrusy zostały obliczone do prania, czy nie. Nie mogła przypomnieć. Praczka nowa... Panna Zaborska zaczęła machinalnie rysować czerwonym ołówkiem na skrawku papieru jakieś gałązki. Jak to dziwnie, wszyscy, których zna, z ciemnymi oczami mają wzrok krótki, a z jasnymi dobry... Choć nie: ona sama ma oczy ciemne i wzrok dobry, a szarooka panna Szolcówna nie rozstaje się ze szklami. Nie wiedziała, że siedzi dość blisko, krótkowzroczny Barczyński mógł ją obserwować. Patrzył z powątpieniem na jej miękkie, długie włosy, spięte dwiema rogowymi szpilkami w węzeł leżący prawie na szyi; na delikatną, przybladłą cerę i na głębokie cienie wokół oczu, co wobec ciemnych rzęs i prawie błękitnych białek robiło wrażenie zmęczenia i smutku. Smutna była, to prawda. Serce młodego historyka ścisnęło się jak goryczą. Więc nie uszczęśliwiła jej miłość tego wielkiego drańca o bezczelnie śmiejących się oczach? Słodki, delikatny, spokojny kwiatuśzek i tamten intruz, zbyt żywy, zbyt gwałtowny, zbyt pełen temperamentu. A jednak podobał jej się! Sere zalewała miłość gorycz i żal.

— A więc, proszę państwa, Pawłowska niedopuszczona z powodu wieku — zabrała znów głos pani Lorencowa. — Radka Katarzyna — wywołała znów.

Zegar wybił wpół do ósmej i Halina ze zgrozą pomyślała o tych dwunastu wyczekujących dziewczętach, oddanych na łup nerwom w białej, nieprzytulnej klasie. Cóż one winne? czem służyły na taką torturę, biedne trusie? Gdy o wpół do dziewiątej wieczorem wyszła wreszcie do nich z panią Stągowską, ze strachu nie umiały słowa z siebie wydobyć. Wandzia Gomulanka, dowiedziawszy się, że została dopuszczona, z podnieconym śmiechem opowiadała wszystkim swój wynalazek na zachowanie spokoju przez cały czas powtarzała w myśli tabliczkę mnożenia.

Halina wyszła ze szkoły z panną Szolcówną. Na dworze było ciemno, bez gwiazd, ciepło i wilgotno. Widocznie przed chwilą padał deszcz.

— Trzy i pół godziny! Mam zupełnie wyjałowiony umysł — rzekła gimnastyczka, idąc żywym, sprężystym krokiem.

— Jestem strasznie zmęczona. Co za pustka w głowie! Jak to dobrze, że jutro jest święto!

— Niech mnie pani odprowadzi.

Poszły razem wgląb śródmieścia i niewiadomo kiedy siadły dla spoczynku na wilgotnej ławce małego, ciemnego, zupełnie pustego skwerku. Poprzez drzewa błyszcząca kilkoma światłami ulica; światła te kładły się długą, słabą poświatą na błyszczącej od wilgoci ścieżce. Gdzieś z niewidzialnych, bliskich grządek dochodził słaby zapach róż.

— Wie pani co, panno Halino — rzekła stanowczo Szolcówna — chodźmy do kina.

Panna Zaborska mruknęła coś niewyraźnie, bo nie chciało jej się mówić: tak dobrze było na tej ławeczce! Zrozumiała jednak, że tem nie przekona towarzyszkę.

— Poco do kina? — rzekła z leniwą niechęcią: — alboż tu źle?

— Chodźmy — powtórzyła swoje Szolcówna. — To jedyna rada na takie opustoszałe umysły. Jest film, jest podobno całkiem dobra rewja. Chodźmy, panno Halino — wstała zdecydowana.

— Późno.

— Zdałyśmy na ostatni seans, Jutro święto, wyśpimy się.

Ostatecznie poszły. Panna Szolcówna wykazała już w przedmówku taką znajomość terenu, że Halina rzekła:

— Ale pani, panno Heleno, musi tu często bywać.

— O Boże! A cóżbym innego mogła robić w tej dziurze! Kiedy mnie wyznaczono do Strzałkowa, jedyną pociechą było dla mnie to, że w tej miejscinie są dwa kina!

Weszły na schody, a stamtąd do sali. Okazało się, że są na wąskiej galeryjce, obiegającej salę z trzech stron i podzielonej na łóża. Galeryjka z obu stron prawie dotykała sceny.

— Siądźmy bliżej, zaraz będzie rewja — szepnęła Szolcówna i wepchnęła Halinę do pierwszej prawie łóża. Obraz się kończył. Halina patrząca z bardzo bliska i z boku widziała w jakiejś skośnej sali sąd i sędziów o niesymetrycznych, zbakierowanych, drgających twarzach. Głos jednego z nich dudniał glucho po angielsku.

sku. Lepiej było patrzeć na salę, która, choć nieduża, ale — oswojeniu oczu z ciemnością — okazywała się prawie pełna, Halinę zdziwiło. Takie małe Strzałkowo! Ona sama była tu przodem dwa razy.

Na ekranie tymczasem aktor o krzywej szczęce i szklanym oczach całował się z czarnowłosą bohaterką, poczem naraz zabiło się widno.

— Teraz będzie rewja. Mamy świetne miejsca — cieszyła się panna Szolcówna.

Miejsce dla orkiestry przed sceną, oddzielone od widowni barjerką, zajaśniało światłami przy pulpitach do nut, zaludnionych się. Instrumenty smyczkowe zaczęły brząkać, strojone, pianino rozmawiał z kimś z widowni, opartym o barjerę. Scenę zaciągnęto kurtyną.

— Strasznie lubię ten moment, wie pani? Kiedy tak strojone instrumenty i kiedy — o, właśnie! — na sali robi się ciemno, a w orkiestrze widno.

Orkiestra ucięła naraz jakąś podniecającą melodię. Na scenie podniósł się miły, lekki gwarek; widzowie z dalszych rzędów przynosili się szybko bliżej; kilku spóźnionych stanęło przy barjerce. Aksamitna kurtyna się odsłoniła i rozpoczęto jakiś skec. Owszem, było całkiem miło, myślała Halina, śmiejąc się wraz z innymi z dowcipów. Po skeczu był jakiś wesoły monolog, potem akrobatyczny taniec bardzo rozebranej pary, wreszcie wyszła na scenę cała w czarnych dżetach brunetka, która kołysząc się i palając błyski w swej sukni, zaczęła śpiewać jakąś piosenkę. Halina słuchała uważnie i wreszcie dosłuchała się czegoś zlekka podobnego do łaciny czy francuskiego.

— „Negro, quiero, que muca termine, muestro ardor“ — skończyła tymczasem śpiewaczka pierwszą strofę niskim, miłym głosem.

— Teraz niema innych piosenek jak o miłości — szepnęła Halina. — Zauważyła pani?

Szolcówna roześmiała się po cichu.

— Panią to gniewa?

Wzruszyła ramionami.

— Jakże może gniewać kabaretowa piosenka. Tylko to ten znak czasu. Jesteśmy widać wszyscy nastawieni na jeden ton.

Śpiewaczka tymczasem skończyła śpiewać swą piosenkę i dostała brawa. W tej chwili Halina spostrzegła, że szafiro-

...iera, zasłaniająca wejście na parter, a znajdująca się akurat  
... drugiej strony sceny, niż one, poruszyła się i wszedł Wilhelm  
... sen. Brawa trwały dalej, i on też, zatrzymawszy się w jasnym,  
... łacem ze sceny na boki światła, zaczął odrazu klaskać, poczem  
... zył się do barjerki i oparł o nią. Możliwość zobaczenia go tu  
... dla Haliny ostatnią rzeczą, jaką zdolna była sobie wyobra-  
... zyla. Pomimo swego zabezpieczenia na górze, w półcieniu, pośród  
... lu innych niewyraźnych twarzy, poczuła się znów do głębi po-  
... zona, niewiadomo, szczęśliwa czy nieszczęśliwa. To tylko było  
... ludne, że zniknęło naraz spokojne, pełne odoczynku zaintere-  
... sowanie sceną.

... Spiewaczka tymczasem po wielu brawach zdecydowała się  
... zcze zaśpiewać.

... — „Denkst du an jenen schönen Frühlingstag

... Im Monat Mai, im Monat Mai?“ — zaczęła, pokrywając  
... m ciepłym mezzosopranem marny akcent niemiecki. Niewiele  
... Na tego dochodziło do świadomości Haliny. Ukradkiem spojrzała  
... rzędo Szolcównę; lecz jej pince-nez było skierowane na scenę.

... y ba Po zniknięciu śpiewaczki jasno oświetlona scena była przez  
... skę wile pusta; aż orkiestra rozpoczęła utwór o niepokojącym ryt-  
... z z e i zawilim rysunku melodyjnym taniec słabnący, to znów,  
... potmacniający się, cichszy, to znów wznoszący się do najwyższej  
... zła s, powolny, to znów zawrotny. W chwili gdy skrzypce zawisły  
... e i z najwyższym, szybko drgającym tonie, na scenę wbiegła tan-  
... e. Płka w powłóczystej, lekkiej jak tchnienie, sukni w kolorach  
... ka pnia, z popielatym woalem w ręce. I zaczął się taniec lekki i szyb-  
... cichy i podniecający, wstrząsający utajoną namiętnością. To  
... e taniec był nawet, a płomień, wystrzelający ze sceny, wijący  
... mity po niej, przygasający w powolnych, miękkich ruchach i naraz  
... ów wybuchający w górę z rozwianą smugą popielatego dymu.  
... otka, z wielu luźnych części suknia tancerki rozwiewała się jak  
... zyczki ognia przy każdym ruchu, nie kryjąc szczupłych, nerwo-  
... ych nóg, miotających się w rytmie szalejącej muzyki; tak że  
... ewiadomo było, czy cichy, polotny krok tancerki przyspieszał  
... muzykę, zmuszał ją do szybszego i szybszego i jeszcze szybszego,  
... wrotnego tempa, czy też dzika, dziwaczna melodja podcinała  
... tancerkę, jakby biczem. Tchnienie ognia powiało przez salę.

... — S'ist Kolossal — mruknęła przez zęby Szolcówna, zapo-  
... inając o wszystkim.

Halina siedziała skurczona. Każdy ton szalejącej, zachłystu-

jącej się sobą muzyki, każdy ruch tancerki odczuwała jak fizyczny ból. W pewnej chwili szcęknięło coś przy drzwiach pod lożem Haliny i Wilhelm odwrócił z roztargnieniem twarz ku hałasowi, wycieczając natychmiast uwagą do tańca. Ten ruch głowy, postawa i napięcia zdradzały najwyższe zajęcie, ba! głębokie odczucie, co się działo na scenie. Czyż to był ten sam człowiek, tropią ją od pół roku? Poznawała raczej we wszelki inny sposób niż w ciemnym garniturze w drobne, szafirowe prążki i zobaczyła nagle stojącego w tym garniturze z założonymi rękami przy drzwiach jej okna i odcinającego jej odwrót do pokoju. Co wiedziała o tym człowieku? Co robił, wychodząc od niej? Kim on był? Cóż dane jej było zobaczyć go bez jego wiedzy, gdy nie przypuszczała, że go ktoś śledzi. Co myślał? W tej chwili, oparty o barjerkę, podziwiający wzrokiem tancerkę, napewno nie pamiętał nawet o istnieniu jej, Haliny, jej, o którą tak mu jakoby chodziło, której oporne stanowisko przelamywał chytrą, przechytrą sztuką od pierwszego dnia. Byłże to spryt, jak rzekła kiedyś Żurkowa? Ta tancerka nie była zapewne tak surowa i tak niedostępna? I na tę myśl Halina poznała nagle, jak głęboko jest jej nienawistna ta kobieta, mierząca w ognjach rozrzuconych szat na deskach sceny.

---

## XIX.

Nareszcie w piątek po Wniebowstąpieniu nadarzyła się Halina sposobna chwila do pomówienia z Madą Bekerówną. Nie było zaś rzeczą łatwą, bo dziewczyna opuszczała lekcje, przestała chodzić na zebrania kółka i unikała wychowawczyni. Rozmowa, w której została by urzędownie wezwana, nie dałaby zapewne żadnego wyniku.

Tak się więc wydarzyło, iż w ów piątek klasa siódma została godzinę wcześniej zwolniona do domu i panna Zaborska, mająca tego dnia cztery lekcje, zrównała krok już na podwórzu z wlokącą się powoli Madą. Na jej ukłon pożegnalny rzekła:

— Idziemy w jedną stronę. Może pomożesz mi zanieść te zeszyty do domu?

Nijako było odmówić. Gdy wyszły na ulicę, Halina uznała, że niema co czekać na dalszą okazję i rzekła poprostu:

— Powiedz mi, Madziu, co będzie z tobą i twoją promocją?

Zdawało się, że dźwigająca część zeszytów Mada skurczyła się jakby pod uderzeniem. Patrząc w płyty chodnika, rzekła ponuro:

— To sesja... To od sesji zależy...

— Wiesz dobrze, że to zależy nie od sesji, a od ciebie — odparła nauczycielka surowo. — Skarży się na ciebie i pan Żurek i pan Barczyński i pan Laher. Jeżeli nie nadrobisz...

— Tu już niema co nadrabiać — mruknęła posępnie i prawie zuchwale. — Przez miesiąc nic nie zrobię. A zresztą, żeby nie wiem co, pani przełożona nie puści mnie do ósmej. Już ja wiem.

— Co wiesz? — spytała ostro panna Zaborska. — Pani przełożona niczego nie uczy w waszej klasie. Żadnej dwójki postawić ci nie może. Pani przełożona ma tylko jeden zarzut przeciw tobie...

— Tylko jeden zarzut — powtórzyła półgłosem szydercz  
Ja wiem, że tylko jeden — i naraz wybuchnęła:

— Wszystkie dziewczynki u nas chodzą z chłopcami! ws  
kie! A pani przełożona tylko mnie widzi! Irma Gradzińska k  
go popołudnia włóczy się po parku z całą gromadą sztubaków  
jej wolno!

— Irma to jest Irma! — przerwała jej nauczycielka. —  
nigdy nie była jedną z pierwszych uczenic, nikt w niej nigdy  
pokładał żadnych nadziei. Irma ma rodziców bogatych, ona  
sobie pozwolić, jeśli chce, na siedzenie po dwa lata w klasie! I  
nak — zastanów się nad tem, Madziu! — Irma nigdy nie pop  
się tak gwałtownie; zawsze idzie sobie jednakowo słabo. Opuś  
dwa miesiące na jesieni, a wtedy po przyjsciu do szkoły stała  
piej z historii niż teraz! Co się z tobą stało, Madziu, gdzie t  
projekty?

Tyle żalu zadrgało naraz w głosie panny Zaborskiej, że M  
naraz pochyla głowę nisko na piersi, kryjąc twarz. Po ramion  
jej przeszedł dreszcz; po chwili dopiero odrzekła stłumio  
głosem.

— Ja... ja nie zmieniałam swoich projektów...

— Tylko o nich zapomniałaś, tak!

— Nie — szepnęła z rozpaczą i naraz znów wybuchnęła, i  
nosząc uniesioną twarz, po której spływały dwa sznurki łez: —  
pani tego nie powiem! Pani mnie nigdy, nigdy nie zrozumie! O,  
to łatwo być starszą osobą, mieć władzę i krytykować!

Stały przed furtką Haliny. Mada wyciągnęła z pod pa  
zeszyty i chciała odciąć je, gotowa do uciezki. Halinę te nagle  
na ulicy, ta twarz zmieniona poruszyły głęboko.

— Nie płacz! — rzekła machinalnie i nie przyjęła zeszytów  
Chodź do mnie. Nie będziesz przecie płakała na ulicy.

I prawie wepchała półopierającą się, rozplakaną Madę  
swego mieszkania. Zsunęła z głowy kapelusz i siadła na otoma  
pociągając za sobą swą uczenicę.

— Jeśli cię nie mogę zrozumieć, to trudno — rzekła. —  
ja nie mam teraz nad tobą żadnej władzy. Jesteśmy u mnie w n  
szkaniu, nie w szkole. Zapomnij, że jestem twoją nauczyciel  
Jeśli nie chcesz, nie mów nic Madziu, więc zakochałaś się w t  
chłopcu. Trochę wcześniej zaczęłaś, no... ale na to niema okreś  
nego wieku. Jedni wcześniej, inni później...

Mada płakała teraz cicho i rozpaczliwie, skurczona na o

anie we dwoje i kryjąca twarz w dłoniach. Halina przysmyknęła  
i przeciągnęła rękę po zmęczonej twarzy.

— Gorzej, że ci to w tej chwili bardzo szkodzi...

Mada wstrząsnęła się spazmatycznie i wyszlochała coś  
chusteczkę.

— Ja za nim nie patrzyłam... Ja nigdy nie łapałam chłopców...  
o się stało niewiadomo jak...

Halina pokiwała głową z zaciśnięciem ust, które miało wyo-  
razić uśmiech.

— Niewiadomo jak... — powtórzyła gorzko. — Jesteś duża  
dziewczyna, Madziu, byłaś zawsze taka rozsądna. Mogę chyba po-  
wziąć z tobą poważnie. Pomyśl tylko, czy to nie istny przypadek,  
że ci się podobał ten właśnie, a nie inny chłopiec? Może kiedyś  
potkałaś go na ulicy, kiedy byłaś smutna, może kiedyś wydał ci  
się nagle pod wpływem nastroju mądrzejszy czy ładniejszy... Może,  
kiedybyś wtedy spotkała innego chłopca, zakochałabyś się całkiem  
kim innym... Nie wierz wcale w to, że ludzie są sobie przeznacze-  
ni; to taki przypadek... I teraz ty, pod wpływem przypadku postę-

## WYCIĄC I ZACHOWAĆ

Wyjaśnienia: 1) Głosowanie odbędzie się załą-  
czonymi w każdym Dodatku Powieściowym „Kur.  
Por.“ kuponami, zaopatrzonymi w kolejne numery.

2) Termin głosowania wyznaczony będzie przy  
zakończeniu konkursu. Kupony zatem należy zacho-  
wywać

3) Każdy kupon uprawnia do złożenia jednego  
głosu. Każdy Czytelnik uprawniony jest do składa-  
nia dowolnej ilości głosów - kuponów.

4) Posiadacz kuponu uprawniony jest do naby-  
cia w administracji „Kur. Por.“ oddzielnych egzem-  
plarzy „Dodatku Powieściowego“ w cenie 10 gr. za  
egzemplarz.



pujesz jak szalona, psujesz sobie życie... A życie to nie jest te — w najlepszym razie — kilka lat uniesienia miłosnego, życie jest długie i ma bardzo rozmaite cele. A ty chcesz je zburzyć przez przypadek...

— Ja nie chcę go burzyć! Ja chcę wstąpić na medycynę! — krzyknęła rozpaczliwie Mada.

— Zastanówmy się — rzekła zimno nauczycielka. — Mówisz, że chcesz wstąpić na medycynę. Tymczasem postępujesz tak i tak się opuszczasz w lekcjach, że grozi ci pozostawienie na drugi rok. Przypuśćmy, że to nie zrazi twoich rodziców, że w dalszym ciągu będą wyęźać swoje szczupłe siły, żebyś skończyła szkołę i że nie zabiorą do sklepu, gdziebyś się przecież bardzo przydała. Gdzie pewność, że na następny rok bardziej weźmiesz naukę do serca? Spaść z pilności, to łatwo; ale polepszyć się, o, a jeszcze poprawić sobie opinię w szkole, to bardzo trudno. A potem — pojedziesz do Poznania? Pięć, prawie sześć lat studjów? o własnych siłach? O, Madziu, to trzeba mieć całą wolę skierowaną na jedno i niezajątą głowę.

*Dokończenie nastąpi.*

WYCIĄC I ZACHOWAC.

**Wielki Konkurs Powieściowy  
„Kurjera Porannego”**

**KUPON Nr. 30**

Tytuł powieści .....

Nazwisko autora .....

Nazwisko głosującego .....

Adres .....

te —  
jest  
przez  
!  
—  
wisz,  
tak  
rok.  
iagu  
e  
dzie  
ca?  
wić  
do  
eh?  
za-  
i.  
.....

**WIELKI KONKURS POWIEŚCIOWY  
„KURJERA PORANNEGO”**

---

ANNA MARKOWSKA

**W POTRZASKU**

Powieść z życia szkoły na Mazurach Pruskich)

***Dokończenie.***

DODATEK POWIEŚCIOWY DO „KURJERA PORANNEGO”

Nr. 29. WARSZAWA, 11 LUTEGO 1934 r.

nie. —  
tem, z  
H  
—  
ie. —  
wych c  
M  
wych  
—  
a i ta  
—  
abors  
dolna.  
—  
z z ro  
lkt ni  
esja...  
F  
—  
zaniu  
wać sw  
ty mu  
—  
forzko  
—  
wcesz  
kursu  
czy, z  
oność  
—  
neła z  
musić  
dziew  
—  
czać.

— Więc co ja mam zrobić, powiesić się? — krzyknęła gwałtownie. — Przecież czy chcę czy nie chcę, nie mogę, tak zapomnieć o tem, że on jest!

Halina wzruszyła ramionami.

— A kochaj go, skoro go już pokochałaś — rzekła niecierpliwie. — Ale czy nie możesz być na tyle rozsądna, żeby nie łamać wycych obowiązków?

Milczała przez chwilę, patrząc z nieobeszłą twarzą na nosy wycych butów.

— Mnie już nic nie pomoże — mruknęła wreszcie ochryple. — I tak nie przejdę.

— Co ci nie pomoże? Oszalałaś? — rzekła szorstko panna Zaborska. — Masz miesiąc czasu do końca roku i jesteś bardzo zdolna. Tylko zabierz się do roboty.

— To na nic — mruknęła, ocierając mokrą chusteczką resztki z rozognionej twarzy. — Ani pan Żurek ani pan Barczyński ani kt nie będzie dla mnie urządził poprawiania gdzieś przed samą sesją... I pani przełożona...

Panna Zaborska milczała przez chwilę.

— Posłuchaj Madziu, ja nie dlatego ci mówię o nieprzekraczaniu przepisów szkolnych, żebyś teraz jeszcze lepiej zaczęła ukrywać swoje spotkania z tym chłopcem. Jeśli masz przejść, te spacery muszą się skończyć.

— I pani mówi, że nie ma nademną żadnej władzy! — rzekła szorstko.

— Ja ci nie nakazuję, ja ci tłumaczę; ty możesz zrobić, co chcesz. Mogę ci przyrzec, że będziesz odpowiadała z zaniechanego kursu przed samą sesją; już ja sama oto poproszę. Ale to nie znaczy, że zdasz — zastrzegła się groźnie. — To tylko będzie sposobność do poprawienia się. Ale pod warunkiem...

— Ze się z nim nie będę spotykać — mruknęła szyderczo.

— I to naprawdę, pod słowem — dodała poważnie Halina.

Mada spuściła głowę, opierając czoło o splecione dłonie.

— Ja nie jestem człowiekiem. Ja jestem tylko uczenicą szepniętą z przejmującą rozpaczą. — Mnie można do wszystkiego przystąpić. — W Halinie obudził się naraz głęboki żal nad tą pobitą dziewczyną. Przynęła się bliżej i objęła ją w pół.

— Więc posłuchaj mnie, Madziu. Ja nie chcę was rozłączać. Może i rzeczywiście... Nie wiem, jakim jest — ale tobie mogę

wierzyć. Przyrzeknij mi, że będziesz go widywała, ale — tylko u  
bie w domu.

Mada podniosła nagle głowę. Oczy jej zabłysły i zaraz zga

— Och! mamusia nie zgodzi się, nie pozwoli.

— To twoja rzecz. Wytłumacz mamusi, że to lepiej, niż  
dywać się po spacerach, włóczyć Bóg wie gdzie. Wszystko jest ja  
cze do zrobienia, Madziu. Pomyśl nad tem i przyjdź do mnie  
tro z decyzją.

## XX.

W Zielone Świątki Halina pomimo przyrzeczeń nie pojechała  
do Kluczkowa.

Umówione było, iż zostaną po nią przysłane konie w niedzi  
łą w południe — wyjechać razem z Baisenami w sobotę nie może  
W rozmowie z panią Bertą prosiła, by nikt po nią z wyjątkiem  
stangreta nie wyjeżdżał i tak się też stało. Jeszcze w niedzielę rano  
była prawie zdecydowana jechać; lecz w południe Katarzyna  
niosła przyslanemu stangretowi krótki bilecik do pani Berty, w  
w którym Halina zwięźle, ale bardzo gorąco przepraszała — o  
przybycie, bo źle się czuła. W chwili gdy konie ruszyły pozatow  
ła nagle swej decyzji; lecz inne uczucie przytrzymało ją jeszcze  
mocniej na miejscu.

Pozostawały całe dwa dni do wypełnienia. Trudno było iść  
plebanję, gdzie wiadano, że miała być w czasie świąt w Kluczk  
wie; na myśl o wizycie u Żurków ogarniało Halinę jakieś zmie  
szanie pełne niechęci. Pozostawało jeszcze — chyba tylko kin  
Lecz kino wzbudzało w niej wyraźny wstręt, połączony — praw  
z nienawiścią. W rezultacie przeleżała całe pierwsze święto na ot  
mnie, z książką w ręku. Dzień był słoneczny, suchy i bardzo wie  
trzny; na ulicy przed oknami gęsty, porywisty kurz, pelen żdźbe  
słomy, drobnych papierków i pozrywanych liści wirował w słońcu  
szarpiąc ubraniami rzadkich, świątecznych przechodniów. Z domu  
naprzeciwko, ukrytego w owocowym ogrodzie, dochodziły blaszane  
dźwięki złego gramofonu, uporcezywie wygrywającego wciąż tę sa  
mą, idjotyczną polkę. Nuda i smutek świątecznego dnia zawisły  
w pokoju. Halina przerzuciła jeszcze parę kartek w książce, prze  
glądanej z obowiązką, z myślą o bliskim egzaminie ustnym i z na  
g'iem, głębokim zainteresowaniem zatrzymała wzrok na jednym  
wierszu.

„Gdziekolwiek jesteś, chciałbyś iść gdzieś, gdzie ciebie niema, bo gdzie ciebie niema, niema twych smutków — i twa rozpacz niema już cię nie ściga. Dalej, wiosła trąć!  
Gdziekolwiek jesteś, chciałbyś odejść precz, gdzie ciebie niema i nigdy nie będzie...”

Następnego dnia, w poniedziałek, od samego rana padał drobny, jednostajny, uporczywy deszcz, tak że Halina poszła do kościoła pod parasolką. Wnętrze świątyni o kolorowych witrażach było tak ciemne, że zapalono światło elektryczne. Nabożeństwo odprawiał wikary, krępy blondyn o krótkiej szyi, mocno zarysowanej twarzy, i zimnych oczach, kłujących jak szpilki przez nadmierne, ciemne rube szkła binokli. Fakt, że to jego widziała przed ołtarzem, a nie pastora Dammholta, a również białe, oślepiające światło elektryczne w kościele, wpłynęło na Halinę przynębiająco. Z witraża na ścianie prost niej patrzył posępny wzrokiem apostoł Andrzej; przez szybę widać było świeżą zieloność kasztanów, rosnących wokół kościoła, bitych drobnym, ciętym deszczem. Nieznosząc mdłe uczucie niepokoju, niezadowolonia i smutku przynębiała Halinę. Klęcząc, z twarzą ukrytą w dłoniach, starała się skupić uwagę na słowach odczytywanej głośno modlitwy. Co odebrało jej radość z tych dobrodziejstw? Co odebrało jej największe szczęście, zadowolenie z pracy? Gdzie się podziała jej dawniejsza, entuzjastyczna radość? Tak niedawno to było, gdy pełna uniesienia dziękowała Bogu za wszystko, pewna, że nic nie może naruszyć jej szczęścia. Zadowolona, pełna zapału dusza — gdzie ona się podziała?

Gdy wracała z kościoła, deszcz przestawał padać. Po szarem niebie przepływały szybko grube zwaly chmur, ale na ziemi nie było wiatru zupełnie. Zasiadając samotnie do obiadu pomyślała krótko o tem, jak gwarno musi być teraz przy stole w Kluczkowie — bo na drugi dzień świąt miało tam zjechać trochę gości.

Po obiedzie deszcz już nie padał i ulica zaczęła tak szybko obsychać, jak to się zdarza tylko w maju. Stojąca w oknie Halina rozważała właśnie, jakie możliwości nastrecza jej dzisiejsze popołudnie, gdy naraz cofnęła się gwałtownie, widząc postać w błyszczącym płaszczu i kapeluszu nasuniętym na oczy, zatraskującą za sobą furtkę.

Musiała sama otworzyć, bo Katarzyna gdzieś wyszła. Przede

drzwiami stał Wilhelm, z wyrazem twarzy, jak jej się przez chwila zdawało, twardym i zawziętym, lecz na jej widok złagodniał tak nagle i tak widocznie, że poprzedni wyraz twarzy mógł się wydać złudzeniem. Wszedł do przedpokoju i rzuciwszy niedbale kapelusz na ścianę, ujął obie jej ręce mocnym uściskiem z odrazu zastępnym uśmiechem na zaciśniętych ustach.

— Co pan tu robi? Dziś, w Strzałkowie?

— Przyjechałem. Czy pani rzeczywiście myślała, że będę tu siedział i bawił całe towarzystwo? Na szczęście przyjechał Henryk. On jest narazie odpowiedniejszy do roli gospodarza.

Wracali do pokoju. Wilhelm usiadł w fotelu, Halina na swym zwykłym miejscu na otomanie, lecz zaraz wstała, aby poprawić otomanę przy biurku. Podeszła do okna, zasłoniła je firaneczką, znów odświeżyła wreszcie wróciła na swoje miejsce. Przez cały ten czas Wilhelm nie spuszczał z niej ciężkiego spojrzenia z tym samym zastępnym uśmiechem.

— Berta przesyła pani pozdrowienia — rzekł wreszcie, gdy usiadła.

— Dziękuję. Co słyhać w Kluczkowie? Dużo osób zjechało.

Zaczął opowiadać bez zwykłej żywości; parę razy, spojrzawszy w okno, urwał, jakby stracił wątek. Lecz Halina podparła się żywo pytaniami, które zaczęły jej się teraz mnożyć niewiarogodnie. Co Elza porabiała? czy zdrowa? Czy pan Walldorf jest znów w takim samym kłótliwym usposobieniu? A pani Berta, czy rzeczywiście nie ma już w sobie nic, prócz brzozy? W miarę, jak pytała, na ustach Wilhelma zaczął występować całkiem inny uśmiech, ludzki i zrozumiały, niedający się zwieść pełen tklivości. Dawniejszym, żywym ruchem przeniósł się na otomanę obok niej i pochwyił ją za rękę.

— O, panno Halu, panno Halu! — rzekł z wyrzutem. — Czyż panu pani nie przyjechała? Wczoraj myślałem, że dom podpalę z powodu wściekłości, a tu musiałem robić uprzejme miny...

Jakieś błyskawiczne natchnienie ostrzegło Halinę, że uciekając teraz z tego miejsca lub choćby wyrwać ręce byłoby to rzuceniem iskry na proch; siedziała więc sztywna i wyprostowana, patrząc w okno.

— Widzi pan... pogoda... — zaczęła, doszczętnie zapominając o tem, o czem pisała w kartce do pani Berty.

— Pogoda... — powtórzył z czułością, patrząc na nią. Było zupełnie wyraźnym, iż wcale nie wie, co mówi. Wysunęła ręce i podeszła do okna. Na ulicy bawiło się już kilkoro dzieci w świątecznych

ych ubraniach, ale nie widziała tego. Usłyszała zato, jak za jej plecami Wilhelm wstał, przeczedeł się po pokoju i stanął tuż za nią, milcząc. Wtedy odwróciła się z rozpacziwą odwagą.

— Wyjdźmy na spacer, panie Wilhelmie! Drugi dzień już na ścieżkę w domu.

Gdy wyszli do sieni, zapowiedziawszy Katarzynie powrót na odwieczorek, Halinie strzeliła do głowy jевна myśl.

— Niech pan chwilę za czeka — rzekła, podchodząc do drzwi przeciwno. Ukazała się pani Schultze w świątecznej, niebieskiej sukni.

— Gut Morgen, Frau Schultze — rzekła Halina i zauważyła, jak Wilhelm poruszył się nagle. — Ich gehe spazieren geben Sie mor Rolf. Von Morgen bis Abend ist er zu Hause Es schien mir...

— Ach, ja, Fraulein, aber er ist gegangen mit Fritz — odrzecła żywo Frau Schultze, jednocześnie wdzięczna za pamięć i zdziwiona trochę, że Halina mówi do niej po niemiecku.

— S'ist Schade! — i pożegnawszy się, podeszła do Wilhelma. — Chodźmy!

Wyszli milcząc na ulicę i machinalnie skierowali się w stronę przeciwną miastu, ku działdowskiej szosie.

— Ma pani bardzo dobry akcent — rzekł wreszcie Wilhelm, usiłując nadać swemu głosowi obojętne brzmienie. — Nie będzie pani za chłodno?

— Nie, jest przecież ciepło.

Szli dalej aż do pierwszego wzgórza z za którego ukazała się daleka, szara wstęga szosy między jodłowymi lasami. Zielone łączki po obu stronach falującej drogi, umyte niedawnym deszczem, błyszczwały jaskrawą zielenią. Szosa była prawie sucha; tylko po obu jej stronach świeciła woda w rowach obrosłych niezapominajkami. Halina w dalszym ciągu zabawiła swego towarzysza zapytywaniem o mało ważne sprawy, nie uważając na to, że ten zaczął się stawać coraz lakoniczniejszy w odpowiedziach. W pewnym miejscu jednak, zamiast odrzec coś na zadane pytanie, zamilkł i po chwili dopiero odetchnawszy rzekł zdecydowanym głosem.

— Panno Halino, czy pani doprawdy ma zamiar przedłużyć jeszcze tę ciuciubabkę? Niczego pani w ten sposób nie uniknie, zapewniam panią.

Popatrzał na nią z boku. Szła elastycznym, równym kro-



kiem z nieruchomą bledziutką twarzą i spuszczołymi oczami. Było jednak takiego i w tej postawie i w tej twarzy, że Wilhelm odkrył w sobie naraz nieprzebrane pokłady czułości i gorącości tkliwego współczucia. Biedna, mała, niemądra ptaszynka!

— Panno Halu, pomimo pani starań wiem że pani zupełnie dobrze zdaje sobie sprawę z moich uczuć. Ale mnie to nie starcza. Ja chcę żeby pani to wiedziała odemnie samego. Pani nie chce domyślać, że panią kocham? Chcę, żeby pani wiedziała to napewno: tak, kocham panią, kocham, słyszy pani? i nie pada na to nie poradzi ani obojętnością, ani unikaniem mnie ani wogólnie. I tak, jak dążyłem do zdobycia życzliwości pani, czy ty słabych oznak sympatji, tak dążyć będę do tego, żeby pani została moją żoną.

Milczała dalej, nie podniósłszy jeszcze oczu i idąc szybko jakby chciała uciec. Twarz Wilhelma, patrzącego na nią, nabrało nieopisanego wyrazu łagodności i szczęścia.

— Nie ma pani do mnie nienawiści czy niechęci, tego jestem pewny, jak tego, że tu idziemy razem. Czasem zdaje mi się że... nie jestem pani tak zupełnie, zupełnie obojętny. Och, nie uciekałyby pani przedemną tak uporczywie, tak zawzięcie i tak nadremno! Dlaczego pani ucieka przedemną?

Teraz Halina zatrzymała się na środku szosy i zwróciła swą oczy o niejasnem spojrzeniu na towarzysza.

— Panie Wilhelmie... Nie umiem mówić, doprawdy... Umówmy się... Umówmy się, że już nigdy pan nie będzie poruszał tego tematu, a wszystko zostanie po staremu... Ja... nigdy nie wyjdę za pana, nie kocham pana i... to tylko przykro...

Patrzył na nią uważnie, ujawszy ją za obie ręce, aż spuścił oczy. Wtedy puścił ją i ruszyli dalej.

— Będę czekał, aż mnie pani pokocha. Gott im Himmel! Czy pani naprawdę myślała, że mnie tem odstraszy? Nie jestem zarozumiała, ale... jest coś, sam nie wiem co, co mi daje nadzieję, co mi nie pozwala smucić się pani słowami. Pani będzie moją żoną! pani będzie mnie kochała! Musi tak być, jestem pewien! Nie byłoby żadnej logiki w świecie: więc moje uczucie trafiałoby w próżnię? Miałoby się zmarnować? tak bez pożytku? Poczłoby powstało? Nie, nie wierzę, że mnie pani nie kocha, nie pokochała to niemożliwe! — wykrzyknął. — Niech mi pani spojrzysz w oczy! Niech pani teraz to powtórzy!

Wykręcił ją ku sobie i zaraz puścił, spojrzawszy na jej  
Milczał przez chwilę, jakby olśniony nagłą, niespodziewaną  
prądkawdą.

— Już wiem — rzekł cicho i uśmiech pełen zdumienia roz-  
wylał mu usta. — Pani się boi miłości. Ale to nic nie pomoże,  
ochana. Och, to nic nie pomoże: będziesz moja. Będziesz moja.

— Panie Wilhelmie! — krzyknęła. — Niech pan przestanie!  
Patrzył na jej uniesienie z uśmiechem szczęścia.

— Dobrze, przestanę. Teraz pani wie już wszystko. Teraz  
mogę czekać. Znam panią przecież na tyle, że mogłem nie spo-  
dziewać się innego rezultatu naszej dzisiejszej rozmowy.

## XXI.

Następnego dnia odbył się pierwszy egzamin maturalny  
światnienny, dla Haliny najważniejszy, bo z polskiego.

Idąc rano, przed ósmą, do szkoły, spotkała parę abitur-  
jentek, kroczących uroczyście w świątecznych mundurkach z mi-  
kami jakby się przygotowywały na śmierć, ale śmierć bardzo za-  
czystą. Na górnych piętrach gmachu, pomimo że wszystkie kla-  
y z wyjątkiem siódmej były dziś zatrudnione, panowała przy-  
gnębiająca cisza, pełna poczucia ważności chwili. Pokój egzami-  
nacyjny został urządzony w sali teatralnej, na dole. W pokoju  
została Halina całą komisję egzaminacyjną, wśród której  
zauważała się w oczy nerwowa ruchliwość i mocne wypieki pani  
Stągowskiej. Zresztą każdy był przejęty. O ósmej weszła przelo-  
żona; jej spokojna energja i opanowanie podziało przyjemnie  
na zebranych. Pierwsze formalności, jak odpieczętowanie kopert,  
uroczysty wmarsz do sali, wypisanie tematów na tablicy pośród  
podnieconego szmeru abiturjentek — przeszły spokojnie. Prze-  
łożona rzekła jeszcze parę słów objaśnienia, spojrzawszy na zegarek  
u iadła za stołem, otwierając swą podręczną teczkę z papierami  
do załatwienia; pani Stągowska zaczęła chodzić cicho między law-  
kami; Barczyński, druga dziś po Halinie ważna osoba, siedział  
apatycznie, wlepiwszy obojętny wzrok w nosy swoich półbutów.  
Halina za przykładem przelożonej kazała sobie przynieść zadania  
klasy drugiej i zaczęła je poprawiać bez pośpiechu, co chwila  
podnosząc zamyślane oczy na piszącą klasę. Reszta komisji roze-  
zła się na lekcje, które przecież szły normalnym torem.

O dziesiątej przyszedł pastor Dammholt posiedzieć trochę przy egzaminie. Postawił sobie krzesło obok przełożonej i zaczął rozmawiać z nią gardłowym szeptem, spoglądając od czasu czasu machinalnie na salę; potem urwał i chwilę milczał. Wreszcie zwrócił twarz ku Halinie, patrząc przez jakiś czas w milczeniu jak czerownym atramentem robiła szybko i prawie machinalnie poprawki w zeszytach.

— Dużo już?

— Dziewięć — odszepnęła, podnosząc głowę i obejmując spojrzeniem kupkę zeszytów. — Pewno zdąży wszystkie poprawić.

— Nie byłaś w Klutschkau? Czemu nie przyjechałaś do nas? — zaszeptał znów głośno. — Przyjdź dziś, matka cię bardzo wygładzi.

Kiwnęła machinalnie głową, zaskoczona tem, że już wiedziano na plebanji o jej niebytności w Kluczkwowie. Skąd? — drżała nagle i utkwiała nieruchome, przymrużone oczy w Andrzeja, czakównie, siedzącej w trzeciej ławce. Twarz jej, skupiona i surowa, wywołała niedostrzegalną panikę u uczennicy, która w zamieszaniu pełnem strachu dość podejrzanego nie mogła wiedzieć, że podłużne, ciemne oczy jej nauczycielki, patrząc z takim natężeniem, nie widzą jej wcale.

Egzamin trwał pięć godzin. Co godzina inne osoby schodziły z pokoju nauczycielskiego, aby odsiedzieć trochę czasu w salce, lecz przełożona, Halina i Barczyński nawet śniadanie jedli tutaj. Czas dłużył się niesłychanie i męczył przymusem pozostawiania na jednym miejscu, ciszą i monologją zajęcia. Gdy zaczęły wreszcie napływać pierwsze wypracowania, Halina odłożyła swe zeszyty, bo na dziś miała już dosyć tej udutki.

O godzinie czwartej, to znaczy zaraz po spóźnionym obiedzie, poszła na plebanję. Szczęśliwy pomysł, który przyszedł jej do głowy prawie zaraz po rozmowie z pastorem, rozwijał się i rozwijał bierał mcey, wyrastał nawet do godności jedynego możliwego rozwiązania.

Pastorowa siedziała na zwykłym swem miejscu we wnętrzu okna przy stoliku i układała jaśmin w wazonach, które jej podobała Karolina. Na widok Haliny odprawiła służącą.

— Możesz już iść, moja kochana, tutaj panna Halina mi przyjdzie może. Co słyhać u ciebie, Halumiu? Dlaczego się nie pokazałaś w święta?

— Skąd się pani dowiedziała, że nie wyjeżdżałam? — spytała.

Halina, siadając po przeciwnej stronie stołu i podnosząc gałązkę jaśminu.

— A więc to miał być sekret? Katarzyna spotkała wczoraj Krolcię i powiedziała.

— Nie, nie sekret — odzękła, wdychając woń kwiatu, trzymanego w ręce. — Byłam zmęczona i nie pojechałam...

— I tak całe dwa dni samiotka w domu? To musiałaś oczywiście potrzebować wypoczynku...

— O tak, Skąd to tyle jaśminu? Zza kościoła?

— Nie, przyjechał dziś rano wikary z Zalcu i przywiózł. Czyny, prawda? Postaw, proszę cię, ten wazon na stole.

Halina odniosła wazon na duży stół jadalniany, powróciła do swojego miejsca, milcząc.

— Nie byłam tak zupełnie sama — rzekła w końcu, tak cicho, że pastorowa nie usłyszała. — Przyjechał wczoraj pan Wilhelm, wzięliśmy spacer.

Twarz pastorowej przybrała wyraz skrytego zakłopotania, niezadowolenia i ciekawości.

— O! — rzekła wreszcie po chwili, opanowawszy się. — Chcieli być u nich goście?

— Podobno byli.

Znow zaległo milczenie. Pastorowa umieszczała gałązkę po drugiej stronie stołu, rzucając skryte i zakłopotane spojrzenia na Halinę.

— Oświadczył mi się wczoraj.

— Doprawdy? — zawołała ucieszona, zapominając o dyplomatycznym zachowaniu i opuszczając rękę z gałązką nieumiejętnie w wazonie.

— To było bardzo przykre — rzekła Halina, patrząc przez okno. — Oczywiście, odmówiłam mu i co najsmutniejsze wcale go to nie odstraszyło, jak mówi. Według mnie to jest brak godności.

Pastorowa słuchała z szeroko otwartymi oczami i zdumioną miną.

— Jakto... Jakto odmówiłaś mu? Nie chcesz... nie chcesz wyjść za niego?

— Czy to takie dziwne? — rzekła chłodno Halina, odwracając oczy od okna i kierując je na pastorową. — Oczywiście, że nie chcę.

— Ale dlaczego? Nigdy nie przypuszczałam... Zawsze się zdawało, że go dość... lubisz. Co masz przeciw niemu?

— A gdybym go nawet lubiła, czy to dosyć? Lubi się mstwo ludzi na świecie.

— Żebyś ty była taka młoda, romantyczna panienska, dziwiłabym się, gdybyś powiedziała, że wyjdiesz zamaż ty z miłości. Ale ty sama kiedyś mówiłaś, że nie chcesz wyjść z miłości. Z Barczyńskim zerwałaś, Wilhelma nie chcesz. Na ty czekasz, Halu?

— Mój Boże, więc już mam wyjść zamaż za pierwszego, którego, który się nawinie?

— Wilhelm nie jest pierwszy lepszy — odparła dotknięta pastorowa. — Jest dla ciebie o wiele stosowniejszy od Barczyńskiego. Zostałabyś już nazawsze w Strzałkowie, bez kłopotu. Ony od męża nie przenieśliby gdzieś na inną posadę. Barczyński jest katolik, z Wilhelmem jesteście jednaj wiary...

— Tak, tylko Barczyński jest Polak? — wybuchnęła nagle i zawstydzona się. Pastorowa umilkła na chwilę i przełknęła jak coś gorzkiego; uśmiechem pokryła przykrość.

— Uważaj — no Haluniu, ja przecież też jestem Niemką a mój mąż jest Polak... Przytem charakter Wilhelma znany dobrze — ciągnęła przerwana przemowę. — Pewnie, że ma wady jest uparty, może za gwałtowny, może... miał za duże szczęście w kobiet... Ale to jest murowany charakter...

— I cóż z tego — rzekła pośpiesznie Halina. — Ja za niego nie wyjdę, no, nie wyjdę. Żebyż tylko on chciał w to uwierzyć! Westchnęła i skierowała na pastorową oczy z ukrytą prośbą.

— Więc on liczy jeszcze... więc ma jakąś nadzieję?

— Ma — rzekła gniewnie Halina. — Ma nadzieję, że zmienię zdanie i już mi przyrzekł, że te oświadczenia będzie powściągnął. Otóż ja chcę tego uniknąć — znów popatrzyła w oczy pastorowej. — Ale ja go nie przekonam... Żeby pani zechciała wytłumaczyć mu odemnie... Że to jest wogóle wykluczone i niech ma mnie wcale nie liczy...

— Moja Halu — rzekła z westchnieniem pastorowa. — Nie znasz go. Przedewszystkiem on ze mną nie będzie chciał o tem mówić. Nie pozwoli sobie wspomnieć, przecież wiem... A powtóre jak go znam dwadzieścia jeden lat, jeszcze sobie nie przypominam żeby mu kto wybił co z głowy... A po trzecie, będę mówiła, wbrew

snemu przekonaniu. Bo z was byłaby dobrana para, niema co  
wić. Ale... spróbuję... — przeniosła zamyślony, zatroskany,  
ę młyny wzrok na Halinę. — Czy ty jesteś aby rzeczywiście pe-  
a, że nie chcesz wyjść za niego?

Halina zerwała się gwałtownie z krzesła — i siadła.

— Jestem zupełnie pewna — rzekła twardo, uspokoiwszy się.

Nei mogąc się doczekać pastora, pożegnała pastora i z pę-  
zam na jaśminie zeszła na dół do kancelarji. Jemu przedewszystkiem,  
emu opiekunowi, winna była opowiadanie. Pastor zajęty był  
go, laniem; na jej widok zsunął złote okulary na czoło, założył ulu-  
nym ruchem wielkie palce za pachy kamizelki i siedział, pa-  
knie na nią wyczekująco. Gdy usiadła pod obrazem, przedstawia-  
rczy ym śmierć Husa na stosie, w objęciach migistego Chrytusa,  
u. Z wiedziała mu to, co pastrowej. Nie przypuszczała, że i pastor  
zyła się tak zmartwi, choć krócej zatrzymał się na tą sprawą.

— Szkoda go, to dobry chłopak. Zastanów się Halu dobrze.

— Już się zastanowiłam — odrzekła stanowczo. — A może  
jaka pastor spróbuje mu to wytłumaczyć? Niech on mi już da spokój.

— Tha, mogę spróbować — mruknął niechętnie, pocierając  
em kark. Ale to nic z tego nie będzie. Szkoda — mruknął jesz-  
y d raz i popatrzył nieśmiało na Halinę:

— Myślałem, że następne pokolenie Baisenów będzie już mó-  
wado tylko po polsku...

Następnego dnia, gdy odbywał się egzamin piśmienny z fran-  
go nskiego i łaciny, Halina dostała wielki bukiet róż od Elzy.

— To z Klutschkau, proszę pani. Umyślnie wiozłam dla pani.  
ch, dlaczego pani nie przyjechała! — skarżyła się żarliwie, od-  
rowadzając Halinę do domu.

— Ta takżeby się cieszyła, gdybym została jej... jakże to?...  
pono tak, stryjenką — pomyślała Halina w domu; wyraz ten wpro-  
y p adził ją w rozdrażnienie. Nonsens.

W parę dni potem przyszła pani Berta. Była tak miła, tak  
h odeczna; pełna ufności, że Halina domyśliła się, iż Wilhelm nie  
j zapewne nie mówił o swym koszu. A może właśnie mówił? Nie,  
N ówczas nie zapraszałyby do siebie tak serdecznie. Z temi zapro-  
tem niami też był kłopot. Iść — niepodobna. Nie iść? Ochłodzić z pa-  
tóra Bertą stosunki, zerwać je wreszcie? Nie mogłaby tego uczynić.  
nam zamknięta w sobie, skryta kobieta, ukrywająca pod światowe-  
prek formami i zdawkową uprzejmością duszę mocno zranioną, ta

pozbawiona, zda się, umiejętności życia kobieta okazywała Halinie pełną oddania serdeczność i zaufanie. Nie były to broń Boże wyrzeka — do tych nie była zapewne z natury zdolną — ale postawa duchowa, w której nie wyczuwało się samoobrony przed obcą osobą. Pani Berta wydawała się wtedy — rzecz najdziwniejszą — swobodną i pogodną wewnątrz. Wyglądało to, jakby wyczuwała w Halinie takie właściwości, które pozwalały wyprostować i przypodnieć jej przetrąconej duszy.

Najprzykrzejsze było w całej historii, że Strzałkowo stało tak małe miasto, iż w każdej chwili mogła gdzie wpaść Halina. Na myśl o tem robiło jej się niewiarygodnie ciężko i przykro. Dałaby wszystko, aby go już nigdy nie zobaczyć. Tymczasem pierwszy raz od tej chwili, kiedy żegnał ją w drugi dzień świąt przy jej domem (mimo wszystko nie chciał jednak wstąpić na ów przygotowany podwieczorek), zobaczyła go u Żurków. Nie była na niego zupełnie przygotowana i długi czas upłynął, nim ochłonęła. W tym czasie nie przypominał odpalonego Barczyńskiego. Nie unikał jej wzroku, nie unikał rozmowy z nią, był niby jak dawniej napastliwy i czczo żywy i wesół; lecz posadzona nawprost niego przy stole Halina, w skrytych, niedostrzegalnych, jak jej się zdało, spojrznięciach wyczuła odrazu zmianę. Coś było nowego, nieznanego w sposobie, w jaki zaciskały się kąci jego ust przy uśmiechu; coś nowego w głosie i coś nowego, nie dającego się ukryć, w spojrzeniu. Był może pod wpływem późniejszych rozmyślań stracił widocznie część tej bestroski, z jaką żegnał wówczas Halinę. Wyczulona wrażliwość Haliny poznała, mimo ludzących pozorów szczęścia, że przeszedł jednak, tak jak obiecał, do porządku dziennego nad odmową, że cierpiał i że — był zdecydowany nie okazać tego cierpienia, nawet, gdyby mu ono miało pomóc w walce z Haliną. I natknęła się wreszcie Halina na czynnik nie brany dotychczas pod uwagę w jej obliczeniach.

## XXII.

W parę dni potem, wracając w deszczowe popołudnie z miasta do domu, Halina zauważyła zdaleka błyszczący ciemny płaszcz masunięty na oczy kapelusz. Niesposób było wyminąć, czy uchylić — i jakież było jej zdziwienie, gdy z pod uchylonego kapelusza wyjrzała twarz Pawła Walldorffa.

— A to mam szczęście, raz przyjeżdżam do Strzałkowa i

Halina panią spotykam! — zawołał wesoło, witając się. — Dokąd pani idzie? może do Baisenów? Idziemy razem!

Ledwie mu wytłumaczyła, że wraca do domu i wtedy zaproponował, że ją odprowadzi.

— Czemu pani nie była wtedy w Kluczkowie? Myślałem, że z wami trochę potańczymy, jak w urodziny pani Berty. Oj, panno Halino, panno Halino! nie trzeba tak robić na złość swoim bliźnim — zakończył, śmiejąc się.

— Mam nadzieję, żeście się państwo dobrze bawili.

— Dość dobrze; jeździliśmy łódkami, tańczyliśmy. Mieliliśmy na jeziorze przygodę — Wilhelm nie opowiadał pani?

Zaczął opowiadać jakąś przygodę. Miał miły, koleżeński sposób bycia, pozbawiony zarówno sztywności jak i poufalości, i ów niewidoczny prawie odcień przyjaźni pełnej szacunku, jaką się ma do kobiety, którą niewiele znamy, ale której z jakichś wiadomych przyczyn należy się ten właśnie sposób traktowania.

— Wilhelm jest dobry chłop, ale nie trzeba mu się sprzeciwiać — rzekł w końcu bez widocznego związku z tematem poprzednim. — Choć ja właśnie powinienem gonić go przed panią: przyrzekł mi załatwić jedną ważną rzecz i ani rusz.

— On myśli, że my jesteśmy zaręczeni — przemknęło nagle przez myśl Halinie. — Tutaj już mieszkam panie Pawle.

Pożegnała go i weszła do domu mając po tej rozmowie uczucie, że jednak coś należało zrobić, coś powiedzieć. Usiłowała w końcu pocieszyć się tem, że przestaną wszyscy wierzyć w te bajki, gdy odsunie się od Baisenów, co trzeba zrobić koniecznie.

Nazajutrz po czterech lekcjach weszła do pokoju dyrektorki.

— Zwolniłam piątą klasę, proszę pani, i jestem — urwała nagle, widząc siedzącą z drugiej strony biurka panią Baisenową w brązowym jedwabnym płaszczu. Przywitały się serdecznie.

— Ja w sprawie Elzy, panno Halino. To ta wycieczka harcerska... Elza wybiera się koniecznie, bo podobno panna Szolcówna zgadza się zabrać i nie — harcerki... Boję się, że to nie dla niej. Muszę się jeszcze widzieć z panną Szolcówną, bo pani przełożona mówi...

— Telefon do pani przełożonej — rzekła sekretarka, wsuwając głowę przez drzwi. Pani Lorencowa wyszła. Halina usiadła na drugim krzeselku przy biurku.

— Źle pani wygląda, panno Halino. Musi się pani przemę-



czać — rzekła pani Berta, patrząc na bladą cerę i podkrążone oczyma nauczycielki.

— Ba! tyle pracy. W poniedziałek ustne egzaminy matury, a potem końcowy okres innych klas, wreszcie może egzaminy dla nowowstępujących.

— Na kursie już pani nie uczy?

— Uczę, też egzamin w przyszłym tygodniu. Pani nie ma pojęcia, co za piekło. Wszystko naraz.

Pani Berta patrzyła na nią długo nieokreślonym wzrokiem.

— Szczęśliwa kobieto — rzekła wreszcie nawpół żartem, nawpół smutnie. — Ale to pani nie upoważnia do zaniedbywania przyjaciół. Nie pracuje pani przecież jednym ciągiem. Proszę przyjść koniecznie! Zawsze jestem w domu.

Raczej należało właśnie nie iść. Halina uczuła głuchy żal do Berty, że nie chce zrozumieć, dlaczego wypada jej unikać ich. Po raz pierwszy miała za złe swej przyjaciółce, że jest tak zapatrzona — może w głąb siebie, a może w głąb przeszłości, kto to mógłby wiedzieć, że nie widziała jasnych i zrozumiałych sytuacji dookoła siebie. Jeśli przestaną bywać, weźmie to z pewnością na swój rachunek i jeszcze się tem przejmie — myślała z wiarą. — No to trudno! Nie będę płaciła za cudzy nieszczęśliwy charakter.

W parę dni potem zmieniła jednak trochę postanowienie. Jeśli Berta rzeczywiście nic nie rozumie, należy jej się przynajmniej wytłumaczenie. Niech nie obciąża tak wszystkim siebie. Ale w drodze do willi Baisenów instynktowna głęboka niechęć do opowiadania o tem co zaszło między nią a Wilhelmem wpłynęła jeszcze raz na zmianę postanowienia.

— Dopiero jeśli nie będzie mi dawał spokoju w dalszym ciągu, opowiem — i zerwę z nimi.

W willi okazało się, że pani Berta jest niezdrowa, nie wychodzi ze swego pokoju, ale że, przewidując przyjscie Haliny, kazała ją przyprowadzić do siebie. Po raz pierwszy Halina powędrowała ścieżkami schodami na górę. Dom zdawał się wyludniony. Pokój pani Berty, tak jak jej salonik na dole, utrzymany był w kolorze perłowo - szarym. Pani Berta leżała na kanapce z książką.

— No, nareszcie panią widzę — rzekła serdecznie, podnosząc się i upuszczając książkę na ziemię.

Na pytanie Haliny o zdrowie spochmurniała jakby i odrzekła prawie z niechęcią, że głowa ją trochę bolała i że nic jej nie jest.

roza bólami głowy wogóle nigdy nie choruje — rzekła, wzruszywszy nieznacznie ramionami i odwróciwszy głowę do okna, jakby ten fakt wydawał jej się wciąż niezrozumiale dziwny. Dalsza rozmowa czytanej książki — była to „Czarodziejska góra“ Manna — rozmurzyła twarz pani Berty.

— A gdzie Elza? nie u pani? — rzekła w końcu, rozglądając się, Halina.

— Wysłałam ją by odrabiała lekcję. Była na mnie przez trzy dni obrażona za tę interwencję u panny Szolcówny; dopiero dziś się przeprosiła.

— Czy pani jest pewna, pani Berto, że takie wycieczki zaszkodziłyby jej? — rzekła nieśmiało Halina. — Ja przepraszam, że się wtrącam, ale szkoda mi dziewczynki. Nie wygląda przecież na węższą od swych koleżanek. Państwo chowają ją tak delikatnie... Chyba, że jakieś wyraźne dane...

— Wyraźne dane — powtórzyła pani Berta w gorzkim zamysleniu i spuściła oczy.

— Pani wie chyba, że dwoje moich dzieci umarło na gruźlicę? — rzekła szczerze.

— Wiem, że umarły — odpowiedziała oszolomiona Halina. Na gruźlicę? Ale to przecież niczego nie dowodzi. Przecież pani jest zdrowa. Chyba że pan Baisen...

— Och, oni są zdrowi — rzekła z goryczą. — U nich umiera się na uwiad starczy. Ja też jestem zdrowa. Ale to właśnie niczego nie dowodzi. Zapóźno zastanowiliśmy się nad tem — a zwłaszcza ja — że w mojej rodzinie były wypadki gruźlicy.

— Ależ to nie mogło być dziedziczne!

— Ja tego nie wiem — rzekła prawie wrogo. — Ja wiem tylko, że moje dzieci też umarły na gruźlicę. Elza jest moim jedynym dzieckiem — a pochfili dodała:—No, i jedyną spadkobierczynią mojego męża.

Dużo czasu upłynęło, nim Halina ochłonęła z wrażenia, wywołanego temi rewelacjami. Mówiły już całkiem o czem innem, gdy przyszedł Henryk Baisen.

— Można? spytał stojąc u progu i na twierdzącą odpowiedź wszedł, przywitał się z Haliną i pocałował żonę w rękę.

— Powiedziano mi, że pani tu jest — rzekł, siadając ciężko na taborecie pod oknem, tyłem do światła i uśmiechając się do Haliny. — Taki rzadki gość... Jakże twoja głowa? nie boli cię już? Nie zejdziesz na dół na herbatę?

Zejdę, tylko się muszę ubrać. Zabawiaj tymczasem pa  
Halinę — zekła wstając.

Łatwo to było powiedzieć. W obecności tego ciężkiego, pos  
nego mężczyzny o nieruchomem spojrzeniu Halina czuła się  
swoja. On też był niebardzo wielomówny. Gdy wreszcie otwor  
już usta, by coś powiedzieć, na korytarzu za drzwiami dał się  
raz słyszeć tupot nóg i niecierpliwy głos:

— Och, stryjkę, prędzej!

— Zaraz, zaraz!

Henryk Baisen popatrzał na Halinę i pokiwał głową, pe  
ironicznego ubolewania. Obydwa głosy były polskie.

— Słyszysz pani? Zmiany — ho, ho! — w moim domu... E  
teraz Wilhelm... — kiwał głową, patrząc na nią oczami, z który  
poprzez kpiący uśmiech wyglądała ironiczna pogarda i smutek  
ten goryczy. — No! już jesteś gotowa? — zwrócił się do wcho  
cej żony. — Więc chodźmy na dół. Może weźmiesz mnie pod ręk

Jego uprzejma troskliwość musiała zrobić dobre wrażenie,  
też Halinę dotknął ton głosu pani Berty:

— Nie potrzeba! POCO? Czuję się zupełnie dobrze.

Na herbatę zjawili się Wilhelm i Elza, zdumieni, że nie w  
dzieli o obecności Haliny. Zwłaszcza Elza była niepokieszona.

— No! raz chociaż nie dręczyłaś panny Haliny swoim g  
dulstwem — zamruczał głośno Henryk Baisen.

— Ja nikogo nie dręczę! — obruszyła się Elza. — Mogę wo  
le nie mówić!

— Oho!

Ale Elza umilkła naprawdę, usiadłszy naprzeciwko pan  
Haliny i uśmiechając się do niej uwielbiającym, radosnym wzr  
kiem, pełnym tajemniczego porozumienia, szczęśliwa, ilekroć mog  
podchwycić spojrzenie swej nauczycielki. Wilhelm siedział ob  
Haliny dość milcząco, tak że nie musiała na niego patrzeć, zaję  
rozmową z Bertą.

— Pani wychudnie na patyk, panno Halino. Jak długo jeszc  
ma pani zajęcia?

— Daleki termin, niema co wzdychać do niego — uśmie  
chnęła się. — Prawie do lipca.

— Przecież lekcje się kończą osiemnastego! — wyrwała s  
Elza. — A potem wakacje!

— Dla ciebie już będą wakacje — a nie pomyślałaś o tem,  
ktoś przecież musi być przy egzaminach wstępnych?

— Prawda... A ja wtedy już będę w Klutschkau — zatros-  
ła się Elza.

Pani Berta objęła roztagonem pojrzeniem twarz córki i po-  
myśle zwróciła twarz ku Halinie.

— Niech pani zrobi mi tę przyjemność, panno Halino, niech  
się pani przyjedzie do nas na lato do Klutschkau.

Ten nagły projekt oszołomił Halinę.

— Ależ...

— To jest dobry pomysł! — poparł odrazu Henryk. Przyda-  
ć się pani trochę świeżego powietrza, no, a te dwie damy będą za-  
wycone.

— Aleś mnie ubrał! — rzekł Wilhelm. — Gdy raz wreszcie  
zdarza, że w Kluczkowie nie będzie nudów — to ja muszę lato  
zesiedzieć w Poznaniu.

Henryk podniósł powoli głowę, aż światło lampy zaśniło w je-  
go niebieskich oczach.

— Nie! czy ja dobrze słyszę? Przecież sam ofiarowałeś się  
jechać do Poznania!

— Boś mnie namówił — mruknął niepewnie i zaraz zakoń-  
czył: — Ano, stało się. Powinieneś teraz dla zachęcenia panny Ha-  
liny powiedzieć do mnie tak samo, jak do Elzy, że na szczęście dla  
niej nie będę jej zdręczał rozmowami. I to jest coś warte, praw-  
da, panno Halino?

— Ależ ja... dziękuję bardzo za zaproszenie, ale muszę od-  
wiedzić matkę... Tak rzadko się widujemy!

— A więc jedziemy razem do Poznania! To wolę, oczywiście —  
rzekł Wilhelm.

— Niech się pani jednak namyśli — nalegała Berta. — Prze-  
cież nie będzie pani siedziała przez dwa miesiące w Poznaniu.

— Przyjedziemy kiedy samochodem do Kluczkowa! Nie taki  
to znów koniec świata. Prawda, panno Halu? Złożymy im wizytę —  
rzekł już całkiem bezczelnie Wilhelm.

— Wątpię, czy to się uda — rzekła chłodno. — Nie, oczywiście  
nie będę siedziała przez dwa miesiące w Poznaniu; nie wiem  
jeszcze, co zrobię z wakacjami. Tak jeszcze do nich daleko! Poco-  
muż robić plany?

— A jednak bardzobym chciała, żeby pani do nas przyjechała.  
Muszę panią jeszcze namówić.

Reszta wieczoru upłynęła na robieniu pięknych projektów.

Gdy wreszcie Halina postanowiła iść do domu, Wilhelm wziął  
czapkę i kapelusz. Zaprotestowała:

— POCO ma pan mnie odprowadzać? Czyż tak późno? Czy  
ma nie potrafię wrócić?

— Nie będzie pani szła sama na drugi koniec miasta  
oświadczył obojętnie. Wyszli razem.

— Można wziąć pod rękę?

— POCO? nie jest ślisko ani ciemno.

Szli w milczeniu, szybko, bo Wilhelm musiał stosować kroki  
do kroku Haliny. Wreszcie rzekł cicho:

— Czy pani gniewa się na mnie za dzisiaj? Nie będę już panu  
więcej dokuczał. I niech pani przyjedzie do Kluczkowa. To nie by  
ukartowany spisek na panią; to naprawdę nagle natchnienie Ber  
ty. Ja sam — pewnie, że wołałbym, żeby pani była w Poznaniu; ale  
dla pani lepiej jechać na wieś.

Aż zadrżała na ten ton skruszony i troskliwy i naraz poczuła  
przyływ odwagi. Zatrzymała się.

— Panie Wilhelmie, raz porozmawiajmy rozsądnie! Niech  
pan doprawdy przestanie o mnie myśleć! Jakżeż mam panu wytłu  
maczyć, że za pana nie wyjdę?

— Przecież mi to pani już wytłumaczyła — rzekł z udanym  
zdziwieniem.

— Panu całkiem inna żona potrzebna... My ani na jednym  
punkcie nie nadajemy się dla siebie..

— Skąd pani wie, co mnie jest potrzebne? — rzekł prawie  
wyniośle, porzucając poprzedni ton. — Ja wiem, że pani... Ja chcę  
tylko pani.

— Ale ja się nie zgodzę! Więc dlaczego pan... więc dlaczego  
pan... Dlaczego pan o tem jeszcze myśli? Dlaczego pan nie daje  
mi spokoju?

— Jakże to — ja nie daję pani spokoju? — rzekł cicho. Je  
żeli jestem pani obojętny... Przecież pani jest ze sobą w porządku;  
nie zwodzi mnie pani, nie zostawia żadnej nadziei... Cóż pani szk  
dzi pomyśleć, że to jest taka moja nieszkodliwa manja: ta myśl,  
że pani musi zostać moją żoną. Jeżeli jestem pani obojętny... Jeżeli  
jestem pani naprawdę obojętny... Dlaczego ręce twoje drżą?

Wyrwała mu ręce i ruszyła przed siebie. Szedł obok niej.

— Zdobędę twoją miłość; ja wiem, że tak będzie. Nie może  
stać się inaczej. Żadne twoje słowa nie odbiorą mi tej pewności.

Nie trudź się; ja wiem, nie wyjdiesz za mnie, nie chcesz, żebym sprawiał sobie zawód przez ciebie, tak? A jednak będziesz moja, Koch, będziesz kiedyś moja.

— Niech pan uwierzy... że nigdy! Nie chcę, żeby pan się... no, unieszczęśliwiał taką niemożliwą idée fixe!

— Nieszczęśliwy? Ależ ja nie jestem nieszczęśliwy. Nie może być nieszczęściem to, co pochodzi od ciebie. Jesteś uparta i skryta, chowasz się pod pancierz wyniosłej rezerwy i sztucznego chłodu. Ale to wszystko, to ty: bądź taką, jaką jesteś, taką cię przecież Kocham, niechętną i uciekającą. Idée fixe? niech będzie idée fixe. Kocham cię.

Dobrnęli wreszcie do domku Haliny. Pożegnała go i prawie uciekła. Nie zapalając światła, zostawiła kapelusz w przedpokoju i przeszła pociemku do sypialni. Przez niezastłonięte okno srebrzyste światło księżyca oblewało cały pokój, uwydatniając wszystkie szczegóły z tajemniczą dokładnością. Halina podeszła do łóżka i padła na klęczki.

— O Boże, Boże — szepnęła żarliwie z przejmującą wiarą i błaganiem. I naraz — znikła gdzieś cała modlitwa w nagle spadłej bezmyślności. Zapatrzyła się w srebrny księżyc, płynący szybko po podbialemy, pierzastemi chmurkami.

— Tu niema rady — pomyślała, tępo zapatrzona. — Tu niema żadnej rady...

### XXIII.

Mniej więcej w połowie czerwca, po zakończeniu egzaminów maturalnych, a przed końcem roku szkolnego odbyła się w gimnazjum żeńskim w Strzałkowie zwykła doroczna jednodniowa wycieczka do lasu. Uroczystość ta miała swoją tradycję, według której wszystko się odbywało. Na wycieczkę szły zwykle wszystkie klasy i wszystkie wychowawczynie wraz z dyrektorką.

O godzinie ósmej rano gruby wąż ustawionych w czwórki dziewcząt zaczął się wysuwać z gwarem zza szkolnej furtki. Szły najpierw uczennice ze starszych klas, potem młodszych, wszystkie prawie zaopatrzone w potężne zapasy żywności. Na końcu kroczyła pani Lorencowa z kilku nauczycielkami, mrużąc swe bystre, czarne oczy, ilekroć która z uczennic odłączała się od pochodu, by wpaść jeszcze do jakiego sklepu z cukierkami.

— Pogubią się po drodze. Hej, dziewczynki, nie wolno już teraz się odłączać! Wracajcie do szeregów!

Dopiero jednak gdy minięto ostatnie miejskie domki i parki, w szeregach zapanował jaki taki ład. Młodsze dziewczynki, podniecone wycieczką, przekrzykiwały się między sobą, ale szły równo. Idąca na czele starszych panna Szolcówna dała hasło do śpiewu.

„O mój rozmarynie, rozwijaj się...”

Przed dwoma dniami padał deszcz i na szosie działdowskiej nie było wcale kurzu. Widok łagodnych, zielonych wzgórz, porośniętych jodłowym lasem, znany przecież wszystkim uczniom, wzbudził znów wybuch radości, bezwiednie tęskniących do przyrody małych mieszczuchów. Młodsze chciały już przeskakiwać pełne wody i niezapominajek rowy i biec poprzez wzgórza do lasów; inni od razu zajęły się zrywaniem kwiatów. Pochód się rozluźnił.

— Hej, leniuchy, czy chcecie na wieczór dojść do Rybnickiego jeziora? — podniosła stanowczy, energiczny głos Żurkowa.

— Olejarzówna, Hyńcówna, z rowów! Do szeregów! Markowska!

Skrecono wreszcie z szosy w boczną drogę, która niebawem zagłębiła się w wysoki, ciemny las jodłowy. Ciemnostalowe pnie grubych drzew, rozwijających swe posępne gałęzie dopiero u góry, ziemia, na której spod rudych, śliskich igieł nie wyjrzała ani jedna trawka, brak liściastego porzycia robiły smutne wrażenie. Szeregi umilkły. Dopiero, gdy droga zaczęła powoli zsuwać się na dół, rozbrzysły tu i owdzie jasnozielone krzaki leszczyny; niebawem las stał się liściasty, wesoły, szumiący i pełen słońca.

— Proszę pani! Tu! Już tu! Taka śliczna polanka!

— Och, tu muszą być jeszcze konwalje!

— Zostańmy tutaj!

Ale nieubлагana panna Szolcówna prowadziła wciąż dalej, omijając ku oburzeniu uczenic jasno-zielone, pełne słońca polanki. Dopiero, gdy drzewa rozstały się, odstawiając z pochyłości widok na rozległe, szafirowe, zagubione wśród lasów jezioro, ogólny okrzyk zachwytu obiegł szeregi. Rozłożono się w cieniu lasu. Każda z wychowawczyń obrała punkt zborny dla swej gromadki, zapowiedziała, że nie wolno zbyt się oddalać i łamać gałęzi, po czym rzucili się wszyscy na zapasy żywności. Zaraz potem porozchodzili się dziewczęta po lesie, który ożywił się licznymi głosami. Niewiele tylko leniwszych, bardziej apatycznych czy bardziej zmę-

zonych pozostało na miejscu, leżąc i wpatrując się w czubki zielonych drzew, w błękitne niebo lub w jezioro, w którym po przeciwległej stronie odbijał się czarny jodłowy bór.

Obóz nauczycielski został rozłożony tak, by mieć na oku całe jezioro i mogące się zbliżyć do jeziora uczenie.

Na zalanej słońcem łączce, prawie tuż nad wodą siedziało kilka starszych dziewczynek z poślanianemi głowami. Nie zdradzały żadnych zakazanych planów w stosunku do jeziora; i tak patrząc na nie zdawało można było nawet przypuszczać po ich gestach i ożywionych głosach, że niewiele zajmowały się obecnem otoczeniem.

— Żydówka! Jestem może lepsza Polka niż ty! Co cię obchodzi? — wołała z uniesieniem Lichtenfeldówna.

— Uspokój się, głupia Eda, masz się czem przejmować! — la-godziła Zagorzałówna. — Irma! wstydzilibyś się! Wszystkie jesteś-my koleżanki i nie wolno nikomu ubliżać.

— A cóż to, ubliżenie? — wyduła wargi Gradzińska. — Ja tam nie uważam za obelgę, że mnie ktoś nazwie Polką.

— Ale obrazisz się, jak cię kto nazwie Niemką, a tyle samo będzie miał słuszności co ty w stosunku do Edy.

— Jakto Niemką? — zaperzyła się.

— Bardzo proste! — krzyknęła Eda, podnosząc zaczerwienioną twarz z nad kolan. — Jeżeli ty pamiętasz mi to, że moi rodzice byli kiedyś mojżeszowego wyznania, to ja też mogę coś powiedzieć. Że ktoś ma polskie nazwisko, to jeszcze nie dowód!

— Cicho, uspokójcie się panny — wtrąciła Ludka, przyzwyczajona do przodowania we wszystkich koleżeńskich sprawach. — Tu mało kto ma prawo robić narodowościowe wyrzuty. Będą sobie nawzajem wymawiały swoje pochodzenie, Millerówna z Fichtówną! Dobrze!

— To wcale nic nie ma wspólnego z nazwiskiem! — wykrzyknęła Krysią, zwracając swą zaczerwienioną, spoconą twarz z przyklejoną do czoła grzywką ku Ludce. — Bo jakby chodziło o nazwisko, to nie moglibyśmy uznać za Polaków ani pani dyrektorki, ani pana pastora i wogóle u nas mało kogo. A to jest nonsens.

— A pan pastor zawsze mówi „nasz wielki wieszcz Mickiewicz“ — zadrwiła łagodnie Hela Moroniówna.



— Musi być jakiś inny miernik, musi być. Nazwisko nic nie znaczy.

Milcząca dotychczas Joasia Mejerówna podniosła ciemną głowę.

— Pewnie że jest — rzekła. — Najwięcej znaczy to, za kogo ja sama siebie uważam i jak ja czuję. To wystarczy.

— To wystarczy — powtórzyła z gorzką ironją Eda. — Dla kogo wystarczy? Dla ciebie może, ale inni zawsze ci wytykają że twój dziadek mówił w domu po niemiecku albo chodził do bóżnicy.

— Szczęśliwaś, Joaśka, że ci to wystarczy. Mnie nie — rzekła Hela Moroniówna, której matka była Niemką. — Ja nierzadko myślę nad tem, kim my jesteśmy. Wy, Ludka, Kryśka, nie mieszajcie się do naszych rozmów, wy wiecie, kto wy jesteście. Ale my? Kiedyś rodzice wychowywali dzieci i był spokój, narodowość przechodziła z ojca na syna i już. Ale dziś chodzimy do szkoły. Mówisz o poczuciu? Szkoła wyrabia we mnie jedno poczucie, dom drugie. Kto my jesteśmy? Kto ty jesteś, Joaśka? Żeby twój ojciec żył, toby się roześmiał, gdybyć mu powiedziała, że się czujesz Polką. Kto ty jesteś, Elza? Ty sama mówisz w domu po niemiecku.

— O, zostaw mnie! — krzyknęła niechętnie Elza, słuchająca dotychczas z napięciem. Zerwała się i uciekła nad sam brzeg jeziora, gdzie siadła tyłem do koleżanek.

Jej ucieczka nie wzruszyła wcale Heli, która zwróciła się teraz do Jaśki.

— Ty mówisz o poczuciu. Co to jest to twoje poczucie? Może to jest tylko chwilowy wpływ szkoły? albo taki sobie polityczny nastrój? albo już bo ja wiem, co? Ja muszę mieć bardziej umotywowany pewnik.

— No to jeśli ci nie starcza ani pochodzenie ani własne poczucie, to nic bardziej umotywowanego nie znajdziesz — odpowiedziała jej spokojnie Joaśka.

— Mylisz się — przerwała jej wyniośle Ludka. — A ja ci jeszcze jeden dowód znajdę. Ty, Helka, a poco ty tak latasz na nasze zebrania literackie? Dlaczego chciałaś pasy drzeć ze współczesnych Słowackiego albo co ciebie obchodzi Łukasiński? Dlaczego wagarujesz, jak nam Stągiew czyta „Werthersleiden“?

— My wszystkie latamy na zebrania kółka — pośepnie odpowiedziała Hela. — Pewnie, że to jest ciekawe, Zaborzyca jest miła.

— Ale pomyślcie tylko panny — podniosła rozpaczliwy głos. — Czy my nie dlatego właśnie latamy na te zebrania, że to jest dla nas emn... szotyczne? Ja nie umiem wam powiedzieć, ale może jakbyśmy naprawdę byli Polki, no toby nie tak nas ciągnęło to wszystko, kogoś to... bo to byłoby dla nas nie nowe. Ja nie mówię o treści,oczywiście.

— Ty Hela masz dręczycielskie usposobienie — rzekła rozpaczliwie Magnięta na trawie Krysia, gryząc źdźbło trawy. — Żeby Mada nie była w takim gorliwie - naukowym nastroju i żeby tu przyszła z nami, toby ci najlepiej odpowiedziała. Mnie tam nigdy do głowy nie przychodzi, że ty się czujesz Niemką.

— Ja nie mówię, że się czuję Niemką! Oszalałaś, czy co? — przyknęła rozpaczliwie Hela. — A że ty.. albo ty uważacie nas za Polki, to i cóż z tego? Jesteśmy tu w tym Strzałkowie tak na dooku, na granicy, tak przypadkowo w Polsce; ale żeby tę granicę poprowadzono o kilka kilometrów bardziej na zachód, byłybyśmy w Prusach Wschodnich. A jak pojedziemy do Warszawy albo do Krakowa, to będą nazywać nas „Niemeczki“, jak moją siostrę, będą śmiać się z naszego niemieckiego akcentu i pytać, czy śpiemy pod pierzynami. Bo tam jest właściwa Polska. A do tego jeszcze prawie wszystkie jesteśmy ewangeliczkami.

— I Mikołaj Rej był ewangelikiem — przerwała triumfalnie Irma.

— A Wincenty Pol był w młodości Niemcem — dorzuciła zarumieniona Elza, która dawno już siedziała skryta za Edą.

— Myślisz, że ja nie widzę śmiesznych stron w tym naszym gorliwym pędzie do polskości — zabrała głos Joasia, opierając łokieć na kolanach. Są jeszcze gorsze rzeczy. Jak nam Zaborzyca opowiadała o Stanisławie Augustie i pokazywała Łazienki, to każda była taka dumna jakby to jej dziadek czy pradziadek robił projekty pałacu; albo te, co były na wycieczce w Krakowie; jakby jej przodkowie przyczynili się do powstawania tamtej kultury. Cóż ja mam być dumna z tego albo tamtego; gdy Sobieski łupił Turków, to mój pradziadek był w najlepszym razie niemieckim chłopem u niemieckiego pana. A teraz przychodzimy do gotowego i chwalimy się księciem Józefem i Żeromskim, a to wcale nie jest nasze, bo myśmy na to nie zapracowali. To wszystko jest prawda, no, ale co z tego? Kiedy cała ta prawda

nie nie pomoże i ja się czuję Polką i nic mnie nie obchodzi. Nie zarobiliśmy na tę kulturę, do której się przyznajemy? No to może jeszcze zarobimy.

Co chwila wybuchający gwar głosów dochodził aż do miejsca, gdzie siedziały nauczycielki. Obecnie były tu tylko przełożona i polonistka.

— To moje dziewczynki — stwierdziła leniwie panna Zaborska, oparta o pień drzewa. — Ciekawam, o co się tak kłóścą.

— Najstarsze teraz w szkole — z żartobliwą dumą stwierdziła przełożona. Istotnie: ósma klasa, po egzaminach maturalnych już przecież nie istniała.

— To dobry zespół — rzekła z uznaniem panna Zaborska. — Tamte były za bardzo zajęte sportem; te są intelektualistkami.

— Jak też pójdzie ich matura, mój Boże — rzekła z troską przełożona. — Niema nic gorszego, jak zmiana nauczyciela w ósmej klasie. I żeby chociaż nam przysłano historyczkę, nie historyka — możnaby lepiej obsadzić wychowawstwo.

Panna Zaborska patrzyła na dyrektorkę szeroko otwartymi oczami.

— Historyczka? — rzekła po chwili. — Pan Barczyński... przeniesiony od nas?

Teraz skolei zdumiała się przełożona.

— Nie! jakto, pani nie wie? Przecież to nie tajemnica. Wszyscy o tem wiedzą. Prosił sam o przeniesienie jeszcze w marcu. Idzie do Komorowa, ale kto przyjdzie do nas, jeszcze niewiadomo — i urwała, domyśliwszy się nagle, dlaczego właśnie Halinie nikt o tem nie doniósł, a jednocześnie nie mogąc zrozumieć wrażenia, jakie ta wiadomość wywołała na polonistce.

— Więc się przenosi — rzekła wkońcu panna Zaborska w głębokim zamyśleniu i wnet jakby się ocknęła.

— Szkoda go, oczywiście. Znał warunki, był dobrym pedagogiem. Moja klasa traci na zmianie: nowy nauczyciel, nowe metody, nowe wymagania — a matury za pasem.

Cały dzień, spędzony na powietrzu, w ruchu, zmęczył uczennice; gdy przed zachodem słońca dano hasło do powrotu, stały się z pustymi plecakami, z olbrzymimi bukietami, umajone, zarumienione słońcem i podniecone. Czwórki szły teraz luźno, marsz był wolniejszy; rozgadane towarzystwo opowiadało sobie wrażenia dnia.

Gdy droga leśna doprowadziła do szosy działdowskiej, słońce akurat zaszło i nastał jasny, długi zmierzch letni. Panna Zaborska szła milcząco obok swej klasy.

— Tą szosą jedzie się do Klutschkau — szepnęła nieśmiało idąc obok niej Elza. — Czternaście kilometrów...

Halina uśmiechnęła się do niej machinalnie i zaraz zwołała kroku, by zaczekać na koniec pochodu. Gdy weszli w granice miasteczka, pochód został rozwiązany i oddzielne grupki uczenniczki przeszły się w różne strony. Część siódmoklasistek odprowadziła Halinę do drzwi jej domu. Gdy przyszło do rozstania, ostatnia pożegnała się Elza. W bladym zmroku świeciły jej wielkie oczy.

— Ja dla pani umyślnie zbierałam — szepnęła, podając jej bukiet niezapominajek. — Żeby pani o nas nie zapomniiała...

O nas? Ręka panny Zaborskiej zdrząła i omal nie wypuściła kwiatów.

— Dziękuję ci, Elzo — rzekła wreszcie ciepło i spokojnie. — A teraz dobranoc. Dogoń tamte i idźcie razem.

Panna Zaborska niedługo jednak zabawiła w domu. Pokreśliła się, pozapalała i pogasiła lampy, wreszcie wyszła, zapowiadając Katarzynie, że nie wróci na kolację. Prosto z domu pobiegła boczną uliczną, idącą w dół nad rzekę ku plebanji. Doszedłszy jednak do rzeki, zatrzymała się; poczem, bezwiednie prawie, poszła wzdłuż rzeki aż do mostu, który prowadził na drugi brzeg, gdzie rozciągały się niskie, podmokłe łąki. Wtedy zatrzymała się na chwilę i popatrzała bezmyślnie na Strzałkowo rozciągnięte przed sobą, jak na dłoni. Była już prawie noc; ale na zachodzie niebo świeciło jeszcze bladocytrynową i bladoniebieską barwą; na tym jasnym tle rysowały się czarne, zwarte budynki, miasto bowiem leżało trochę na wyżynie. Panna Zaborska zaczęła patrzeć uważniej. Wszystko to było znane: na lewo ciężkie kształty kościoła, dalej wieżyczka magistratu, wynurzająca się z pośród zwałów domów; zabudowania szpitala; w głębi wieża kościoła katolickiego, a daleko, na prawo, most kolejowy, ledwie widoczny. Panna Zaborska patrzyła teraz tak uważnie, jakby przed godziną przybyła do Strzałkowa po raz pierwszy.

— Więc to tak — dumiała. — Rzucił szkołę i pójdzie gdzieś indziej. Bo niema sytuacji bez wyjścia. I bodaj... bodaj, że on ma rację... Komorowo? Okrąg naszego kuratorjum jest tak duży... Ale czy zgodziliby się przyjąć jeszcze prośbę o przeniesienie?

Podniosła znów oczy na Strzalkowo. Czarne kontury miasta zlewały się coraz bardziej z ciemniejącym niebem. I nagle na wieżycze magistratu zabłysło światło jak gwiazda. Widok ten jakby dodał Halinie otuchy.

— Uda się — pomyślała.

I przed odejściem jeszcze raz objęła wzrokiem całe miasto od kościoła po most kolejowy. Gdyby ją kto spytał, nie umiałaby odpowiedzieć, jakie uczucia w niej teraz panowały, smutek czy radość.

## XXIV.

Dwudziestego czwartego czerwca zakończył się nareszcie rok szkolny.

Niema chyba takiego entuzjasty szkoły, który, przytłoczony sypiącą się obficie pod koniec roku pracą nie czekałby z utęsknieniem zakończenia zajęć. Nareszcie nadchodzi zakończenie roku szkolnego. W piękny letni poranek wyrusza szkoła w pełnym komplecie, ze sztandarem, łopocącym na wietrze, do kościoła na uroczyste nabożeństwo. Uczennice w białych bluzkach z wielkimi granatowymi kokardami, wszystkie, duże i małe, są ożywione i niespokojne. Nabożeństwo trwa — zdaloby się — niezwykle długo, pastor mówi kazanie, którego nikt nie chęcha, i wreszcie powracają wszyscy do szkoły po świadectwa. Był zwyczaj w gimnazjum strzalkowskim, że każda wychowawczyni rozdawała świadectwa w swojej klasie. Pomimo, że pozostające na drugi rok uczennice, jakby darem jaśnowidzenia obdarzone, nie przychodzą zwykle na zakończenie roku, ceremonia rozdania świadectw przeciąga się. Mało kto uważa wszystkie swe stopnie za sprawiedliwe; i zawsze stanowi to pewną ułgę pogadać na ten temat z wychowawczynią. Zdarzają się też miłe niespodzianki, rzadziej co prawda, jako że człowiek zawsze spodziewa się raczej dobrego niż złego. Część przychodzi pożegnać się z wychowawczynią i odchodzi szybko — te śpieszą się na pociąg lub też nie są jeszcze spakowane; lecz inne dysputują bez końca z zaognionymi twarzami i nie można ich się pozbyć z klasy.

Zmęczone i rozczarowane wracają wreszcie nauczycielki do pokoju nauczycielskiego. Kto zakończył już swe sprawy, żegna się głośno i wychodzi. Lecz ruch w pokoju trwa, a porządek i subordynacja zanikły zupełnie. I tu, do tego niedostępnego zwykle

pokoju przychodzą jeszcze uczennice pożegnać się; w każdym kącie stoi mała grupka naokoło ulubionej nauczycielki. W ciżbie trudno odrazu kogo upatrzeć. Gwar rozmowy, śmiechy i żarty, zapach mnóstwa kwiatów, unoszonych nad głowami, prośby, napomnienia i przyrzeczenia krzyżują się w powietrzu. Powoli, bardzo powoli i stąd się rozchodzą. Gdy wreszcie znika ostatnia uczennica, ukazuje się dyrektorka i odczytuje czarną listę: te a te panie jeszcze nie zrobiły zestawienia; ta nie oddała księgi protokołów, tamta sprawozdania z biblioteki, a inna ma zdać pomoce sportowe. Dopiero teraz można pomyśleć o załatwieniu tych rzeczy, gdy rok szkolny zakończony. Pośród nieprawdopodobnej ilości kwiatów, umieszczonych we wszystkich możliwych naczyniach, nawet w miednicy do mycia rąk, zasiadają wszyscy jeszcze raz na swoich miejscach do pracy. Jest podniecająco wesoło.

Panna Zaborska, ulotniwszy się zaraz po rozdaniu świadectw, wolała przyjść wykończyć robotę samotnie po południu. Pusty i głuchy gmach szkolny, pełen słońca, sprawiał przykre wrażenie. Na górnych piętrach uwijali się Feliks i Michałowa; w gabinecie skryła się zapewne pani Lorencowa. Pokój nauczycielski, pusty i pełen gorącego, czerwonego słońca wydał się dziwnie zakurzony i opuszczony. Szafki podręczne nauczycielek, pozostawione otwarte, ukazywały wnętrza zaśmiecone papierami; w kącie widać jakiś zapomniany bukiet; na wieszadle, z pod zwykłego stosu okryć, których teraz zabrakło, ukazał się zapomniany, samotny, stary, zielony sweter pani Stągowskiej, wiszący jeszcze od zimy. Halina potarła mimowoli dłonie i podeszła nie śpiesząc do okna. Na podwórzu szkolnem, które oświetlało słońce z innej strony, niż to zwykle widziała, bawiły się jakieś niezname dzieci; trzy jodły z klombu rzucały wydłużony cień aż na oficynę. Panna Zaborska wróciła do stołu i zasiadła do roboty. O piętro wyżej słychać było głośnie przesuwanie ławek; w pewnej chwili tynk z sufitu posypał się na stół.

— Na przyszły rok trzeba inaczej zorganizować biblioteczkę — pomyślała z przyzwyczajenia polonistka i zaraz się opamiętała: — Ale to już zrobi inna nauczycielka, ta, która przyjdzie na moje miejsce.

I teraz trudno już było skupić myśl na zestawieniu liczbom. Jaka okaże się ta nowa nauczycielka? jak będzie żyła z jej siódmą — nie, ósmą — klasą? Czy pozna się na Bartusiakównie?

czy nie zrobi krzywdy temu kochanemu łobuzowi, Edzie? czy potrafi ukrócić matactwa Gradzińskiej?

Późnem popołudniem, gdy już słońce znikło z pokoju nauczycielskiego, panna Zaborska odniosła wykończoną robotę do gabinetu przełożonej. Chciała zostawić wszystko na biurku i ździwiła się nieprzyjemnie, zastawszy jeszcze panią Lorencową.

— Wykończyłam już zdaje się wszystko, pani dyrektorko — rzekła, podając papiery. — Może pani przejrzy.

Przełożona pograżyła się w przeglądaniu, odczytując półgłosem ostateczne zestawienia. W przerwie rzekła urzędowo:

— Odesłałam podanie pani do kuratorjum, ale nie wiem, czy co z tego będzie. Termin składania podań o przeniesienie minął dawno.

Halina siedziała z oczyma spuszczone na splecione ręce.

— Dziękuję pani.

Przełożona skończyła przeglądanie; przybiła pieczątki i złożone starannie papiery schowała do szuflady. Halina wstała.

— Chciałam tylko jeszcze pożegnać panią dyrektorkę...

Pani Lorencowa wstała również, wyciągnęła rękę do Haliny i naraz znikła jej urzędowość.

— Jaka szkoda, panno Halino! — rzekła serdecznie. — Nie mogę pani darować tego odejścia od nas. Może będzie pani żałowała...

— Będę napewno żałowała — odparła glucho Halina, nie patrząc jej w oczy. — Ale tak się złożyło...

— Czy nie da się inaczej ułożyć? — spytała serdecznie, trzymając jeszcze jej rękę w uścisku. — Zaaklimatyzowała się pani między nami nawet sobie pani nie wyobraża wszystkich kłopotów w związku z przeniesieniem się.

— Ja wiem. Ale tu warunki... moje prywatne warunki tak się złożyły... Byłabym bardzo mało warta jako nauczycielka... i zlekła się, że za dużo powiedziała. Ja chcę porządnie pracować. Tyle chyba uratuję z tego rozbicia terażniejszej egzystencji — uśmiechnęła się smutno.

— Cała moja nadzieja, że kuratorjum nie zgodzi się zapewne na przeniesienie pani — rzekła na zakończenie przełożona.

Było to więcej niż możliwe i należało o tem pomyśleć. Na drugi dzień rano Halina wyjechała ze Strzałkowa, aby przypilnować sprawy. Jak było do przewidzenia, kuratorjum zaczęło robić

zupelnie sluszenie trudnosci. Wówczas Halina przypomniala sobie o istnieniu przyjaciela zmarlego ojca, ktory zajmowal jakies wysokie stanowisko w Warszawie. Pojechala wiec do Warszawy szukac u niego poparcia; wreszcie, pewna swego, odwiedzila matke w Poznaniu. Przez caly ten czas wyslala zaledwie pare kartek do Strzalkowa bez podania adresu. Dwunastego lipca wrócila z tym zamiarem, ze poskladawszy wszedzie wizyty (miała zreszta nadzieje, ze wszyscy sa juz w miescie nieobecni) wyjedzie do Krotoszyna do kolezanki, z ktora chciala pracowac przez lato nad pedagogia.

Katarzyny nie bylo w domu i dopiero po pewnej chwili Halina przypomniala sobie, ze ma swój klucz. Mieszkanie bylo czysto sprzataniete; na biurku lezal bilet wizytowy Wilhelma.

— Byl widocznie by sie pozegnac, pewnie wyjechal do Poznania — pomyslala, obracajac karte w reku.

Pokrecila sie po mieszkaniu. Nalezalo sie rozpakowac, bo pewno przed uplywem tygodnia nie bedzie mozna wyjechac. W trakcie tego przyszla Katarzyna.

— Och, panienko, to panienka nareszcie jest! A ja myslalam, ze to zlodzieje sie dobrali.... A tu za panienka dzieñ w dzieñ dowiaduja sie z Kluczkowa, dwa razy to i pan starszy byl, jak przyjezdźdali doktorzy. Takie nieszczęście, prosze pani, taka mila panienka!

— Co sie stalo w Kluczkowie? — spytala blednac.

— To panienka nic nie wie? Panna Elza tonela, no, niby nie utonela na smierc, ale pewno zyc nie bedzie. Doktorzy to az z Berlina przyjezdźdali; teraz juz nie, widać nic jej biedocie nie pomoze.

— Niech Katarzyna opowiada po ludzku! — krzyknela ostro. — Jezeli nie utonela, to co jej jest? POCO doktorzy? Kiedy to bylo?

— To bylo jeszcze w czerwcu — rzekla urazona Katarzyna, chowajac rece pod fartuch. — A wiecej, to ja nic nie wiem, moja panienko. Pan starszy tylko przyjezdźdal po panienke dwa razy.

Hanna zlapala kapelus.

— Jakby znów dzis kto przyjechal, to ja bede na plebanji — rzekla, ogladajac sie za torebka. — Niech Katarzyna rozpakuje walizke.



Drzwi na plebanji otworzył jej sam pastor, który wyjątkowo, jak na tę porę, był w domu.

— Jak się masz, Haluniu! — zawołał głośno na całe mieszkaniu. — Kiedy przyjechałaś?

— Dziś o trzeciej — odrzekła, witając się i wieszając kaptur. — Katarzyna opowiada mi dziwne historie... Co się stało u Baisenów?

Pastor spoważniał

— Wejdziesz wprawdzie do pokoju.

Pastorowa siedziała jak zwykle we wnące okna; Halina przywitała ją, siadła obok i skierowała oczy na pastora.

— W Kluczkowie bardzo źle — rzekł pastor, opierając wielką i tłustą dłoń na potężnym kolanie i patrząc uważnie na Halinę. — Elza była ciężko chora, miała zapalenie płuc.

— Była? więc już wyzdrowiała? Cóż mi ta Katarzyna opowiadała o tonięciu? o doktorach z Berlina? I co...

— Było tak naprawdę. Zaczęło się od tego, że ta mała wyjechała na staw łódka, żeby podobno narwać lilji wodnych; łódka się przechyliła i ona wpadła do wody. Było niegłęboko, tylko murliko bardzo, tak że doszła zaraz do brzegu i nawet łódź przyciągnęła za sobą — ale niemądre dziecko, nie chciała pokazać się w domu w takim stanie i zaczęła suszyć się w parku. Dzień był wietrzny — no i z tego wynikło zapalenie płuc.

— Kiedy to było? — spytała Hanna. — W końcu czerwca? Więc już niebezpieczeństwo przecie przeszło do tej pory?

Pastor skrzywił się.

— Gdzie jest, matko, ta karta od Wilhelma? Nie masz pojęcia co się tam dzieje w Kluczkowie. Bo zapalenie płuc przeszło, ale zaraz potem okazało się, że Elza ma stale podwyższoną temperaturę.

— Krótko mówiąc, przerzuciło się na płuca — rzekła pastorowa, sięgając po swoją podręczną teczkę, zawsze leżącą na stoliku. Henryk nasprowadzał doktorów, odkryli jakieś ogniska. Mają wywieźć małą do Meranu, ale narazie Elza leży i nie pozwalają jej ruszać.

— Biedne dziecko, daj Boże, aby jej to pomogło. Ale stan Baisenowej jest poprostu rozpaczliwy. Byłem tam w przeszłym tygodniu. Ona wzmówiła w siebie nie wiem na mocy jakich przesłanek, że to jej wina. Że jej niby nie upilnowała przed tym wypad-

kiem? A i on... Najgorsze, że nie ma tam nikogo rozsądnego. Przy-  
leciał Wilhelm z Poznania, to go znów wezwano depeszą. Oni  
wszyscy już myślą, że Elza dogorywa.

— O, jest karta od Wilhelma — rzekła pastorowa, grzebiąc  
ca od pewnej chwili w teczce. — No cóż? on tu pisze to coś ty już  
opowiedział — dodała, przebiegając ją oczami.

— Mojem zdaniem dobrze byłoby, gdybyś pojechała do  
Kluczkowa, moje dziecko — rzekł poważnie pastor. — Pomimo  
wszystko. Oni tam nikogo nie mają; Willenbrockowa wyjechała  
z córkami zagranicę. Przydałby się ktoś rozsądny, obcy, kto  
umiałby do nich przemówić. Zwłaszcza, że i mała uparła się, że-  
by cię zobaczyć.

— Wilhelm jest w Poznaniu — wtrąciła pastorowa.

Pastor wzruszył ramionami, wstał i przeszedł się po pokoju.  
Wreszcie zatrzymał się przed żoną z rękami w kieszeniach.

— Wilhelm jest w Poznaniu, ale napewno przyjedzie, jak  
tylko będzie mógł najprędzej. Jednak byłoby bardzo dobrze, gdy-  
byś mogła tam pojechać, Halinko.

Halina przez cały ten czas nie odezwała się słowem, wstrząś-  
nięta i przerażona.

— Więc to gruźlica? Przecież niemożliwe, żeby... A co do-  
ktoży?

— Toż ją ratują i uratują — wzruszył ramionami. — A ma-  
ła mówi, że umrze. Do mnie to powiedziała! Całkiem spokojnie.

Halina patrzyła przejęta na kartę Wilhelma, rzuconą na stół  
i przykrytą w części teczką. Bezmyślnym wzrokiem odczytywała  
ostatni widoczny wiersz: „um ein Haar ware sie ertrunken...“  
Podniosła wreszcie oczy na pastora.

— Pan Baisen był u mnie dwa razy, jak mnie nie było.

— Był i tu; dowiadywał się o twój adres.

Milczała przejęta. Elza, to pogodnie wesołe, nieśmiało przy-  
milne, zawsze zadowolone ze wszystkiego dziecko... Przypomniała  
sobie, jak na szosie, po powrocie z wycieczki ofiarowała jej bu-  
kiet niezapominajek. „Żeby pani o nas nigdy nie zapomniała...“  
To znów stawała jej przed oczami w białej sukience i z błękitną  
kokardą w ciemnych włosach, jak siedziała obok niej na wielkiej,  
przytulnej otomanie. Kochanie, przecież to niemożliwe, żeby cię  
zabrakło!

— Pojadę do Kluczkowa jutro — zdecydowała. — Jak to  
daleko? czternaście kilometrów? Taksówką chyba, prawda?

Lecz nazajutrz w samo południe zjawił się Henryk Baisen. Pośepny nie bardziej niż zwykle, odpowiadał rzeczowo na wszystkie jej pytania, wreszcie poprosił by z nim pojechała.

— Elza — mówił — wciąż pani wygląda. Jest pewna, że pani przyjedzie.

Wzięła więc trochę niezbędnych rzeczy ze sobą i wsiadła wraz z nim do auta, które czekało przed domem. Henryk usiadł obok niej i okrył ją dobrze kocem, ale przez całą podróż milczał. Do Kluczkowa jechało się szosą działdowską. Droga przebiegała ze wzgórza na wzgórze między jodłowymi lasami; pęd powietrza przynosił zapach rozgrzanych słońcem szpilkowych lasów. Przemknęli w mgnieniu oka koło wielkiego, płaskiego kamienia, na którym odbyła się niegdyś pierwsza rozmowa Haliny z Wilhelmem w dzień wigilijny i wjechali pomiędzy stromo opadającą zbocza szosy, zasłaniające dalszy widok. Gdy znów wyjechali na równinę, lasy znikły, a zdaleko widać było stalowy odbłysek jeziora.

— To Raduńskie jezioro — rzekł głośno, zasłaniając się od pędu powietrza — a zaraz za niem Tal i Kluczków.

Tyle też i słyszała przez całą drogę. Pałac kluczkowski krył się w gęstym parku, tak że dopiero minawszy bramę wjazdową i alejkę, wiodącą mocno pod górę zajeżdżało się przed rozległy, szary piętrowy dom z kolumnami, na których opierał się duży taras na piętrze. Zdawało się Halinie, gdy wysiadając, spojrzała na okna, że w jednym z nich błysnęła jakaś twarz i znikła. Pan Baisen oddał jej walizkę jakiemuś służącemu, a sam wprowadził ją do domu. Na najwyższym stopniu schodów stała Berta Baisenowa. Halina podbiegła do niej po schodach i niewiedomo kiedy i jak padły sobie w objęcia. Uścisk Berty był spokojny, ale mocny i bardzo długi.

## XXV

Elza leżała na piętrze, w pokoju swojej matki, sąsiadującym z tym pokojem, który wychodził na taras nad wejściem. Zobaczywszy ją, Halina zdziwiła się trochę i zarazem pokrzepiła na duchu, bo dziewczynka miała zdrową rumianą cerę i usta różowe jak nigdy. „Mała“ ucieszyła się bardzo, widząc swą ukochaną nauczycielkę i, chwyciwszy ją za ręce, zmusiła do usadowienia się tuż przy łóżku. Ten drobny fakt zdziwił z początku Halinę, bo Elza

w stosunku do niej była zawsze, pomimo wszystko, raczej nieśmiała, lękliwa i obawiająca się narzucania. Teraz była ożywiona, wielomówna; dużo się śmiała, jej gorące, szczupłe ręce, trzymające wciąż pannę Zaborską, mówiły wyraźnie, skąd pochodziły i te rumieńce i to ożywienie. Berta Baisenowa siedziała obok ze splecionymi na kolanach rękoma i ze spokojną, uśmiechniętą twarzą. Wreszcie rzekła:

— Elzo, ale ty puść już panią od siebie. Panna Hala musi być zmęczona, chce się umyć i musi co zjeść.

Elza jeszcze silniej zacisnęła swe ręce na rękach Haliny.

— Och! Ale pani nie odjedzie tak prędko? Pani zostanie z nami, prawda? Ja przecież muszę z panią jeszcze dużo, dużo porozmawiać! I sama tyle mam do powiedzenia! Pani zostanie z nami?

— Zostanie, zostanie, nie puścimy panny Haliny — uspokajała ją matka. — A teraz może się trochę prześpisz?

Przez resztę dnia Halina miała wciąż przy sobie Bertę, która to pomagała jej rozpakować się i urządzić w pokoju, to pokazywała jej pobieżnie dom dla orientacji, to towarzyszyła jej przy podwieczorku. Halina nie mogła poznać w tej ruchliwej, krzątającej się kobiecie pani Berty z przed miesiąca, zawsze chłodnej, bezczynnej i jakby obcej wszystkim wypadkom życia. Po paru dniach dopiero zauważyła, jak bezładną była ta krzątająca się chorobliwej gorączki, podobnej do gorączki Elzy, kryło się pod tą ruchliwością. Głównym terenem zajęć pani Berty była zresztą tylko sypialnia Elzy i przyległy do niego buduar z tarasem, gdzie sama sypiała. W tych dwu pokojach zawsze można było ją spotkać i Halina, przesiadująca u Elzy większą część dnia, miała sposobność do prowadzenia wielu rozmów z jej matką. Patrząc na jej spokojną twarz i pogodne oczy Halina nie mogła zrozumieć, dlaczego pastor Dammholt powiedział, że Berta jest w skrajnej rozpacz. Wprawdzie w pokoju Elzy nie było miejsca na okazywanie choćby smutku... I wtedy zastanowiła się Halina, że poza tym pokojem Berta jest jakby skrepowana i unika spotkania z nią w cztery oczy.

Poza tym pokojem dotrzymywał Halinie towarzystwa Henryk Baisen. Bywał i on często u Elzy i siedząc przy łóżku córki usiłował zachować uśmiechniętą minę. Ta przymuszona wesołość i ten ton pieśczośliwy w stosunku do trzymanej zwykle zda-

leka córki nie licowały zupełnie z jego ciemnym posepnym obliczem z podkrążonemi oczami, tak głęboko osadzonemi, iż wydawały się niekiedy czarne. On też przeważnie zabierał stąd Halinę, prowadząc ją do parku, nad rozległy Tal, który dał początek chorobie Elzy. Przy spacerach tych rozmawiali mało i prawie o niczem. Raz objaśnił ją, że Kluczków jest w posiadaniu jego rodziny już od dwustu lat — i szerzej nieco się rozwiódł nad jakimś Jakóbem von Baisen, który był przyjacielem Fryderyka II; kiedyindziej znów ograniczał się do pokazywania jej różnych zakątków prześlicznego, na pagórkach rozłożonego parku. Często zaś, nie mówiąc nic zupełnie, przechadzali się w alei kasztanowej wzdłuż jeziora lub też siedząc, wpatrywali się w przeciwległy jego brzeg, gdzie z poza zieloności błyskały czerwone dachy wsi. Wiedziała, że ją lubił — i sama poczuła sympatję do tego milczącego człowieka. Wieczorami Halina nie mogąc nieraz usnąć, słyszała jego równy, miarowy, monotony krok na dole w jadalni, rozbrzmiewający do późna w noc, tak że nieraz usnęła i znów się zbudziła z pierwszego snu, a kroki na dole stukwały wciąż głucho i uporczywie. To jedno zdawało się być zapowiedzią czającego się, zbliżającego, to znów odchodzącego, nieszczęścia.

Tak powoli przemijał upalny lipiec, nie przynosząc żadnych wypadków, o ile nie uważać za wypadki wizyt doktora Lercha ze Strzałkowa. Gdy pewnego popołudnia w czasie snu Elzy matka i nauczycielka jej siedziały na tarasie, Halina rzekła odniechęcenią, iż powinna wrócić do Strzałkowa. Miała zresztą jechać do Krotoszyna. Pani Berta oparta o balustradę tarasu opuściła głowę między ramiona i patrzyła czas jakiś na własne kolana, milcząc. Wreszcie rzekła, nie podnosząc głowy:

— Niech pani nie jedzie, panno Halu.

A gdy panna Zaborska zaczęła tłumaczyć, o co jej idzie, pani Berta przemówiła poraz pierwszy jakby z zażenowaniem, które zaczęło topnieć w bolesnej poufności zwierzenia. Oglądając się na okno pokoju Elzy wyrzekła w paru słowach cicho i z rozpaczą, iż nie wierzy, aby Elza powróciła kiedykolwiek całkowicie do zdrowia; czasami ogarniają ją czarne myśli, że i teraz Elza może nie doczekać tego wyjazdu do Meranu.

— Pani Berto! — krzyknęła z wyrzutem Halina. — Jak można myśleć takie rzeczy? Niech pani sobie przypomni, co mówił doktor Lerche?

Pani Berta pokiwała z gorzkim sceptycyzmem głową i naraż ni z tego ni z owego zaczęła mówić o Halinie.

— Czy pani zdaje sobie z tego sprawę, jaka pani jest? Kiedy pani rozmawia z Elzą, wtedy zdaje mi się, że to zły sen; że Elza jest zdrowa albo przynajmniej będzie zdrowa. Umie pani z nią mówić. Robicie projekty na przyszłość, nie boi się pani użyć w rozmowie z nią takiego zwrotu: „jak będziesz starsza“, „poczekaj, aż będziesz pełnoletnia“. Pani jest taka silna i stanowcza; niech pani nie odjeżdża.

We wrześniu pani Baisenowa z Elzą miały wyjechać do Meranu; wobec tego Henryk Baisen zaczął starać się o paszport dla nich i dla siebie, gdyż chciał je odwiedzić na miejsce. Starania te wymagały jego częstych bytności w Strzałkowie i w Toruniu; i Halina pozostawiona była teraz więcej sama sobie. Pewnego dnia, w niecałą godzinę po przyjeździe Henryka ze Strzałkowa, gdy wszyscy cieszyli się wyprowadzoną po raz pierwszy na taras Elzą, przed pałac kluczkowski zajęchało obce auto, z którego wyskoczył Wilhelm.

## XXVI.

Pierwsze dni pobytu młodszego Baisena w Kluczkowie nie zmieniły w niczem zwykłego biegu dnia. Wszelkie podświadome, niechętnie obawy Haliny przed mogącymi powstać trudnościami rozwiały się zupełnie pod wpływem zachowania Wilhelma; które nie przypominało jej wcale dawniejszych jego sposobów bycia. Wspólnik fabryki przetworów chemicznych pod firmą „Bracia Baisen“ przyjechał jakby zmęczony czy smutny, zobojętniały na wszystko. Przy powitaniu z Haliną uśmiechnął się wprawdzie ze szczerą życzliwością, ucieszył się też lepszym zdrowiem Elzy, ale wszystko to nosiło na sobie piętno jakiegoś roztargnienia. Po nieważ przyjazd jego zastał wszystkich na tarasie, tam odbyły się pierwsze powitania, lecz porozmawiawszy z Elzą i o Elzie, zamieniwszy parę słów z Haliną i bratową, Wilhelm zaczął rozmowę z bratem o interesach, przechodząc — co było niesłychane — prawie w samym jej początku na język niemiecki. Było to sprawozdanie z jakichś czynności jego w Poznaniu, które Wilhelm załatwił według własnego sądu, niezgodnego z sądem starszego brata. Trzy kobiety usunęły się nieco, rozmawiając ze sobą przyciszonym głosem o drobiazgach, rozmowa ta jednak nie była na

tyle absorbująca, by nie pozwalała na obserwowanie tamtej dysputy. W ciągu rozmowy Wilhelm ożywił się, wyjaśniał i energicznie przekonywał małowównego, niechętnie nastrojonego brata. Obce, niemiłe, twarde słowa zlewały się, ze znanym już Halinie przydechowym akcentem, w jedną, teraz dopiero uzasadnioną całość. Dysputa urwała się prawie nagle, poczem obaj pannie wrócili do towarzystwa kobiet. W ciągu następnych kilku dni obaj bracia na krótko tylko pojawiali się w pokoju Elzy, czy w jakimkolwiek innym wspólnem miejscu pobytu, niknąc stale w nieznaną jeszcze Halinie głębi domu — i raz tylko, przechodząc wzdłuż okien na parterze, usłyszała ich obu rozmawiających i zgodnie pochylonych nad jakimiś papierami na biurku. Tegoż samego popołudnia wyjechali obaj do Strzałkowa, skąd powrócił po kilku dniach już tylko sam Wilhelm.

Halina spędzała zazwyczaj ranki w ogrodzie z książką. Elza budziła się nieraz późno, a że była bardzo grymaśna przy robieniu toalety, więc trwało to dość długo, tak że panna Zaborska zjawiała się w jej pokoju dopiero około południa. W cienistej alei grodu nawprost jeziora stały trzciniowe fotele, które kazał tu wynieść jeszcze Henryk Baisen. Następnego ranka po przybyciu Wilhelma zobaczyła go, idącego ku jej miejscu. Jasno ubrany, w niebieskiej koszuli z krótkimi rękawkami wydawał się większy niż zwykle.

— Więc to jest pani stanowisko? — rzekł, całując ją na dzień dobry w rękę. — Nie będę pani przeszkadzał? Ja mam też książkę.

Trzciniowy fotel trzasnął. Wilhelm zdecydowanie otworzył książkę odrazu gdzieś we środku, ale na tem też i wyczerpał się jego zapal do czytania.

— Co to jest, takie cieniutkie, co pani czyta? „Tonio Kröger“? — spojrzenie stało się uważniejsze, przysunął fotel i popatrzał do jej książki. — Więc pani całkiem dobrze zna niemiecki? Gdzie się pani tak nauczyła?

Wzruszyła ramionami.

— Jestem przecież Poznanianką. To dużo tłumaczy — rzekła mało przyjaźnie.

Odsunął się trochę z fotelem i zabrał się do książki. Halina próbowała skupić się nad lekturą z bardzo słabem powodzeniem. A więc wróciła znów dawna męcząca sytuacja, dawne drobne za-

sadzki i wytrwałe tropienie. Ale cóż na Boga trzyma ją w tem miejscu? Czyż nie może stąd wyjechać? Postanowiła wyjechać — powiedzmy, jutro, żeby nie wyglądało to zbyt nagle. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na siedzącego obok niej towarzysza. Wilhelm wcale nie czytał. Z nad książki patrzył nieruchomo w migoczącą w słońcu powierzchnię jeziora. Drobnitkie, podłużne fałdki na wysokim czole i jakiś gorzki grymas koło ust nadawały mu wygląd zmęczony i smutny. Ciepłe współczucie odeгнаło kierunku i przyciągnęła tem jego spojrzenie.

— Tak się pan zamyślił — rzekła prawie przyjaźnie. — A co pan czyta takiego przygnębiającego?

Odruchowo spojrzał na okładkę i opuścił zmieszany książkę na ziemię.

— Nawet nie wiem co. Nie chce mi się wcale czytać — wyznał szczerze. — Jestem zmęczony.

— Tak pan właśnie wygląda — odrzekła, nieświadomie zadowolona z przyjaznego charakteru tej rozmowy i dodała tonem twierdzenia niż pytania: — Miał pan dużo pracy ostatnio.

Spojrzał na nią bystro i zamilkł. Po chwili dopiero rzekł sucho.

— Tak, dosyć.

Teraz i ona milczała, przewracając machinalnie kartki książki, urażona trochę tym tonem. Wilhelm zrozumiał to widocznie, bo po chwili rzekł jakby usprawiedliwiająco:

— Pani lubi rozmowy o interesach? Niech mi pani wybaczy: nigdy nie potrafiłbym mówić z panią o interesach, o różnych moich zawodowych sprawach. Ani z panią ani zresztą z żadną inną kobietą. To dla was za brzydkie, za kłopotliwe.

— A pan myśli — rzekła z ironją — że my się nie znamy, na kłopotach? Że ich nigdy nie mamy?

— Nie chciałbym więc powiększać jeszcze ich liczby — odparł poważnie.

Wybuchnęła nagłym, gorzkim śmiechem, tak daleki wydał jej się ten jego zamiar od rzeczywistości — i równie nagle umilkła przestraszona, kryjąc twarz w dłoniach. Ale Wilhelm jakby zamarł w fotelu, który nawet nie skrzypnął. Gęsta, długa cisza dokuczyła zapewne obojgu, bo naraz wstali prawie jednocześnie ze swoich miejsc.



— Chodźmy się przejechać łódką, panno Halu.

Podeszła więc ku przystani i usiadła w łódce. Wilhelm rozplątywał gruby sznur, patrząc na nią z jakąś natężoną, skrytą badawczością. Wreszcie wskoczył do łódki i ujął za wiosła, milcząc, jakby mu co usta zawiązało. I to właśnie Halina, odczuwszy groźne skrępowanie, rozpoczęła rozmowę.

— Ładnie tu — rzekła. — To duże jezioro.

— Mhm — mruknął, nie patrząc. Po chwili jednak się przełamał i spytał: — Lubi pani wodę?

— Bardzo — odrzekła szczerze. — Nie wyobrażam sobie pięknego krajobrazu bez wody.

— No, to się pani u nas musi podobać. Tyle jezior...

— U nas?

— ...u nas, na Mazurach — dokończył prawie wyzywająco. — Tu, właśnie tutaj, gdzie nawzajem uważamy siebie za obcych.

— Ja, tutaj obca? — oburzyła się zlekka.

— No nie, raczej ja, prawda? — usiłował zażartować. — Pomimo, że tu się urodziłem — właśnie w Kluczkowie, że tu, w Strzałkowie chodziłem do szkoły, że tu przyjeżdżałem na wakacje za studenckich czasów z Berlina, że tu leżą moi rodzice, dziadkowie i pradiadkowie od wielu wieków... Ale paniby mnie raczej umieściła gdzieś w Brandenburgji, prawda?

— Więc to ja jestem obca? Nawet się bronić nie będę — to śmieszne.

— No, jest przecie rozwiązanie tej sprawy, tylko pani go nie przyjmie. Zgódźmy się: mamy wspólną ojczyznę, choć może każde z nas inaczej ją rozumie. Ale to nie może być murem między nami.

Tego samego popołudnia rozegrała się w pokoju Elzy mała scena. Zaraz po obiedzie Halina zmusiła panią Bertę, cierpiącą na ból głowy, aby się poszła położyć w dawnym pokoju córki, a sama przyszła na całe popołudnie do dziewczynki. Przyniosła ze sobą jakąś książkę, na wypadek gdyby zmęczyły się rozmową. Ale Elza była dziś w humorze nierównym, grymaśnym, nie nastrojona do czytania książki ani do rozmowy. To jej było duszno, to znów wiatr był w pokoju i nic jej nie mogło zadowolić, jak to bywa u długo chorujących osób. Opamiętała się wreszcie i zaczęła przeproszać pannę Halinę, pełna nagle wesołych wyrzutów i czułości, trzyma-

jąc ją za rękę. To trzymanie za rękę wydało się Halinie cechą rodzinną: wszak był to zwykły odruch Wilhelma.

Jakby wywołany tą myślą zjawił się zaraz Wilhelm. Na jego widok Elza, leżąca ubrana pod kocem na tapczanie, uśmiechnęła się nikło, a gdy zaczął ją wesoło rozpytywać, co robiła rano i czy dużo sukienek przerzuciła, zanim tę wybrała, odpowiadała krótko i z przymusem. Wreszcie puściła rękę Haliny i usiadła, oparłszy się plecami o poduszkę. Wilhelm więc zaczął teraz opowiadać niby tylko Elzie, jak duszno i gorąco było w Poznaniu, jak nudno, choć to takie wielkie miasto i począł wreszcie opowiadać treść jakiejś sztuki, którą widział w teatrze. Elza słuchała go oparta o ścianę z jakimś niedającym się opisać wyrazem ironji, niewiary i żalu w spojrzeniu. Parę razy rzuciła kilka ukośnych, rozżalonych spojrzeń na swą nauczycielkę, która siedziała na tapczanie milcząca, z rękami spuszczone na splecione ręce, to znów spoglądająca obojętnie za okno, przez które zaglądała do pokoju prześwietlona słońcem lipa.

— A panna Halina — rzekła wkońcu — była tylko przez parę dni w Poznaniu.

Wilhelm poraz pierwszy zwrócił swe błyszczące obce oczy na Halinę.

— Była pani w Poznaniu? — rzekł ze sztuczną obojętnością.

— Tak, trzy dni — odpowiedziała. Sama na siebie była wściekła za ten ton nienaturalny, za to Bóg wie dlaczego sztuczne zachowanie.

Elza zapatrzyła się w okno, za którym na lipie ćwierkały głośno wróble. Po chwili rzekła, nie odwracając głowy:

— Dlaczego nie rozmawiacie? Tu tak cicho — i jakby naraz złąkla się czego, dorzuciła prędko: — Albo nie. Jabym chciała, żeby pani co poczytała.

Halina otworzyła książkę — była to jakaś lekka powieść — i zaczęła czytać. Elza objęła rękoma okryte kocem kolana i oparła na nich głowę; Wilhelm patrzył w zamyśleniu na palce swych złożonych rąk, które poruszał machinalnie. W pewnym momencie czytania, przy przewracaniu już Bóg wie której kartki, panna Zaborska spojrzała mimochodem na twarz Elzy, widzianą z boku i zatrzymała się w czytaniu przestraszona: po twarzy dziewczynki, całkiem mokrej, spływały jeszcze grube łzy. Spojrzała szybko, porozumiewawczo na Wilhelma, który też podniósł głowę i znów na nią.

— Elzo — rzekła wkońcu zmieszana.

Wilhelm spojrział na bratanicę uważnie i prędko wykręcił się do niej, usiłując podnieść jej głowę, która przywarła mocno do kolan. Dziewczynka teraz dopiero rozplakała się na dobre.

— Elza — rzekł niespokojnie, głośno. — Elza! Co takiego... Was ist's... Elza... und warum weinst du?

Przysunął się do niej, objął ją niezgrabnie, tak że cała, skurczona jak przedtem, znalazła się w jego objęciach, i zaczął ją gładzić po ciemnych włosach. Wtedy mała wybuchła półgłosnym płaczem. Halina wstała zmieszana i usiadła znów, Wilhelm pochylił twarz ku płaczącej rozpaczliwie, ale milczącej uparcie Elzy.

— Elsa... nu sag mir... — Nie próbował już teraz spojrzeć w twarz bratanicy, tylko przycisnął ją do siebie i pochylił nad nią tak nisko, że włosy jego opadły na włosy Elzy, nie różniąc się od nich zupełnie. Reszta rozmowy odbyła się po niemiecku, jakby oboje zapomnieli zupełnie o obecności siedzącej obok Haliny.

— Głuptasie mały, no, ty niemądre dziecko, przestań płakać. Jak możesz nas tak zasmucać? No, już mała, otrzyj lzy... I dlaczego? I co się stało?

Halina wstała z tapczana i odeszła w stronę okna, wstrząśnięta do głębi. To znów był ten sam głos, ten sam akcent, ten sam... czy ten sam język, co wtedy na tarasie? Tyle niewysłowionej, miękkiej tkiwości, tyle słodczy i ciepła było w tym głosie, w tej pochylonej postawie, że Halina zapragnęła gorąco uciec z pokoju. Zrobiła parę szybkich kroków ku drzwiom i jednak zatrzymała się jak spętana, by znów powrócić wbrew własnej woli do okna.

— Elzo, no przestań, tylko sobie szkodzisz...

— Zostaw mnie! — krzyknęła nagle rozpaczliwie, leżąc zresztą wciąż w jego ramionach; zaczęła teraz mieszać oba języki. — Mnie jest wszystko jedno! Ja sobie mogę nawet umrzeć!

— Nie można tak mówić! — zakazał ostro. — Co ci do głowy...

— Można! Można! Mogę sobie umrzeć! Na nic tu nie jestem potrzebna!

— Elza! A to, że wszyscy cię kochają, to nic?

— Ach! — jęknęła żałośnie, jakby teraz dopiero ugodzona w samo serce i umilkła szlochając. Po chwili wyjąkała wśród płaczu po niemiecku: — Nie oszukuj mnie! Nikt mnie nie kocha! Może powiesz, że dla mnie tu przyszedłeś?

Ręka Wilhelma gładząca jej ramię zdrętwiała. Ale do gruntu poruszona Elza musiała już wszystko powiedzieć.

— A potem ją sobie zabierzesz, a dla mnie nic! I ona też przestanie mnie kochać!

Ręka Wilhelma poruszyła się znów, odgarniając jej włosy z czoła. Po chwili odezwał się po polsku. W głosie słychać było wyraźnie uśmiech, pelen szczęścia i tkliwości.

— Mały, niemądry głuptas! I o to płakać! Nikt, nigdy cię nie przestanie kochać! Wstyd mówić takie rzeczy! No! Podnieś głowę! Już! dosyć płaczu!

I obejrzał się, ale Haliny w pokoju już nie było. Zato w tej samej chwili usłyszał lekki stuk drzwi w sąsiednim pokoju i głos bratowej:

— Pani wychodzi?

Wczesnym wieczorem, zaledwie zmrok zapadł, zasiedli w sąsiednim pokoju do herbaty pani Berta, Halina i Wilhelm. W sypialni leżała na tapczanie Elza przykryta kocem. Mała, przyćmiona lampka paliła się na odległym stoliku, napelniając pokój złotawym światłem. Elza leżała spokojnie, wpatrzona w ścianę. Po scenie ze stryjem nastąpiła jeszcze scena z panną Haliną, którą dziewczynka podejrzewała, że po dzisiejszych awanturach napewno przestanie ją kochać, bo niepodobna kochać takiego potwora. Teraz leżała zmęczona, czując, że gorączka znów wzrasta. Nie było to uczucie nieprzyjemne. Z sąsiedniego pokoju, do którego drzwi były otwarte, dochodziły miłe, niewyraźne dźwięki rozmowy i odblask światła. Tem ciszej, tem ciemniej, tem przytulniej wydawało się tutaj. Złote smoki na kremowym tle ścian połyskiwały niewyraźnie, zdawały się wić i skręcać bezszelestnie, a jednak, co było dziwne, za chwilę wydawało się, że nie ruszały się ze swego miejsca; to znów zmieniały zupełnie swój wygląd i z wygiętego złotego ogona robił się pies rozciągnięty pod drzewem; tam znów łeb stawał się chryzantemą o obszarpanym jednym boku, a z łap wyglądał dziwaczny zarys ludzkiej twarzy. Wszystko to w niewyraźnym świetle lampki drgało, skręcało się, płynęło, zmieniało fantastyczne kształty, nie przestając być sobą; jakiś przyciszony, łagodny szmer unosił się w powietrzu. Ciało z przyjemną bezsilą spoczywało na miękkim posłaniu i żadna siła nie skłoniłaby Elzy do poruszenia choćby jednym palcem. W pewnej chwili zdało jej się, że we drzwiach stanęła panna Halina.

— Śpi — szepnęła, odwracając oświetloną twarz ku pokojowi. Elza chciała powiedzieć, że nie śpi wcale, lecz w tej prawie chwili oczy jej się zamknęły, unosząc pod powiekami obraz panny Haliny, a spokojny oddech rozchylił jej trochę spieczone usta.

## XXVII.

Nazajutrz po tym dniu, jak też i dni następnych Elza pokazała swej nauczycielce twarz skruszoną, zmieszaną, pełną żalu i niepewności, gdy zaś przeczuloną wrażliwością odkryła że i panna Halina jest też w stosunku do niej jakby skrupowana i unikająca niektórych jej spojrzeń, zaczęła gryźć ją cicha rozpacz. Tak więc, przez jedno głupstwo traci się serca swych najbliższych! i niema na to żadnej rady!

A panna Halina rzeczywiście czuła się teraz nieswojo w pokoju Elzy, ale z powodu, którego dziewczynka nie mogła się domyślać. W pamięci panny Zaborskiej wyrzyła się ognistymi śladami krótka scena między Elzą a jej stryjem, splątane niepodobne do odróżnienia włosy obojga i niemożliwy do zapomnienia gorący głos mówiący po niemiecku; i wyrzyła się ona do tego stopnia, że, patrząc niekiedy na Elzę, nauczycielka jej nie była w stanie myśleć o czem innem, co znów z kolei wywoływało w niej głuchą, podświadomą pewność, że myśli jej są chyba znane wszystkim. Najlepiej stosunkowo było wtedy uciec z pokoju Elzy i błąkać się po parku. Tu nieomylnie zjawiał się odrązu Wilhelm i towarzyszył we wszelkich poczynaniach; były to niestrudzone, wielogodzinne wędrówki po parku, mające tę charakterystyczną cechę, że Halina nigdy nie mogłaby powiedzieć napewno, czy daną aleją przeszli dziś pięć razy czy ani razu; albo też wyprawy łódką na jeziorze, przy czem najczęściej zatrzymywano łódkę pod osłoną rosnących u drugiego brzegu płaczących wierzb i odpoczywano tam długie godziny jakby w zielonej, żywej altanie; albo wreszcie bezczynne, leniwe przesiadywanie w ulubionem miejscu nad jeziorem, pod kasztanami. Rozmowy były raczej nijakie i mało znaczące, pomimo to, czy może dlatego właśnie niezamącona szczęśliwość opromieniała te dni słonecznym blaskiem. Któregoś ranka Halina przypomniała sobie ze zdumieniem, że przecież postanowiła wyjechać i przyrzekła sobie, że jutro wyjedzie; gdy się jednak spotkała z Wilhelmem po śniadaniu, zapomniała doszczętnie o swym zamiarze.

Powoli jednak ten nastrój zaczął się psuć, głównie z przyczyny Wilhelma, któremu nie wystarczała widocznie taka spokojna, beztroska szczęśliwość. Czy to sprawiło kilka, nieumyślnych prawie zwrotów po imieniu, czy mimowolny, bodaj nawet nieświadomy odruch Wilhelma, by uwięzić ręce Haliny w swoich (być może tkwiło w nim to przekonanie, że uwięziwszy ręce, uwięzi ją całą) — dość, że Halina jakby się ocknęła. Ale zdradzana chęć ucieczki budzi zwykle tylko wzmożoną chęć pogoni; i z tą chwilą beztroski nastrój zniknął zupełnie. Teraz dopiero Halina całkiem serjo postanowiła wyjechać — i wiedząc zgóry, gdzie spotka największy opór, powiedziała o tem najpierw Wilhelmowi. Było to w czasie spaceru po parku, w samo południe, gdy słońce nazbyt paliło, aby zaryzykować wyjazd na jezioro. Na pierwsze jej słowa o wyjeździe Wilhelm zwrócił ku niej głowę. Słońce czy może otrzymana wiadomość zwięzły jego wielkie oczy w dwie podłużne szary.

— Wyjechać? — rzekł. — POCO? Wakacje jeszcze trwają. Co panią stąd wypędza? — Milczał przez chwilę, wreszcie spytał: — Bo chyba nie ja?

— Ach! — zachnęła się.

Wcale jakby tego nie zauważył.

— Bo ja... przysiągłem sobie, że nie będę pani niepokoił przez całe lato. Pani i tak wie wszystko; więcej narazie mi nie potrzeba... to znaczy, staram się wmówić w siebie, że mi nie potrzeba. I przecież chyba dotrzymuję sobie przyrzeczenia, panno Hału?

— Panie Wilhelmie! — zawołała z żalem. — I poco pan znów zaczyna? Och, Boże, Boże!

Wilhelm umilkł, nie spuszczać z niej wzroku. Była w nim znów pełna napięcia, podejrzliwa, bolesna prawie ciekawość. Wreszcie rozchmurzył się nieznacznie, odwrócił głowę w stronę jeziora i rzekł po chwili spokojnie.

— Co mi jeszcze — poza wszystkim — daje nadzieję, to ten stwierdzony ponad wszelką wątpliwość fakt, że za każdym razem, kiedy wspomnę pani o moich uczuciach, wprowadzam panią odrazu w stan niepokoju i jakiegoś popłochu. Gdybym był pani obojętny, toby się pani śmiała... może nie śmiała, ale w każdym razie przejmowałaby się pani znacznie mniej. A gdyby mnie pani nienawidziła... no, ale to jest nieprawda — zdecydował, odwracając ku niej głowę.

Halina siedziała w fotelu skulona. Na jego spojrzenie jakby się uśmiechnęła i rzekła z wysiłkiem:

— Więc woli pan, żebym się śmiała? No, dobrze. Wobec tego oświadczam panu, iż od tej pory przestaję brać poważnie pana... upór. Bo jeśli moje stanowisko w tej sprawie...

— Niech się pani śmieje, jeśli pani potrafi — rzekł przez zęby. — Ale będzie pani brała poważnie mój... upór. To pani przyrzekam.

I zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, wstał z fotela i odszedł poruszony w głąb parku. Zostawiona sama sobie Halina siedziała jeszcze jakiś czas, poczem wstała i wróciła do domu, aby zapowiedzieć odjazd. Pomimo wybuchów zdumienia i żalu przeprowadziła swój projekt i następnego rana wyjechała do Strzałkowa. Od rozmowy w ogrodzie do samego wyjazdu nie zamieniła z Wilhelmem słowa poza niezbędnymi zwrotami. Odjechała sama. Gdy auto ruszyło z przed domu, żegnane okrzykami Elzy i Berty z tarasu, poczuła w sercu rozpaczliwy żal i namiętne pragnienie powrotu, ale w drodze powoli poprzez żal i poprzez rozpacz zaczęło przebijać się niewyraźne jeszcze zadowolenie z tego, co zrobiła, tak charakterystyczne dla całej tej sprawy od samego jej początku.

W Strzałkowie zabawiła akurat tyle czasu, ile go potrzeba na przepakowanie walizy. Po południu udała się do przełożonej, aby dowiedzieć się, czy nie przyszedł dla niej papier z kuratorjum, gdy zaś okazało się, że nie, przestraszyła się cokolwiek o los swojego przeniesienia.

— Nie mówiłam nikomu o pani podaniu — rzekła wkońcu przełożona — bo a nuż pani odmówią, prawda?

Halina wyszła z postanowieniem, że wstąpi do Torunia poruszyć jeszcze tę sprawę — i nagle zatrzymała się na ulicy. Nikt nie wiedział o jej zamiarze, to dobrze — ale i na plebanji nie wiedzieli nic. Uczuła wyrzut sumienia; to było co innego. Lecz po kilku krokach w kierunku plebanji zawróciła znów powoli w stronę domu. Woląла o tem napisać, niż mówić.

I rzeczywiście po przyjeździe do Krotoszyna wysłała na ręce pastorowej długi list.

## XXVIII.

W jakiś tydzień po wyjeździe Haliny z Kluczkowa przyjechał do miasta Wilhelm. Właściwie miał zamiar zostać tu tylko na ra-

no, potem jednak zatrzymał się i czyto pod wpływem chęci odwiedzenia pastorowej czy może popychany innymi uczuciami, około czwartej zjawil się u pastorowej. Pokój pastorowej przesycony był zapachem porozstawianych wszędzie goździków, a sama pastorowa siedząca na swem wiecznym miejscu przy oknie podniosła na Wilhelma oczy jednocześnie zakłopotane, zgryzione i jakby chcące coś ukryć. Wilhelm zauważył jednak narazie tylko to, że były one jakby zlekka zaczerwienione; siadając z drugiej strony stołu spojrzal przelotnie na porozrzucane na nim wyblakłe fotografie różnych formatów i pożółkłe listy, które pastorowa zaczęła zbierać drżącymi rękami, i zachmurzył się zlekka.

— A ciocia — rzekła z wyrzutem — znów się truje i rozpamiętuje... Gdybyż to mogło wrócić mu życie... Ale ciocia tylko sobie życie przez to skraca.

Pastorowa pokiwiała głową nad wtykaniami do jednej koperty papierami.

— Truję się, mówisz — rzekła z żalnością. — Jak ja się mogę truć, kiedy to jest moja jedyna pociecha. Wszyscy mnie opuścicie, wszyscy odejdziecie jedno tu, drugie tam, tylko on zostanie ze mną zawsze, tylko on jest zawsze tutaj...

I pochylała głowę, kryjąc twarz w dłoniach, Wilhelm poruszony przysunął się z krzesłem do niej.

— Ależ ciociu, niechże ciocia... Jeśli chodzi o Janka, to on zawsze będzie w naszej pamięci... A my nie opuszczamy przecież cioci wcale...

Pastorowa przestała płakać, ale nie podniosła twarzy z nadłoni, jakby zastanawiając się. Wreszcie rzekła z żalnością:

— I cóż ty narobił, Willy? Trzy czy cztery lata wszystkiego, a tak się już przywiązałam do niej... A teraz znów...

Oczy Wilhelma znieruchomiały na twarzy pastorowej. Po chwili dopiero spytał:

— Co się stało? Kogo ciocia znów traci?

Pastorowa zawisła okiem smutku i żalu na twarzy Wilhelma.

— Prosiła, żeby ci o tem nie mówić. Ale to nonsens, żebyś ty o tem nie wiedział. Halinka jest w Krotoszynie, wiesz?

— W Krotoszynie — rzekł niecierpliwie. — U koleżanki.

I co?

— Przedwczoraj dostałam od niej list. Myślałam, że jest je-



szcze u was, bo się tu nie pokazywała... No i ostatecznie dowiaduję się z listu, że rzuca Strzałkowo i przynosi się gdzieindziej. Rzuca Strzałkowo.

Wilhelm poderwał się z krzesła.

— Rzuca? Przynosi się? — rzekł prawie groźnie. — Dokąd to się przynosi? Jakże może się przynosić? Tu jest żnyta, zagospodarowana... Dokąd się przynosi? — prawie krzyknął.

— Nie wiem. Nie pisze.

Wilhelm popatrzał na nią i ochłonął.

— Nie, to nieprawda. To niemożliwe. Musiała ciocia źle coś zrozumieć.

— Ależ mówię ci — rzekła ze smutkiem. — Przynosi się ze Strzałkowa. Zabiera rzeczy, Katarzynę, wszystko.

Milczał chwilę, jakby starając się zrozumieć i nagle błysnęło mu coś w oczach. Przeszedł się po pokoju z rękami w kieszeniach i zatrzymał przed pastorową.

— Gdzie ten list? Muszę sam to przeczytać.

— List jest u mnie — rzekła, niedotknięta jego tonem i patrząc na niego ze współczuciem. — Niema tam żadnej wiadomości poza tem; i niema nic, coby cię pocieszyło.

— Gdzie ten list — natarł znowu, jakby nie słysząc tego, co mówiła. — Ja muszę wiedzieć wreszcie, co ona o tem myśli. Na litość Boską, ciociu, nie dręcz mnie dłużej, daj mi ten list!

Musiąo ją coś przekonać w jego głosie, bo sięgnęła po teczkę i wyciągnęła z niej podłużną białą kopertę. Wilhelm wyrwał ją prawie i stanął przy oknie. Pastorowa odepchnęła się rękoma od stołu na swym ruchomym fotelu, by móc się ku niemu obrócić. Cały ten list czytała parę razy i nie zdziwiła się widząc jak Wilhelm szybko przebiegł oczami pierwszą stronę.

A on z niecierpliwością przeleciał poprzez wstęp, gdzie Halina równem, okrągłem pismem zawiadamiła, iż jest już w Krotoszynie; lecz zaraz na początku drugiej strony zatrzymał się. Halina rzucała Strzałkowo; to, co mówiła pastorowa, było prawdą.

*„Nie mogę oczywiście twierdzić, że robię to bez żalu — pisała dalej. Strzałkowo było terenem mojej pierwszej pracy po ukończeniu uniwersytetu; pracowałam tam cztery lata i nie mogę sobie wyobrazić, że pójdę gdzieindziej, do tego stopnia żyłam się ze szkołą, z dziewczynkami, z nauczycielstwem, z miastem.*

A kiedy wspomnę sobie o tem, że muszę porzucić dom Państwa, gdzie się czułam, mój Boże, lepiej niż w rodzinnym.... Ale niepodobna zrobić inaczej. Nie wiem, czy mnie pani zrozumie, bo czasami ja siebie nie rozumiem, to tylko wiem, że jeżeli nie wyjadę, że Strzałkowa, to cała moja praca weźmie w łeb i nic już w życiu nie zrobię. Pani wie, o co mi chodzi. Za nic w świecie nie zgodziłabym się, żeby coś było w mojem życiu ważniejszego niż moja praca, wszystko inne musi się tej pracy podporządkować. Inaczej całe moje dotychczasowe życie nie miałoby wcale sensu: czyżbym była panienką, która czeka na męża, a tylko w międzyczasie pracuje w szkole? A tymczasem pan Wilhelm Baisen nie zniósłby nigdy drugiego miejsca. I jeszcze wcale nie najpoważniejsze jest to, co kiedyś powiedział, że nie pozwoliłby swojej żonie pracować zawodowo, bo takie rzeczy można mówić, a w praktyce może być całkiem inaczej; ale jednak to objawia pewien zasadniczy rys charakteru czy przekonania, którego już nie możnaby zmienić; i nigdyby nie było wiadomo, z której strony ten charakter mnie zaatakuje. Zdaje mi się, że to od początku czułam i z wyjątkiem może ostatnich paru dni w Kluczkowie, gdzie zresztą też nic nie zaszło, nie mam sobie nic do wyrzucenia w stosunku do niego, bo od pierwszych chwil poznania starałam się trzymać go jaknajdalej. Pomimo że w czasie tej rozmowy w Zielone Świątki, o której Pani wie, starałam się możliwie jasno wybić mu jego zamiary z głowy, nie zrezygnował z nich dotąd i wiem, że dopóki będę w Strzałkowie, nie zrezygnuje. Więc cóż ja miałam ostatecznie zrobić, proszę Pani? Pan W. czyhał wciąż na to, że się okaże, iż nie jest mi obojętny; ale jeśli mi nawet nie był obojętny, to okazałoby się, że można kogoś kochać a nie lubić, bo jeśli się kogoś lubi, to nie ma się chyba ochoty skryć się w mysią dziurę na jego widok i nie traktuje go się mimowoli jak wroga, z którym trzeba wciąż walczyć i wciąż mieć się na baczności. On jest o tyle mądrzejszy i przebieglejszy odemnie, że wreszcie doprowadziłby mnie do kapitulacji i to właśnie byłoby najgorsze, bo wiem, że z pewnością niedługo nadszedłby dzień, w którymbym, pomimo wszystko, gorzko to małżeństwo oplakiwała....“

Dalej przeproszała bardzo, że całą sprawę przeniesienia zdecydowała sama i jakby cichaczem, ale nazbyt się obawiała, że będą jej odradzać; wreszcie już na ostatniej stronicy tego długiego listu pisała bardzo drobno:

„Może mi Pani wierzyć, że nie przyszło mi łatwo powziąć taką radykalną decyzję, ale zdaje mi się, że sytuacja doszła już do tego, iż inaczej nie da się rozwiązać. Ja sama zresztą nie byłam nigdy w tak skomplikowanym położeniu, nie umiem się w niej obracać; zawsze mi się zdawało, że takie zawikłania, to tylko literatura, a życie prawdziwe jest o wiele prostsze...“

W końcu następowała już tylko prośba o zachowanie werystkiego do czasu w tajemnicy i podpis. Pastorowa przygotowała w myśli kilka zdań mających złagodzić znaczenie niektórych słów listu, lecz Wilhelm dobiegłszy oczami do końca strony przesuwał tylko ręką po czole i za chwilę zaczął znów czytać list od początku, odwróciwszy zupełnie twarz do okna. Zdawałoby się, że to powtórne czytanie idzie mu o wiele wolniej, niż pierwsze. Kiedy wreszcie odwrócił się od okna, pastorowa przestrzaszyła się jego bladości. Położył list na stole i przeszedł się po pokoju.

— Dość wyraźnie — rzekł wreszcie przez zęby. — To do mnie trzeba było napisać taki list. Nie potrzebowałaby wtedy rzucać Strzałkowa, żeby się odemnie uwolnić.

— To twoja wina, Wilhelmie — rzekła pastorowa. — Jeśli widziałeś, że ona... Jeśli ona ci odmówiła, nie trzeba było...

— Nie trzeba było! — wybuchnął. — Jej opór wydawał mi się zawsze cieniutką, niezrozumiałą skorupką, która jakiegoś dnia pęknie. Skąd mogłem wiedzieć, co się pod tą skorupką ukrywa? — usiadł na krześle, lecz za chwilę zerwał się i zaczął znów krążyć po pokoju. — Powinna mi to powiedzieć odrazu. Można walczyć ze wszystkimi przyczynami oporu, ale nie ze wstrętem.

— Oszalałeś, Wilhelmie! — krzyknęła skolei pastorowa. — Tego ci nigdzie nie napisała!

— Niech ciocia przeczyta uważnie jeszcze raz ten list — zaczął urywanie, nie przestając chodzić. — Niech ciocia zwróci uwagę na ton. Nie, nie, dajcie mi pokój! Na Boga! — wybuchnął, zatrzymawszy się na chwilę — nigdybym nie przypuszczał, że to też może być reakcja na czyjeś uczucie? — zaczął znów chodzić i po chwili dopiero rzucił krótko, z wysiłkiem: — Niepotrzebnie wyjeżdża ze Strzałkowa. Ja już napewno nie będę jej niepokoił. Podeszedł do stołu i zabrał rzucony list.

— Niech ciocia da mi ten list, jest on raczej dla mnie przeznaczony. No, przecież muszę go mieć ze sobą! — wybuchnął,

widząc, że chciała zaprotestować. — Muszę mieć jakąś odtrutkę! — Po chwili odbiegł myślą do czego innego: — Oplakiwałaby nasze małżeństwo... Niema co mówić... Kimże ja jestem?

Oparł czoło o futrynę okna i zastygł na chwilę.

— Niech jej ciocia napisze — rzekł po chwili milczenia — żeby nie rzucała niczego, o czym tak pięknie pisze na początku tego listu. Niema potrzeby. To ja wyjeżdżam ze Strzałkowa. Nie mógłbym tu przecież usiedzieć.

— Dokąd chcesz wyjechać, Willy? — spytała trwożnie pastorowa. — Ona w to nie uwierzy.

— A więc jej napiszę — rzekł zimno. — Może mnie uwierzy. Zakładamy oddział w Brodnicy. Miał pojechać Loniewski — mógł jechać ja.

I pozostał przy oknie w milczeniu, wystawiając twarz na powiew wiatru. Pastorowa też milczała. Wreszcie po bardzo długiej chwili Wilhelm odezwał się spokojnie, nie odwracając się:

— To byłby gorzki nonsens, gdyby wyjechała. Więc takie owoce miałyby wydać moja miłość: jej... niechęć do mnie oraz wygnanie jej z tych miejsc, do których się przywiązała... To rzeczywiście wielki plon...

Oparł czoło na zaciśniętej pięści i stał jeszcze jakiś czas w milczeniu; wreszcie odwrócił się, pożegnał nagle pastorową i wyszedł. Musiał napisać list do Haliny. Nie potrafił jednak zabrać się zaraz do niego i list został napisany dopiero nazajutrz. Był dość krótki i urzędowy. Wilhelm zmusił się do zawiadomienia jej, że czytał jej list wysłany do pastorowej; poczem oświadczył, że nie będzie jej już więcej napastował swemi uczuciami i że wyjeżdża na stałe do Brodnicy. Wobec tego nie widzi powodu, aby ona miała rzucać Strzałkowo i w tej kwestji pragnie z nią porozmawiać osobiście. Wyznaczył dzień i godzinę, w której złoży jej swą wizytę w Krotoszynie, zgóry przepraszając, że jeszcze raz jej się narzuci.

Oznaczonego dnia odnalazł w Krotoszynie mały domek, w którym mieszkała chwilowo panna Zaborska. Godzina była przedpołudniowa i przed domem leżał jeszcze wilgotny chłód ranka, niespędzony słońcem. W zacienionym, wysprzątanym saloniku podniosła się na jego przywitanie Halina, wyższa jakgdyby i szczuplejsza niż zwykle. W tej ostatniej rozmowie przygotowa-

na była na najgorsze. Lecz Wilhelm, jak się okazało, porzucił swój dawny, osaczający sposób postępowania.

— Czytałem list pani, panno Halino — zawiadomił ją urzędowym tonem. — Niech pani nie wini o to ciotki Gertrudy, bo wydarłem jej go prawie siłą. A zresztą dobrze się stało, bo ten list dopiero otworzył mi oczy.

Odwrócił oczy ku oknu, jakby stamtąd czerpał dalszego natchnienia i rzekł po chwili:

— Kapituluję, panno Halino, w tej, jak pani powiedziała, walce. Nie będę już nigdy pani niepokoił. Wyjeżdżam zresztą ze Strzałkowa i nie mam zamiaru pokazywać się w nim wcale. Berta z Elzą jadą, jak pani wie, na cały rok zagranicę; jeśli potem będą mnie chciały widzieć, przyjadą do mnie. Ja wyjeżdżam do Brodnicy; to już omówione. Zakładamy tam oddział, to ważny rynek zbytu dla nas; mieliśmy wysłać kogo innego, pojadę ja. Nawet dla mnie to lepiej: będę miał zupełną swobodę kierowania oddziałem.

Halina i teraz milczała. To nie był ten Wilhelm, którego znała; jego błękitne, żywe oczy były obce; przechodziły przez nią jak przez szkło; głos był urzędowy i suchy.

— A więc — przyjechałem specjalnie w tej sprawie, żeby panią odwieść od myśli opuszczenia Strzałkowa. Jak na teraz, to jest to według mnie zupełnie niepotrzebne...

— Ja już złożyłam podanie... — szepnęła.

— Gdzie panią przenieśli?

— Jeszcze nie wiem... jeszcze nie dostałam odpowiedzi...

— Tem więc lepiej. Niech pani wycofa podanie.

— Ależ... będą mnie brali za nieprzytomną... — odparła cicho. — To chcę się przenieść, to nie chcę...

— Ale jeszcze jest czas, jeszcze nie ma pani odpowiedzi. Niech pani nie rzuca Strzałkowa... Panno Halino! — wybuchnął z żalem — niechże więc pani zrobi choć tyle... Ja już mówiłem do ciotki... do pastorowej, że to byłaby zbyt gorzka ironja, żebym ja właśnie wypędzić miał panią z tego miejsca, gdzie jest pani dobrze. Niech pani zostanie w Strzałkowie. Czegóż się pani obawia? Ja... mnie tam już nie będzie. Na tyle chyba może mi pani uwierzyć? Do tego wszystkiego miałbym jeszcze dodać tę świadomość, że zburzyłem pani spokojne życie...

Halina podeszła do okna i wyjrzała na ulicę, potem odwróciła się znów twarzą ku pokojowi, opierając się o parapet.

— Więc dobrze. Zostanę w Strzałkowie. Dziś popołudniu wyjadę do Torunia, jutro wycofam swoje podanie.

Wilhelm podniósł się natychmiast.

— Dziękuję pani. Tyle tylko chciałem...

Spojrzał na swój zegarek na ręce w szerokiej, skórzanej bransoletce.

— Zdam jeszcze na pociąg do Poznania, prawda?

Uściskał jej rękę i wyszedł.

## XXIX.

Następnego ranka Halina wstępowała na schody kuratorium w Toruniu, świeżo wysmarowane pyłochłonem. Mroczna poczekalnia, obwieszona była fotografiami Szwajcarii Kaszubskiej.

— Pan wizytator przyjmuje.

— Za godzinę. Proszę wypełnić kartkę.

Pochyliła się nad stołem, wypisując starannie swoje imię, nazwisko i cel wizyty, poczem wyprostowała się i z westchnieniem ulgi oddała kartkę woźnemu.

Poczekalnia, choć za godzinę miał się rozpocząć czas przyjęć, nie była pusta. Kilka krzeseł pod ścianami było zajętych. Prawie na środku pokoju stał młody urzędnik, rozmawiający z jakimś chłopem. Halina bezmyślnie przyglądała się brązowej, wybarłej kurtce chłopca i jego twarzy, po której widać było, z jakim napięciem słucha słów urzędnika. „Co on tu może mieć za interes“ myślała i przeniosła bezmyślny wzrok na urzędnika, na jego lakierki o olśniewającym połysku i na krępa postać, którą z trudem opierał ciasny garnitur.

Wszyscy poruszyli się nagle, bo głębi poczekalni otwarły się drzwi na korytarz, wiodący do pokojów dostojników: kuratora i wizytatorów. Lecz to był tylko woźny, który przebiegł cichemi, klapiącymi kroczkami z pliką akt w rękach.

— Zgodzi się czy nie zgodzi? — rozmyślała Halina. — Za dwa tygodnie rozpoczyna się rok szkolny — może mnie już gdzie przenieśli? A może wezmą mnie za warjatkę, i óra sama nie wie, czego chce, raz pragnie się przenieść, to znów pozostaje na dawnym miejscu...

Urzędnik i chłop znikli niewiadomo kiedy. Nawprost Halina siedział teraz lysy pan o spalonej twarzy i białem czole. Pan zachowywał się najniepokojniej, kręcił się na swoim miejscu, wylamywał palce, zakładał nogę na nogę, wreszcie wstał i zaczął chodzić po pokoju. W tej samej chwili wsunął się raczej niż wszedł do poczekalni młody uczeń z czapką w rękę. Halina wprawnym okiem oceniła go odrazu na siódmą klasę. Uczeń pokonferował cicho z woźnym, poczem w postawie pełnej szacunku i oczekiwania stanął między drzwiami na schody a ostatnim krzesłem, dzierżąc wciąż czapkę w dłoni. Nie powiesił jej na wieszaku ani ośmielił się usiąść. Przez otwarte na schody drzwi Halina widziała jego młodszego kolegę, przypuszczalnie trzecioklasistę, jak w cierpliwem oczekiwaniu przestępował z nogi na nogę, gapiąc się do wnętrza poczekalni. Starszy utkwił w Hali wzrok zamyślony i skołatany, nie widząc jej z pewnością. Tak się czuła sama niepewnie, że uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. Nawet nie zauważył tego.

Ale do poczekalni wkroczyła teraz para, która wydała się na tem tle zupełnie egzotyczną i przez to odrazu zwróciła na siebie uwagę wszystkich. Ona, utleniona blondynka, połyskiwała z pod ronda kapelusza podmalowanemi oczami; on, wysoki brunet w sportowem ubraniu, zadziwiał niskiem czołem, głęboko osadzonemi oczkami oraz nadmiernie rozwiniętą dolną szczęką. Nie troszczyli się o cichą rozmowę z woźnym.

— Pan kurator przyjmuje?

(— „Do kuratora!“ — pomyślała z szacunkiem Halina).

— Od pierwszej będzie przyjmował.

Wyjął wielki, złoty zegarek.

— Więc już przyjmuje?

— Od pierwszej będzie przyjmował — tłumaczył cierpliwie woźny, a widząc, że nie rozumieją, dodał w formie objaśnienia, wyjmując skolei swój zegarek: — Jest dziesięć po dwunastej.

Nowoprzybyły przez chwilę zaskoczony porównywał czas na obu zegarkach i naraz wybuchnął oburzony:

— Panie, pana zegarek stoi, już jest po pierwszej!

W poczekalni wszyscy poruszyli się, bo każdy, słuchający mimowoli tej rozmowy, sprawdził odruchowo godzinę u siebie. Nowoprzybyły nie zwrócił na to żadnej uwagi.

— Proszę mnie zameldować u pana kuratora.

— Niech pan wypełni kartkę — odparł jeszcze zmieszany woźny, odwrócony do swego stolika.

— Proszę bilet wizytowy.

Bez słowa już woźny odniósł kartę. Wrócił za chwilę.

— Pan kurator prosi pana — i pobiegł znów truchcikiem na korytarz, skąd zabrzączał ostry dzwonek.

Jakiś młodzian w fantastycznie nałożonym francuskim berecie wkroczył rezolutnie do poczekalni, lecz Haliną nie miała już czasu przyjrzeć mu się, bo w tej chwili stanął na progu śpieszący się woźny.

— Pan wizytator prosi panią — rzekł do niej.

### XXX.

Początek roku szkolnego w Strzałkowie zaznaczył się takimi upałami, że w dzień rozpoczęcia nauki wszystkie uczennice przybyły w białych, lekkich bluzkach. Wszystkie były mocno opalone, ruchliwe i hałaśliwe. Część obiegała klasy, oglądając odnowienia, inne krzywiły się na zapach ropy naftowej, wypełniający cały gmach, inne wreszcie, dopadłszy się byle gdzie, na podwórzu czy w korytarzu, opowiadały sobie głośno, wszystkie jednocześnie, wrażenia z wakacji. Nawet w czasie drogi do kościoła gwar się niewiele uspokoił; jednak prawdziwy rwetes rozpoczął się dopiero za powrotem do klas, gdyż teraz nastąpiła chwila dobierania sobie, a raczej wywalczania, miejsc w klasie na cały rok. To też wszędzie hałas, krzyki i szurganie ławkami wypełniały klasę i korytarz, dochodziły aż do drzwi pokoju nauczycielskiego, wywabiając pokolei rozgadane nauczycielki do klas.

Gdy panna Zaborska weszła do ósmej klasy, dziewczynki zapomniały o swej godności najstarszych w szkole i obległy ją ciasnym kołem, witając z krzykiem.

— Proszę pani! proszę pani! jaką mamy klasę!

— O jaka pani opalona!

— Proszę pani, ja z Lichtenfeldówną będę siedziała na pierwszej ławce!

— A Baisenówny niema, wcale nie będzie do nas chodziła w tym roku!

— Cicho! Pani o tem wie lepiej od ciebie.



Halina ze słabym uśmiechem słuchała swoich prawie cudem odzyskanych dziewczynek, gadatliwych jak dawniej. Rozglądała się też między niemi, rzucając po parę słów i tym, które ją ciałem kołem opłatały i innym, które zwątpiwszy w zbliżenie się do niej stały poza kręgiem koła.

— Jak się macie, jak się macie dziewczynki! Ludka! cóż to, jeszcze urosłaś? Dopieroż to będziemy miały wielką sztandarową! He! He! Czemu się nie poprawiłaś przez wakacje? zawsze będziesz takie chuchro? O Baisenównie wiem, wyjechała do Meranu. Będzie chodziła do nas na przyszły rok. Eda? cóż ty, grzywkę obciąłaś? a teraz się wstydzisz!

O parę kroków stała zwrócona tyłem do okna a twarzą do niej Mada Bekerówna z jedną nogą wysuniętą naprzód, co sprawiało wrażenie uwagi pełnej napięcia. Ciemny, gładki mundur i świeżo zapuszczone złotorude loki dawały jej wygląd poważniejszy i szczuplejszy, niż dawniej. Jej spokojne, powściągliwe spojrzenie napotkało wzrok panny Zaborskiej i wtedy Mada jakby się leciutko uśmiechnęła do swej nauczycielki. Zaraz też, jakby tylko na to czekała, odezwała się od okna i poszła ku ławkom, a gdy wreszcie panna Zaborska nakazała dziewczynkom zająć swoje miejsca, zobaczyła Bekerównę siedzącą samą, w przedostatniej ławce, z brodą opartą na dłoni. Tam też i przesiadziała w skupionej uwadze całą lekcję.

Tak się rozpoczęła pierwsza godzina zajęć szkolnych z całego długiego szeregu podobnych, szarych, monottonnych godzin, jakie czekały Halinę w tym roku. Jak zwykle na początku trzeba było odbyć kilka sesyj, które jednak trwały krótko i dawały raczej sposobność do pogadania między nauczycielstwem. Na miejsce Barczyńskiego została przysłana młodzianka i bardzo ładna historyczka, panna Alicja Janicówna, która świeżo ukończyła studia, a że była młoda, bardzo ładna, żywa i trochę jeszcze niezaradna, życziwa uwaga wszystkich skierowała się na nią, co pozwoliło panie Zaborskiej, dotychczasowemu benjaminkowi szkoły, usunąć się trochę w cień. Nie zbliżała się też do nowej koleżanki, ze starymi znajomymi rozmawiała chętnie i życziwie o sprawach szkolnych, ale nie wykazywała żadnej inicjatywy do podtrzymywania stosunków towarzyskich. Jednej Żurkowej obiecywała stale wizytę, lecz schodziło narazie na niczem i co było najdziwniejsze, Żurkowa, okazując jej w dalszym ciągu swą szczerą życziwość, przestała nalegać na odwiedzenie ich.

W miarę jak wrzesień posuwał się naprzód, normowało się tempo pracy szkolnej, lekcje zaczynały biec zwykłym torem; pierwsze zadania zostały już popoprawiane w nowych, czystych zeszytach; te i owe zaniepokoiły się pierwszą słabą oceną, a o wcześnie zapadającym zmierzchu, gdy lampy uliczne zaczynały świecić zielonkawo na tle liljowego nieba, po ulicach spotkać było można dążące do koleżanek dziewczynki na wspólne odrabianie lekcyj. Wcześnie oświetlane wystawy drobnych sklepów rzuciły żółtawe światło na te postaci w ciemnych fartuszkach, z książkami pod pachą. Ranki były znów bardzo słoneczne ale chłodne, południe upalne jak w lipcu i tylko ponadgryzane rdzą liście kasztanów na ulicy Ogrodowej świadczyły o jesieni.

Halina chodziła tylko do szkoły i do domu swą wydeptaną już drogą poprzez tę właśnie żółkniejącą ulicę Ogrodową, rozglądała się wokół i nie mogła zrozumieć, dlaczego pragnęła pozostać w Strzałkowie. Cóż niby jest szczególnego w tem czy innem mieście? Zapewne, stosunki były znane; wszędzie stosunki są najpierw nieznanne, potem znane—i może właśnie lepsze są te nieznanne. Chyba tylko dziewczynki w szkole.

Ale właśnie w miarę jak wrzesień posuwał się naprzód, dziewczynki w szkole zaczęły okazywać się bardziej niż któregośkolwiekby roku niespokojne, nieuważne albo niezdolne, co zaczęło budzić w nauczycielce skryte zniecierpliwienie. Przygotowywała się przecież do lekcji równie starannie, jak dawniej; wiedziała, że wykład jej był jasny i metodyczny; ale nie wiedziała, że był zimny. Zresztą wkrótce zapanowała na jej lekcjach taka karność, jaką utrzymać umiała podobno tylko Żukowa, kiedy to, jak wiadomo, mucha nie ośmielała się przelecieć ze ściany na ścianę; i ta karność idealna, ta sztywna subordynacja mroziła dziewczynki, przyzwyczajone do dawnego, swobodnego i żywego toku lekcji. Sama zresztą panna Zaborska potrafiła niechęć zmrozić uczennice; jej prześliczne, długie, ciemne oczy nabrały, jak mówiły dziewczynki, zwyczaju nieruchomego, ciężkiego spoglądania na odpowiadającą, co wcale nie ułatwiała odpowiedzi.

Jedynie tylko ósma klasa czuła się posiadaczką dawnych praw: tu witano ją z radością, tu padały w czasie lekcji nieoczekiwane pytania i ani się kto spostrzegł, jak rozpalala się gorliwa dysputa wokół jakiejś kwestji. Pośród krzyżujących się wokół niej zdań i dowodzeń, siedziała panna Zaborska z wyrazem twarzy baczny, ale jakby zmęczonym i obcym. Zebrania kółka lite-

rackiego odbywały się obecnie w soboty, w szkole. Tak więc nie nie zakłócało Halinie spokoju w domu; tem niemniej jednak jej praca domowa szła gorzej, niż kiedybądź. Dawniej zaraz po obiedzie zabierała się do przygotowania lekcji na następny dzień; obecnie, choć również zasiadała do biurka wczesnym popołudniem, nie mogła się zebrać na odważne danie nurka między zajęciami szkolne. Właściwie coś tam maby robiła, ale potem, gdy już wieczór nadchodził i Katarzyna wносиła kolację, nie mogła się nadziwić, jak mało intensywnej była ta praca; i w rezultacie trzeba było po kolacji zabierać się do roboty. Późnym wieczorem, leżąc już w łóżku otwierała jakąś książkę; lecz gdy, nie mogąc nic zrozumieć, przyprzeuszała, iż teraz już napewno usnie i odłożywszy książkę, gasiła światło, okazywało się, iż wcale jej się spać nie chce i wtedy długo leżała w ciemności, zapatrzona w łopczęce za oknem gałęzie bzu, które wicher nocny odzierał z liści. Ten jesienny poszum drzew, niezakłócony żadnym odgłosem, śpiącego głuchym snem miasteczka, budził w sercu Haliny pomieszane uczucie smutku, niepokoju i żalu. Lęk i nieumotywowana rozpacz zaciskały gardło i mierz poduszka była mokra od nierozumnych, bezcelowych łez.

### XXXI.

Przez cały wrzesień Halina nie była ani razu na plebanji.

Kiedy w końcu sierpnia przyjechała z Krotoszyna i na pierwszej sesji spotkała się z pastorem, przyrzekła mu, że w tych dniach wpadnie choć na chwilę; łatwo to jednak było mówić, lecz trudno wykonać. O czemże mogła mówić z pastorem? Jeden był tylko temat, wobec którego wszystkie blakły, lecz tego właśnie tematu Halina za nic w życiu nie chciałaby poruszać. Gdybyż ta sprawa przyszła jak najprędzej, gdybyż nikt i nie jej już nie przypominało. A pozatem był jeszcze ów list wysłany z Krotoszyna...

Z pastorem widywała się w szkole prawie codziennie; od niego też wiedziała, że Wilhelma niema w Strzałkowie, lecz, że ma przyjechać zabrać się ostatecznie w październiku; nie potrzebowała się więc obawiać, że napotka go niespodzianie na plebanji, jak to dawniej stale bywało. Jednak pastor, przypomniawszy jej ze trzy razy, że przyrzekła przyjść, przestał jakoś na jej odwiedziny nalegać — zupełnie jak Żurkowa; tylko gdy stanowisko

Żurkowej przyniosło Halinie pewną ulgę, zachowanie pastora budziło w niej niepokój i rozdrażnienie.

— Zostawiają mnie na uboczu, jakbym ciężko coś oplakiwała...

Nie mogła też znieść myśli, że jej list, list zbyt szczery, istnieje jeszcze na świecie; i wreszcie w sam dzień pierwszego października wybrała się do pastorowej.

Na plebanji opatrywano już okna na zimę i pastorowa siedziała na ruchomym fotelu w głębi jadalni, dopatrując zdaleka Karoliny, która układała zielony mech między szybami. W sąsiednim pokoju Klara, siostra Karoliny myła balkon. Halina została przywitana serdecznie, ale bez zdziwienia i wciągnięta odrazu w rozmawianie, czy i drzwi balkonowe należy również już opatrzeć, czy tylko umyć. Gdy decyzja zapadła na niekorzyść opatrywania, służące uprzątnęły ślady swojej pracy i usunęły się do kuchni. Halina okryła pastorową szalem, bo choć ta siedziała blisko ciepłego pieca, mieszkanie wyziębiło się przez mycie okien; sama usiadła z drugiej strony, w rogu otomany. Pastorowa zapaliła stojącą na stoliku lampę i sięgnęła po swój koszyk, w którym była poskładana bielizna do reperacji.

— Co słyhać w szkole, Haluniu? Macie podobno nową koleżankę?

Rozmowa popłynęła w miarę ożywiona, bez krzty szczerości. Wreszcie Halina miała dosyć.

— Proszę pani... Czy pani ma jeszcze ten mój list... z Krotoszyzna?

Zmieszanie i zdziwienie łączą się na twarzy pastorowej.

— Nnie... nie mam...—i zanim zdążyła dalej co powiedzieć, Halina przerywa jej z ulgą.

— Spalony?... zniszczony? O to mi właśnie chodziło...

Pastorowa mieni się na twarzy, bo wszak mogłaby teraz milczeć; lecz to byłoby zwykłym kłamstwem. Zresztą jest zdziwiona.

— Myślałam, że wiesz o tem — mówi wkońcu. — Ten list... przecież ten list zabrał Wilhelm.

Ledwo zapanowała nad sobą, aby się nie zerwać z otomany.

— Jakto? Jakim sposobem? POCO? Wiem, że czytał... POCO mu ten list? Jak pani mogła mu go dać, o Boże?

Wtedy pastorowa opowiada od początku scenę, która się

rozegrała w tym pokoju przed półtora miesiącem! a opowiada tak obrazowo, że Halina wpatruje się nieruchomo w ramę okienną, o którą oparty był wówczas Wilhelm. Potem spuszcza nisko głowę i słucha bez ruchu. Dalaby niewiedomo co, aby tego nie słyszeć. Ale i nie potrafi oderwać się. Po skończonem opowiadaniu opiera łokcie na kolanach i ukrywa twarz w dłoniach.

— Ja muszę mieć ten list, muszę go wydostać. O Boże, Boże, nie powinnam go była pisać nigdy, do nikogo, nawet do samej siebie. Ja wiem, ja go pamiętam... wiem, co napisałam. Jeśli on go będzie miał... jeśli będzie go czytał... Przecież nie będzie zawsze ślepy... Proszę pani, pani go musi odebrać! Ja tam napisałam takie rzeczy... On jeszcze kiedy... i znowu... Pani go odbierze!

Pastorowa śmieje się gorzko i cicho

— Jakże ja go mogę odebrać? — mówi wkońcu. — Wilhelm przyjedzie w przyszłym tygodniu na trzy dni; ale wcale nie wiem, czy tu przyjdzie. A jeśli by nawet przyszedł, czy myślisz, że odda ten list? Jeśli go wtedy nie oddał... Nie martw się; napewno nie dojdzie do żadnych pochlebnych dla siebie przypuszczeń. Wszystkie przypuszczenia już wysnuł; i nareszcie wytłumaczył sobie twoją odmowę. Bądź zupełnie spokojna. Powiedział... jak tu się wyrazić?... że nie można walczyć z czyjąś instynktowną niechęcią... ze wtrętem, no!

Halina słucha z osłupieniem i nagle wybucha ostrym śmiechem.

— Jakto? o Boże, więc on tak to sobie wytłumaczył? — i naraż śmiech urywa się równie nagle jak się zaczął, a Halina wpada w gniew. — Więc któż mu jest winien? Dlaczego nie chce zrozumieć poprostu tak, jak napisałam? Co może przekonać człowieka, który się uwziął, że rozsądek nie ma znaczenia w życiu ludzi i który uważa, że przeciwieństwem miłości może być tylko wstręt? a nie rozum czasami? Jak można wszystko rozstrzygać tylko na płaszczyźnie uczuciowej? Jak nie miłość, to już tylko wstręt! Jak opór, to tylko ze wstrętu, no bo jakże? jakaż inna przyczyna? A niechże sądzi tak, jeśli mu wygodnie!

Pastorowa patrzy ze zdumieniem na ten wybuch.

— Lepiej, żeby mu wszystko inne przyszło do głowy, niż to — mówi wkońcu. — O, Haluniu, nie wiesz, coś narobiła. Gdybyś go знаła jak ja... i gdybyś go widziała wtedy... Jest zupełnie przełamany. Dziwię się, że chciał jechać widzieć cię w Kro-

toszynie. Na twojem miejscu zrobiłabym wszystko, żeby mu wybić to z głowy.

— Ale czemu ja mogłam podsunąć mu tę myśl? Czemu? Co za „wszystko?” Co ja mogę? Wybić mu z głowy? To znów powie, że go kocham?

— Czyż nie możecie rozstać się jak para przyjaciół? Nie pobierzecie się, no to trudno, ale uczucia przyjacielskie...

— Jemu o przyjaźni wcale nie chodzi. On nie pragnie wcale mojej przyjaźni. Uczucia przyjacielskie? ma je przecież.

— Okaż mu je jednak. Przyjedzie na trzy dni: pozwól mu przyjść się pożegnać, porozmawiaj z nim; niech zrozumie wreszcie...

Halina milknie i uspokaja się odrazu. Wstaje z otomany i przechodzi przez pokój ku oknu; potem wraca i siada znów, twarzą ku pastorowej.

— Teraz rozumiem... Więc to o to? A ja mu wierzyłam, że rzeczywiście już dał spokój... I kiedyż skomunikował się z panią pastorową?

Pastorowa nagle robi się czerwona na twarzy i z trudem powstrzymuje wybuch. Halina pierwszy raz widzi ją rozgniewaną.

— Wstydz się! — mówi ostro. — To niegodziwie. Nie pisał do mnie, nie widziałam go od wtedy, kiedy ten twój list zabrał — rozumiesz? To moja myśl. Jeśliby Wilhelm przyszedł, bądź pewna, że dobrze musiałabym go namawiać, żeby się zdecydował cię zobaczyć. Nie mogę znieść tej myśli, że chłopak wbil sobie w głowę... Nie chcesz go? to nie. Ale poco to upokorzenie? Czy nie możesz zrozumieć, czemu to jest dla niego?

— Nic nie pomoże, jeśliby nawet przyszedł. Żadne tłumaczenia nie pomogą. Jeżeli dotąd nie rozumiał...

— Nie trzeba tłumaczeń. Tłumacz zachowaniem. Lubisz go, tak? Okaż trochę życzliwości.

— Nie! to napróżno! Poco znów? Myśmy się już pożegnali. Nie, nie!

A jednak, gdy w tydzień później pastor w czasie dużej przerwy odnalazł Halinę dyżurującą na korytarzu szkolnym i powiedział, że Wilhelm był u nich i że dziś chciałby ją pożegnać, o ile ona nie ma nic przeciwko temu, zgodziła się.

Dzień był zimny i wietrzny; chmury zasłaniały blade, jesienne słońce, to znów nasuwały się, kładąc szary cień na ziemię.

Po południu zrobiło się całkiem pochmurno. Halina nie mogła wstąpić do lekcji; głowa ją bolała szalenie, zdawało jej się, że skrośnięcie jej stężyła na kamień. Owinięta w grubą białą chustkę siadła w rogu otomany z książką w ręku i usiłowała czytać.

O piątej przyszedł Wilhelm.

Gdy wszedł do pokoju i po przywitaniu jej usiadł na krześle przy biurku, milczenie pełne zakłopotania zaległo pokój. Poznała, że pastorowa mówiła prawdę: Wilhelm nie przyszedł z własnej woli. Halina pierwsza zaczęła rozmawiać — o Brodnicy. Rozpytywała, jak duże jest to miasto; jak wygląda. Wilhelm podjął chętnie ten temat. Owszem, miasto było miłe. W miarę jak chwalił swe nowe miejsce pobytu, Halinie robiło się coraz nieprzyjemniej. To ona go wyganiała ze Strzałkowa. A przecież Strzałkowo było raczej jej niż jej. Gdyby wtedy uparła się przy przeniesieniu... Widząc, iż zwrócił uwagę na to, że jest zajęta innymi myślami, rzekła po rzywco:

— Byłoby prościej... gdybym ja się przeniosła.

Wilhelm zlekka zeszywniał.

— POCO? — rzekł zimno. — Nie sądzi pani chyba, bym po tem wszystkiem rozkoszował się pobytym w Strzałkowie, czy pani w nim będzie, czy nie. Jestem zadowolony z przeniesienia do Brodnicy. I jestem szczęśliwy, że pani tu zostaje.

Poczem zaczął ją rozpytywać o pracę tegoroczną. Odpowiadała posłusznie, starając się sobie napróżno wyobrazić, że widzi go prawdopodobnie ostatni raz w życiu i że ostatni raz słyszy jego głos z obcym akcentem. „Ostatni raz?“ pytała siebie w duchu z oszołomieniem. To brzmi tak śmiesznie, tak melodramatycznie. „Ostatni raz“. Ale gdy nadejdzie ten „ostatni raz“, niepodobna zrozumieć tych słów. Są pozbawione treści. Są pustym dźwiękiem. I nagle, gdy wyciągnął machinalnie rękę, by coś bezwiednie poruszyć na biurku, poznała naraz jego ciemny garnitur w drobne szafirowe prążki, w którym kiedyś widziała go u siebie. Raptem uprzytomniła sobie, że to przecież ten sam człowiek, co wtedy; ten sam, którego spotkała kiedyś na zaśnieżonej szosie i którego talki lękała się i unikała. I zaczęła sobie przypominać, szczegóły po szczególne, tamto spotkanie i tamtego człowieka. Ciemna cera i palące oczy — tak, to ten sam. Wydał jej się wtedy szczuplejszy i niższy, aniżeli był w rzeczywistości. Ale tamten był obcy i oburzający, niemiły przez swe spojrzenie i przez swą bezczelność. Czy niemiły?

Czemuż nie uciekła wtedy w las czy w pole, nie poszła, gdzie czy poniosła, by nie wracać już nigdy do tego Strzałkowa?

Wilhelm tymczasem wstał i podszedł do okna.

— Zostanie pani w tem mieszkaniu, prawda? Tu tak miło... Lubię móc sobie wyobrazić znajome osoby na znajomem tle. Przy tem biurku zawsze panią zastawałem. Czy to bez, te krzaki pod oknem?

Oparł się o framugę okna i założył ręce, patrząc po pokoju. Halina nie ruszała się ze swego kąta, zziębnięta, otulona w chustkę. Było jej rozpaczliwie źle. Gdybyż to się już skończyło! I podo widzenie? A on jakby zrozumiał naraz jej myśli. Spojrzał na zegarek.

— Ale na mnie czas. Mam jeszcze tyle spraw, a jutro rano wyjeżdżam.

Ujął jej rękę i zatrzymał.

---

## WYCIĄC I ZACHOWAĆ

**Wyjaśnienia:** 1) Głosowanie odbędzie się załączonymi w każdym Dodatku Powieściowym „Kur. Por.“ kuponami, zaopatrzonymi w kolejne numery.

2) Termin głosowania wyznaczony będzie przy zakończeniu konkursu. Kuponu zatem należy zachowywać.

3) Każdy kupon uprawnia do złożenia jednego głosu. Każdy Czytelnik uprawniony jest do składania dowolnej ilości głosów - kuponów.

4) Posiadacz kuponu uprawniony jest do nabywania w administracji „Kur. Por.“ oddzielnych egzemplarzy „Dodatku Powieściowego“ w cenie 10 gr. za egzemplarz.

---



— Życzę pani... Niech pani będzie szczęśliwa, jak pani sama chce, panno Halu... I dziękuję za dziś... — rzekł. Zawahał się, wreszcie pocałował ją w rękę i odszedł cicho ku drzwiom po chodniku, idącym od nich ku otomaniu. Halina patrzyła za nim osłupiała. W tym krótkim momencie zrozumiała nareszcie, iż schodzi jej z oczu na zawsze; i że od tej pory nie spotka go nigdy ani na tej krótkiej ścieżce od otomany ku drzwiom ani na żadnej innej ścieżce swego życia. Wszystko się skończy. Wciśnięta w róg otomany, otulona w swą chustkę trzęsła się, jak z zimna. Oto bierze za kłamkę...

— Wilhelm! — krzyknęła rozpaczliwie.

KONIEC

Grudziądz, Warszawa 1933



WYCIĄC I ZACHOWAĆ.

## Wielki Konkurs Powieściowy „Kurjera Porannego”

### KUPON Nr. 31

Tytuł powieści .....

Nazwisko autora .....

Nazwisko głoszącego .....

Adres .....

45 258  
**„KURJER**



BG-WZ.95110

pod naczelną redakcją Wojciecha Stępczyńskiego

To najszybsze depesze z całego świata,  
To rzeczowy artykuł polityczny w każdym numerze,  
przebogaty film reportaży z kraju i zagranicy,  
krytyczny przegląd literatury, sztuki i teatru,  
życie gospodarcze odbite w studiach specjalistów,  
sport, turystyka, kino i radio w tętniących życiem obrazach,  
sześć specjalnych dodatków tygodniowych,  
piękny dodatek ilustrowany i tomik powieści co niedziela,  
całe bogactwo dnia podane na 10–12 stronicach wielkiego formatu.